

LINDA HOWARD
Niebezpieczna miłość

ROZDZIAŁ 1

Chociaż zbliżał się już zachód słońca, żar wnikał głęboko w ciało, przypiekał nagi tors i długie nogi. Coraz dłuższe promienie rozświetlały na grzbietach fal deszcz tańczących iskierki. Mężczyzna wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Właściwie fascynował go nie tyle lustrzany blask wody, ile fakt, że po prostu nie miał nic do roboty. Zapomniał już, jak smakuje spokój. Przez cudowny miesiąc absolutnej samotności mógł się odprężyć i nareszcie być sobą. Mógł łowić ryby, kiedy tylko chciał, lub pływać łodzią po ciepłych, rozkołysanych falach zatoki. Pociągał go magiczny urok wody, to czarnej jak noc, to turkusowej, to znów połyskliwie bladezielonej. Miał pieniądze na paliwo i żywność. Tylko dwie osoby wiedziały, gdzie go szukać. Gdy miesięczny urlop dobiegnie końca, wróci do prozy życia, które sam sobie wybrał, i zatraci się w ponurej codzienności, ale teraz jeszcze może leżeć w słońcu -a tylko tego przecież pragnął.

Kell Sabin czuł się zmęczony. Z jego zawodem łączyły się: nieustanna wałka, kluczenie i utajnianie każdego ruchu, maskowanie się i niebezpieczeństwo. Wykonywał bardzo ważną pracę, ale przez ten miesiąc mogą to robić inni. Ten miesiąc należał do niego. Zaczynał rozumieć swego starego przyjaciela, doświadczonego agenta, Granta Sullivana, który oddałby duszę za pobyt w ciszy tajemniczych gór stanu Tennessee.

Sabin sam był świetnym agentem, słynącym z legendarnych operacji w Złotym Trójkącie, a potem na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej. Otoczenie niewiele o nim wiedziało. Odpowiadało mu to. Był typem samotnika, który na twarde warunki dyktowane przez życie reagował cynizmem, lecz zarazem je akceptował. Znał wady i niebezpieczne strony wybranego zawodu; wiedział, że będzie się stykał z brudem i złem, ale był realistą i godził się na to, podejmując pracę. Od pewnego czasu pełnił funkcję szefa Agencji.

Czasem nachodziła go chęć, by rzucić to wszystko i pożyć trochę jak zwykły człowiek. Wtedy wypływał w rejs na własnym jachcie. Dzięki dniom i nocom spędzonym na morzu zapominał, że jest agentem. Mógł się odprężyć i oddać rozmyślaniom, leżeć nago w słońcu lub obserwować gwiazdy w nocy i przywracać rzeczom właściwe proporcje. Urlopy Sabina, podobnie jak wszelkie informacje na jego temat, stanowiły pilnie strzeżoną tajemnicę.

Nad głową mężczyzny przeleciała z ostrym krzykiem biała mewa. Powiódł leniwym wzrokiem za swobodnym, zwinnym ptakiem, wyraźnie widocznym na tle bezchmurnego błękitnego nieba. Morska bryza mile musnęła delikatnym podmuchem nagą skórę. W ciemnych oczach Sabina zagościł uśmiech, co nieczęsto się zdarzało. W głębi serca czuł się dzikusiem, lecz na co dzień tłumił zew natury. Dopiero tu, mając za towarzyszy jedynie wodę, słońce i wiatr, mógł dać upust skrywanym tęsknotom. Noszenie ubrania na pełnym morzu wydawało mu się wręcz świętokradztwem. Z niechęcią przywdziewał coś na siebie, kiedy zawijał do portu po paliwo, lub gdy podpływali żeglarze, aby, miejscowym zwyczajem, pogawędzić.

Złocisty krąg słońca zanurzył się w wodzie, kiedy Sabin usłyszał odgłos silnika obcej łodzi. Odwrócił głowę i ujrzał jacht, trochę większy niż jego własny, powoli tnący fale. Słusznie, po co miałby się spieszyć? Sabin podziwiał zgrabną sylwetkę łodzi i płynną pracę silnika o dużej mocy. Lubił pływanie i lubił morze. Swój jacht traktował jak najcenniejszą rzecz i za żadną cenę nie zdradziłby nikomu, że go ma. Zarejestrował go na nazwisko pewnego agenta ubezpieczeniowego z Nowego Orleanu, który zresztą nie miał pojęcia o istnieniu Kella Sabina. Nawet nazwa jachtu „Wanda” z niczym się nie kojarzyła. Sabin nie znał nikogo o imieniu Wanda. Po prostu taką nazwę wybrał i koniec. Ktoś, kto dobrze znałby Sabina, nie czułby się tym wcale zaskoczony, lecz tylko jeden człowiek na świecie wiedział, jaka osobowość kryje się za nieprzeniknioną maską. Tyle że Grant Sullivan umiał dochować tajemnicy.

Obca łódź zwolniła i skręciła w stronę „Wandy”. Sabin zaklął zirytowany i poszukał wzrokiem wyblakłych dzinsowych bermudów, które trzymał na pokładzie na takie okazje. Usłyszał czyjś głos, więc spojrzął na nadpływający jacht. Przy relingu na dziobie stała kobieta i machała ręką. Z jej niespiesznych gestów zrozumiał, że nie chodzi o nic ważnego. O, żeglarze chcieli sobie pogawędzić. Na pewno nie mieli kłopotów. Promienie zachodzącego słońca połyskiwały na rudych włosach kobiety, nadając im barwę ognia. Przez chwilę Sabin wpatrywał się jak urzeczony w te niezwykle czerwonawe refleksy.

Zmarszczył brwi, szybko naciągnął spodniki i zapiął suwak. Łódź była wciąż zbyt daleko, by rozpoznać twarz kobiety, lecz rude włosy obudziły w pamięci Sabina niepokojące wspomnienia. Kiedy patrzył na zbliżający się powoli jacht, w jego czarnych oczach pojawiła się czujność. Te włosy...

Nagle instynkt samozachowawczy Sabina podniósł alarm. Mężczyzna odruchowo rzucił się na pokład. Zbyt wiele razy musiał walczyć o życie, by teraz się wahać. Całym ciałem przywarł do ciepłych desek pokładu. Może i zareagował głupio, przesadzając z ostrożnością, wołał jednak zostać żywym głupcem niż mądrym trupem. Silnik obcej łodzi przycichł, jak gdyby zwolnił obroty, a Sabin zdecydował się na następny ruch - podpełzł do składziku.

Nigdzie nie ruszał się bez broni. Wyciągnął ze składziku strzelbę o dużej sile rażenia i precyzyjnym celowniku. Wiedział jednak, że nie na długo odstraszy nią przeciwnika. Jeśli się mylił, nie zrobi z niej użytku, jeśli zaś instynkt go nie zawiódł - napastnicy z pewnością dysponują potężniejszą bronią, ponieważ są przygotowani na opór Sabina.

Zaklął pod nosem, sprawdził, czy włączony jest automatyczny spust, i popęzł z powrotem do relingu. Zajął pozycję strzelecką: wystawił na widok lufę strzelby, głowę zaś unosił na tyle tylko, by widzieć łódź nieprzyjaciela, która wciąż się zbliżała. Dzieliło go od niej mniej niż sto metrów.

- Wystarczy! - zawołał, nie wiedząc, czy zdoła przekrzyczeć warkot silnika. Chodziło tylko o to, żeby napastnicy usłyszeli, że coś do nich woła.

Łódź zwolniła i niemal stanęła w odległości siedemdziesięciu metrów. Nagle zaroїła się od ludzi, spośród któiyich nikt nie wyglądał na miejscowego rybaka lub żeglarza turystę. Wszyscy byli uzbrojeni, łącznie z rudowłosą. Sabin szybko otaksował ich wzrokiem, w lot chwytając szczegóły, kształty i rozmiary broni. Tak świetnie znał się na typach uzbrojenia, że zidentyfikował je bez chwili zastanowienia. Bardziej zainteresowała go załoga jachtu, a zwłaszcza jeden z mężczyzn. Chociaż stał daleko, trochę za innymi, wydał się Sabinowi znajomy, podobnie jak kobieta.

Znikły wszelkie wątpliwości. Poczul, że ogarnia go lodowaty spokój - jak zawsze w krytycznych sytuacjach, kiedy jego życie było zagrożone. Nie marnował czasu na rozmyślenia o rażącej dysproporcji sił, zaczął za to rozważać możliwe opcje, każdej z nich poświęcając ułamek sekundy.

W zapadającym zmierzchu rozległ się suchy trzask. Kula z cichym świstem przemknęła mu nad głową i rozłupała drewnianą ściankę kabiny za plecami. W odpowiedzi Sabin namierzył cel, wypalił i, jak gdyby kontynuując jeden płynny gest, schylił głowę. Nie musiał słyszeć przenikliwego krzyku, aby wiedzieć, że nie chybił. Byłby zaskoczony i wściekły, gdyby nie trafił.

- Sabin! - Wypowiedziane przez megafon nazwisko metalicznym echem odbiło się od wody. - Wiesz, że nie masz szans! Nie pogarszaj sprawy.

Ten ktoś miał świetny akcent, lecz nie był Amerykaninem. Sabin spodziewał się takiej propozycji ze strony napastników. Najlepszym wyjściem byłaby ucieczka. Szybkość „Wandy” była jej największą zaletą. Ucieczka jednak wymagała przedostania się do steru i przyrządów kontrolnych na nadbudówce jachtu, co oznaczało wystawienie się na ogień podczas wspinaczki po drabince.

Sabin błyskawicznie przeanalizował sytuację i szansę dotarcia na górę ocenił na pięćdziesiąt pięć procent, może mniej (w zależności od stopnia zaskoczenia przeciwnika). Z drugiej strony, gdyby został na dotychczasowym miejscu i jedną strzelbą próbował powstrzymać intruzów - jego szanse spadałyby do zera. Miał dużo amunicji, ale tamci - zapewne więcej. Musiał podjąć ryzyko wspinaczki, zamiast marnować czas na zamartwianie się malejącymi szansami na przeżycie. Wziął głęboki oddech, przez chwilę trzymał powietrze, a potem wypuścił je powoli, przygotowując zahartowane ciało do śmiałego wyczynu. Musiał w pierwszym skoku pokonać jak najwięcej szczebli drabinki. Mocno uchwycił strzelbę, jeszcze raz odetchnął i poderwał się do skoku. Jednocześnie nacisnął cyngiel, uruchamiając automatyczny ostrzał. Broń zaterkotała w dłoni, a napastnicy rzucili się na pokład. Wyciągniętą prawą ręką złapał najwyższy szczebel. Bose stopy śmignęły po drabince, prawie jej nie dotykając. Kątem oka spostrzegł białe obłoczki wystrzałów. Pokonywał ostatni szczebel, kiedy dosięgły go pociski. Tylko siła rozpędu i determinacja nie pozwoliły mu spaść na dolny pokład. Oczy zasnuła mgła, a w uszach zadudnił własny oddech.

Opuścił broń. Gniewnie zaklął w myślach. Głęboko za-czerpnął powietrza, odpędzając mgłę i zbierając siły do odwrócenia głowy. Strzelba wciąż spoczywała w lewej dłoni, lecz nie czuł kolby. Cały lewy bok ciała zalewała krew, niemal czarna w zapadającym mroku. Musiał coś zrobić. Inaczej - będzie po nim.

Lewe ramię i noga przestały słuchać poleceń mózgu, toteż podciągnął się, polegając jedynie na sprawności obu prawych kończyn. Oparł strzelbę o prawe ramię i znów wypalił w kierunku obcej łodzi dając napastnikom znać, że jeszcze żyje i jest niebezpieczny.

To miało powstrzymać ich desant na jacht

Przyjrzał się odniesionym obrażeniom. Jedna kula przeszła boczny mięsień lewego uda, druga zaś - lewy obojczyk. Każda z ran wyglądała poważnie. Po pierwszym palącym bólu w barku ręka odrętwiała, a w konsekwencji - stała się bezużyteczna. Noga z pewnością nie utrzymałaby ciężaru ciała, ale Sabin wiedział z doświadczenia, że odrętwienie ustąpi, a wraz z powrotem bólu odzyska część sprawności w zranionych mięśniach, gdyby oczywiście zdecydował się tak długo czekać.

Zaryzykował i znów podniósł głowę. Łódź napastników okrążała go od tyłu. Z tej strony górny pokład jachtu był całkowicie odsłonięty. Mogli do niego strzelać jak do tarczy.

- Sabin! Wiemy, że jesteś ranny! Nie zmuszaj nas, żebyśmy musieli cię zabić.

O, niewątpliwie woleli dostać go żywego i po swojemu przesłuchać, wiedział też jednak, że nie stracą okazji. Prędzej zabiją go, jeśli zajdzie taka konieczność, niż pozwolą mu uciec.

Zaciskając z bólu zęby, podciągnął się do panelu z przyrządami kontrolnymi i przekręcił kluczyk zapłonu. Potężny silnik, kaszłąc, zbudził się do życia. Sabin nie widział, w jakim kierunku płynie, lecz to nie miało znaczenia, nawet gdyby wpadł na wrogą łódź. Dysząc, osunął się na pokład, aby zebrać siły. Musiał sięgnąć do przepustnicy, a zostało już mało czasu. Dojmujący ból ogarnął całą lewą stronę ciała, lecz ramię i noga zaczęły reagować na polecenia i była to zmiana na lepsze. Zignorował narastający ból i dźwignął się na prawej ręce, zmuszając lewą do pracy. Wysunął zakrwawione palce jak najdalej, aż dotknęły zaworu i ustawiły go na jazdę do przodu. Jacht gładko ruszył po falach, stopniowo nabierając rozpędu. Z łodzi napastników rozległy się okrzyki.

- Tak trzymaj, „Wanda” - wysapał, zachęcając jacht do walki. - Dalej, dalej!

Wszystkie mięśnie drżały z wysiłku, kiedy ponownie wyciągnął rękę i zdołał do końca otworzyć przepustnicę. Łódź zerwała się do skoku, reagując entuzjastycznym rykiem silnika na nagły dopływ mocy.

Rozwinąwszy maksymalną prędkość, musiał sprawdzić, dokąd zmierza. Jego szanse rosły wraz z każdym dodatkowym metrem oddalającym go od przeciwnika. Zawył z bólu, podnosząc się na nogi. Słony pot zalewał oczy. Musiał przenieść ciężar ciała na prawą stopę, ale lewa noga na szczęście nie ugięła się pod nim bezwładnie, a o to przecież prosił niebiosa. Obejrzał się przez ramię. Błyskawicznie oddalał się od napastników, chociaż oni wcale nie rezygnowali z pościgu.

Na górnym pokładzie goniącego go jachtu zauważył postać opierającą na ramieniu wielką rurę. Sabin zbyt często miał do czynienia z raketnicami, by od razu nie rozpoznać tego typu broni. Na sekundę przed błyskiem wystrzału, na dwie sekundy przed zniszczeniem „Wandy” przez eksplozję skoczył za prawą burtę w turkusową wodę zatoki.

Zanurkował jak najgłębiej, lecz miał mało czasu i siła wybuchu zakreśliła nim w wodzie jak dziecinnym bączkiem. Ból przeszył zranione mięśnie i znów oczy zasnuła mgła. Trwało to zaledwie sekundę czy dwie, a jednak wystarczyło, by całkiem stracił orientację. Dusił się, nie wiedział, gdzie jest powierzchnia, morska woda wydawała mu się teraz nie turkusowa, ale czarna, bezlitośnie wciągająca w głąb.

Uratowały go lata treningu. Nigdy nie wpadał w panikę i nie zamierzał popełnić tego kardynalnego błędu teraz.

Przestał walczyć z wodą. Zmusił się do względnego odprężenia, a woda sama wypchnęła go na powierzchnię. Gdy odzyskał orientację, zaczął płynąć, chociaż ledwie ruszał lewą ręką i nogą. Kiedy wreszcie wystawił głowę ponad fale i zaczerpnął ciepłego, przesyconego wonią soli powietrza, był całkowicie wyczerpany.

„Wanda” płonęła. Czarny dym kłębił się na tle szarego nieba, rozjaśnionego ostatnimi smugami światła. Tylko ciemność okrywająca morze i łód mogła przynieść Sabino-wi ratunek. Łódź napastników krążyła wokół „Wandy”, przeczesując reflektorem płonący jacht i otaczającą go taflę oceanu. Czuł, jak potężne silniki powodują wibrację wody. Albo znajdują jego ciało (czy, jak zapewne w poczuciu realizmu oczekiwali - to, co z ciała pozostało), albo będą szukać go żywego aż do skutku. Sabinowi pozostawało jedyne wyjście: utrzymać jak największą odległość od obcej łodzi.

Niezdarnie odwrócił się na plecy i zaczął płynąć, pracując tylko prawą ręką i nogą. Nie przestawał, póki nie znalazł się poza zasięgiem łuny płonącej „Wandy”. Sytuacja przedstawiała się nie najlepiej. Od brzegu dzieliły go co najmniej trzy, cztery kilometry. Osłabł w wyniku utraty krwi. Ledwie poruszał lewą ręką i nogą. Poza tym było wysoce prawdopodobne, że zanim zbliży się do łądu, zaatakują go rekiny. Był przecież ranny.

Parsknął pod nosem cynicznym śmiechem i natychmiast zachłysnął się wodą. Znalazł się między młotem a kowadłem, pomiędzy ludźmi - rekinami a morskimi drapieżcami, na równi spragnionymi krwi. Cholernie mała różnica, które go dopadną. Nie podda się bez walki. W żadnym razie nie zamierzał ułatwiać zadania przeciwnikom.

Wziął głęboki oddech i, leżąc na falach, usiłował ściągnąć szorty, lecz gwałtowne gesty sprawiły, że zaczął tonąć i musiał znów z trudem torować sobie drogę na powierzchnię. Trzymając już spodnie w zębach, zastanawiał się, jaki zrobić z nich użytek. Płótno było stare, poprzecierane, słabe. Powinien z łatwością podrzeć je. Jak w tym czasie utrzymać się na powierzchni wody? Potrzebował pomocy lewej ręki i nogi, w przeciwnym razie zadanie będzie niewykonalne.

Nie miał wyboru. Musiał zrobić to, co konieczne, mimo bólu.

Miotał się niezgrabnie i już nawet myślał, że znów pójdzie pod wodę, ale udało mu się przetrwać krytyczny moment. Gryzł brzeg krótkiej nogawki, próbując rozerwać materiał. Kiedy zębami strzepił nici, starał się odegnać myśli o bólu. Wreszcie rozerwał spodnie aż do paska. Płócienne wzmocnienie i podwójna stębnówka stawiały opór. Zaczął nadgryzać nogawkę w innym miejscu, aż uzyskał cztery kawałki tkaniny przyszyte do paska. Teraz przyszła kolej na żucie paska. Oderwał pierwszy kawałek i trzymał go w zaciśniętej pięści, nie przerywając pracy nad kolejnym fragmentem.

Odwrócił się na plecy, powierzając ciężar ciała wodzie. Jęknął, rozluźniając ranną nogę. Połączył węzłem dwa kawałki materiału. Miały długość wystarczającą do obwiązania uda. Założył opaskę uciskową, upewniając się, że zakrywa i wlot, i wylot kuli. Zaciśnął tkaninę najmocniej, jak się dało. Musiał powstrzymać krwawienie.

Z ramieniem sprawa przedstawiała się gorzej. Gryzł i szarpał szorty, aż oderwał dwa kolejne kawałki i połączył je węzłem. Gdzie powinien zawiązać zaimprovizowany bandaż? Nie wiedział nawet, czy na plecach znajduje się wylot, czy też kula nadal tkwi w barku. Powoli, niezdarnie założył prawą rękę na plecy. Zmarszczone od słonej wody palce wyczuły gładką skórę, co znaczyło, że kula siedziała w ranie, umiejscowionej tak wysoko, że obwiązanie jej materiałem, którym dysponował, wydawało się niemal niemożliwe.

Nawet połączone, dwa kawałki szortów nie tworzyły wystarczająco długiej opaski. Znów zaczął gryźć tkaninę. Oderwał następne dwa kawałki i połączył z poprzednimi. Cóż mógł zrobić? Przeciągnął zaimprovizowany bandaż przez plecy, potem pod pachą, i związał mocno nad obojczykiem. Z resztek szortów zrobił zwitek i wsunął pod opaskę na wysokości rany. Marny to był opatrunek, ale lepszy niż żaden. Sabinowi kręciło się w głowie, mięśnie

odmawiały posłuszeństwa, kończyny drętwiały. Ze wzrokiem wbitym w gwiazdy, całą siłę skupiał na pilnowaniu kierunku, w jakim dryfował. Nie zamierzał się poddać. Był w stanie leżeć na wodzie, a nawet samodzielnie przepływać krótkie odcinki. Mogło to trochę potrwać, ale jeśli nie dopadnie go żaden rekin, chyba sobie poradzi. Odwrócił się na plecy, przez parę minut odpoczywał i podjął żmudny, morderczy wysiłek dopłynięcia do brzegu.

To był wyjątkowo gorący lipiec, nawet jak na Florydę. Rachel Jones w sposób mimowolny dostosowywała styl życia do pogody, nie przejmując się jej kapryсами. Prace domowe załatwiała wczesnym rankiem lub odkładała na późne popołudnie.

Wstała o wschodzie słońca, wyrwała chwasty z grządek warzywnych w ogródku, nakarmiła gęsi i umyła samochód. Kiedy temperatura przekroczyła trzydzieści stopni, zaszła się w domu, nastawiła pranie, a potem kilka godzin poświęciła na przygotowanie notatek do wieczorowego kursu dziennikarstwa, który zgodziła się prowadzić w semestrze jesiennym w Gainesville. Nad głową Rachel miarowo furkotał wentylator, a ona, z włosami upiętymi w kok, ubrana jedynie w bluzkę bez rękawów i stare szorty, czuła się świetnie pomimo upału. Pod ręką miała zawsze szklankę mrożonej herbaty, którą piła podczas lektury.

Gęsi spokojnie przenosiły się całym stadkiem z jednej kopy trawy na drugą, prowadzone przez dostojnego kaczora Ebenezera. Harmider zrobił się, kiedy Ebenezer i pies Joe wszczęły dysputę na temat praw do chłodnego skrawka trawy w cieniu krzewu oleandra. Rachel podeszła do przeszkłonych drzwi i krzyknęła na niesfornego zwierzęta, przywołując je do porządku.

Większość letnich dni upływała sielsko i leniwie. Życie nabierało rozpędu jesienią, kiedy zaczynał się sezon turystyczny, a w dwóch sklepikach z pamiątkami należącymi do Rachel, w Treasure Island i Tarpon Springs, panował duży ruch. W tym roku będzie zajęta bardziej niż zwykle, wzięwszy pod uwagę wykłady z dziennikarstwa. Na razie miała mnóstwo wolnego czasu, mimo że pracowała nad swoją trzecią książką. Nie gonił jej termin, tekst powinna oddać dopiero przed Gwiazdką i na razie wyprzedzała wyznaczony plan. Miała w sobie tyle energii i zapału, że osiągała wiele, bez zbędnego pośpiechu.

Tu czuła się u siebie. Głęboko zapuściła korzenie w piaszczystą glebę. Dom, w którym mieszkała, należał do jej dziadka, a jej rodzina żyła na tej ziemi od stu pięćdziesięciu lat. W latach pięćdziesiątych dom przebudowano i nie przypominał już pierwotnego budynku. Po wprowadzeniu się Rachel wyremontowała wnętrze, lecz czuła, że atmosfera domostwa nie zmieniła się i wciąż gnieźdzą się tu dobre duchy przodków. Znała każdy kąt i każdą piędź okolicznej ziemi tak dobrze jak odbicie własnej twarzy, a może i lepiej, ponieważ nie lubiła marnować czasu przed lustrem.

Zaprzyjaźniła się z wysokim sosnowym zagajnikiem i pofałdowanymi łąkami za domem, z każdym pagórkiem, drzewem i krzakiem. Między sosnami biegła ścieżka ku plaży, o którą były fale zatoki. Tutejszy odcinek plaży nie był zagospodarowany, po części ze względu na obfitość zaścielających brzeg kamieni, po części zaś dlatego, że właściciele przyległych do morza posiadłości, zasiedziali tu od pokoleń, z niechęcią patrzyliby na luksusowe osiedla i motele wyrastające im pod nosem. Ta kraina należała do hodowców bydła. Dom Rachel otaczało olbrzymie ranczo Johna Rafferty'ego, a Rafferty, podobnie jak ona, nie palił się do sprzedania ziemi pod zabudowę.

Plaża była dla Rachel azylem, miejscem spacerów i rozmyślań oraz źródłem ukojenia, które niosły wędrujące bez końca fale. Zatokę nazwano Diamentową. W wodzie uderzającej o podwodne przybrzeżne skałki promienie słońca rozszczepiały się na tysiące barwnych świetlistych smug tak, że dopływające do brzegu fale migotały i skrzyły się niczym tysiące diamentów. Dziadek Rachel nauczył ją pływać. Czasem miała wrażenie, że jej życie wzięło początek z turkusowego oceanu.

Zatoka była symbolem wspaniałych czasów dzieciństwa. Rachel nie wyobrażała sobie większej frajdy niż odwiedziny u dziadka. Kiedy miała dwanaście lat i zmarła jej matka, plaża i ocean stały się drugim domem. W jakiś magiczny sposób ocean potrafił złagodzić ból i pomógł pogodzić się ze stratą. Wspomnienie dziadka po latach wciąż wywoływało uśmiech na twarzy. Nigdy nie był zbyt zajęty lub zakłopotany, by odpowiadać na dość drażliwe pytania, stawiane przez dorastającą dziewczynkę. Dał jej swobodę, by rozwinęła skrzydła, a jednocześnie pilnował, by nie postępowała wbrew zdrowemu rozsądkowi. Zmarł tego samego roku, w którym ukończyła studia. Dopusił do siebie śmierć dopiero wtedy, gdy poczuł się gotowy na jej przyjęcie. Rozstawał się z ziemskim padolem bez żalu. Jego spokój udzielił się wnuczce. Oczywiście oplakiwała go i tęskniła, lecz smutek tłumiała świadomością, że dziadek pragnął śmierci.

W starym domu zagościła pustka. Rachel podjęła pracę zawodową, początkowo jako reporterka w gazecie wydawanej w Miami. Poznała B.B. Jonesa i zgodziła się zostać jego żoną. Ich małżeństwo okazało się nadzwyczaj udane. B.B. był dla niej kimś więcej niż mężem. Był także przyjacielem. Stanowili bardzo zgraną parę, byli szczęśliwi, snuli liczne, ciekawe plany i myśleli, że świat stoi przed nimi otworem. Piękny sen urwał się wraz z nagłą śmiercią B.B. W wieku dwudziestu pięciu lat Rachel została wdową. Rzuciła pracę i wróciła nad zatokę, raz jeszcze znajdując pocieszenie w bezkresie tajemniczego oceanu. Czuła się okaleczona emocjonalnie, lecz czas i spokojne życie uleczyły ją z melancholii. Nie dręczyła jej jednak potrzeba powrotu do życia, jakie prowadziła przedtem - pełnego ciekawych zdarzeń, toczącego się na przyspieszonych obrotach. Tu miała dom i była zadowolona, robiąc to, co robiła. Dwa sklepiki z pamiątkami zapewniały środki do życia, a dodatkowy dochód

przynosiły pisane od czasu do czasu artykuły, jak również książki przygodowe, cieszące się zaskakującą popularnością wśród czytelników.

To lato w Zatoce Diamentowej nie różniło się niczym od poprzednich - poza tym, że panowała wyższa temperatura. Upał i wilgoć wprost zapierały dech w piersi. Zdarzały się dni, które Rachel najchętniej spędziłaby w hamaku z wachlarzem w ręce. Zachód słońca przynosił ulgę, ale tylko do pewnego stopnia. Nocą od zatoki wiała lekka bryza, chłodząc rozpaloną skórę, jednak nadal było za gorąco na sen.

Wzięła zimny prysznic i usiadła na stojącej na werandzie ławce-huśtawce, leniwie odpychając się stopą od podłogi. Zgrzyt łańcuchów brzmiał w trojgłosie z cykaniem świerszczy i rechotem żab. Joe leżał pod drzwiami, śniąc swoje psie sny. Rachel w błogim nastroju zamknęła oczy. Wietrzyk mile muskał twarz. Myślała o planach na następną dzień. Właściwie czekała ją powtórka zajęć z dwóch poprzednich dni, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Kiedyś żyła w nieustannym pośpiechu, pod presją tempa pracy reporterskiej, i to ją wówczas ekscytowało, teraz natomiast czerpała radość z życia ustabilizowanego, pełnego spokoju.

Chociaż miała na sobie tylko szorty i przydużą męską koszulę z podwiniętymi rękawami i rozpiętymi trzema górnymi guzikami, czuła, jak na skórze między piersiami zbierają się kropelki potu.

- Idę na spacer - oznajmiła psu, który nastawił uszy, ale nie otworzył oczu.

Nie spodziewała się, że za nią pójdzie. Joe nie należał do psów przyjacielskich. Był niezależny i nietowarzyski. Na widok wyciągniętej dłoni cofał się rozniewany i pokazywał zęby. Musiał być źle traktowany, zanim pewnego dnia przed kilku laty pojawił się na podwórku. Rachel zawarła z psem układ. Karmiła go, a on pilnował małego gospodarstwa. Wciąż nie pozwalał się pogłaskać, lecz w razie niebezpieczeństwa stanąłby u jej boku w okamgnieniu. Kiedy Rachel pracowała w ogródku, pies kręcił się zwykle gdzieś w pobliżu. Ich partnerstwo oparte było na wzajemnym szacunku i obojgu dawało zadowolenie.

Idąc przez podwórze, a potem krętą ścieżką przez sosnowy zagajnik do plaży, Rachel pomyślała sobie, że Joe się nie przemęczał. Nieczęsto wzywały go obowiązki strażnika. Poza listonoszem niewiele osób ją odwiedzało. Mieszkała w jedynym w okolicy domu, na końcu zwykłej, nie utwardzonej drogi przecinającej posiadłość Rafferty'ego. Sąsiad nie należał do ludzi towarzyskich, do których można zajść na pogawędkę. Czasem wpadała z wizytą Honey Mayfield, kiedy akurat wezwano ją do zwierząt Raffer-ty'ego. Obie kobiety przyjaźniły się, lecz Rachel przeważnie siedziała w domu sama, co wcale jej nie przeszkadzało. Dobrze się czuła, odbywając nocne przechadzki ubrana jedynie w bieliznę i rozpiętą męską koszulę.

Ścieżka wśród sosen opadała łagodnie ku brzegowi. Była gwiazdzista, jasna noc. Rachel chodziła tędy od dzieciństwa, nie potrzebowała więc latarki. Potrafiła znaleźć drogę nawet w panującym pod sosnami mroku. Dom dzieliło od plaży niecałe pół kilometra. Lubiła spacerować nocą nad brzegiem. Uwielbiała wsłuchiwać się w odgłosy oceanu i obserwować fale zwieńczone białymi pianistymi grzywaczami. Wolała odpływy niż przyływy. Cofający się ocean zostawiał wtedy na piasku swoje skarby, niczym dary miłości.

Piękna noc. Bez księżycy, bez chmur. Od lat nie widziała tak błyszczących gwiazd, których światło załamywało się na grzbietach fal. Zatoka Diamentowa. Dobra nazwa. Na wąskim, nierównym pasie plaży rosły kępy chwastów, a krawędź zatoki znaczyły zębate ostrza skał, niebezpiecznych szczególnie w czasie przyływu. Rachel mogła godzinami stać i obserwować pobłyskujące fale, oczarowana siłą i pięknem oceanu.

Skrzypiący piasek chłodził bosc stopy. Zanurzyła w nim palce jeszcze głębiej. Nagły powiew wiatru odgarnął jej włosy z twarzy. Wciągnęła w nozdrza woń czystego, słonego powietrza. Była sam na sam z oceanem.

Bryza zmieniła kierunek i włosy zakryły Rachel twarz. Uczyniła gest, aby je odgarnąć, lecz ręka zawisła w powietrzu. Zmarszczyła brwi. Przysięgłaby, że coś poruszyło się w wodzie, kiedy jednak wyteżyła wzrok, nie dostrzegła w falach niczego. Może to tylko ryba? Albo dryfujący kawałek drewna? Szukała czegoś takiego do nowej kompozycji kwiatowej, ruszyła więc brzegiem, odgarniając z twarzy niesforne kosmyki.

A jednak w morzu coś było! Pospiesznie weszła do wody, mocząc stopy w spienionej przybrzeżnej płyćźnie. Ciemny kształt poruszył się i przybrał dziwną postać. W srebrzystej gwiazdnej poświacie wyglądał jak zmęczony pływak, usiłujący skoordynować ruchy. Jasny, wygięty kształt przypominał muskularne ramię, zaś ciemna kula obok - głowę.

Bez chwili zastanowienia rzuciła się na ratunek walczącego z falami człowieka. Fale odpychały ją coraz silniej. Kończył się odpływ. Tonący zniknął z oczu Rachel. Wydała ochryply krzyk rozpacz. Szaleńczo rozzgniewała sięgającą piersi, zalewającą twarz wodę. Gdzie on był? Rachel zanurzyła ręce w miejscu, gdzie widziała go po raz ostatni, lecz natrafiła na pustkę.

Prędzej czy później fale wyniosły go na brzeg. Zataczając się, Rachel zawróciła. Nagle znów przez ułamek sekundy mignęła jej głowa tonącego. Z trudem podpłynęła i już po chwili zacisnęła palce na mocnych, bujnych włosach. Gorączkowo wyciągnęła głowę topielca na powierzchnię. Miał zamknięte oczy.

- Tylko mi nie umrzyj! - mruknęła przez zacisnięte zęby, chwytając go pod ramiona i holując do brzegu.

Dwa razy fale ścięły ją z nóg i za każdym razem myślała, że raczej utonie, niż dowiecze ciężar na ląd.

Kiedy wyciągnęła bezwładne ciało z wody, padła na kolana, dysząc i kaszląc.

ROZDZIAŁ 2

Był nagi. Przyjęła ten fakt do wiadomości i zajęła się ważniejszymi sprawami. Łapczywie chwyciła powietrze, lecz zmusiła się do wstrzymania oddechu, aby wyczuć najłżejsze ruchy klatki piersiowej mężczyzny i sprawdzić tym samym, czy bije serce i pracują płuca. Leżał spokojnie, nazbyt spokojnie. Nie dawał oznak życia, a jego skóra wydawała się bardzo chłodna...

Musiła być chłodna! Rachel potrząsnęła głową, aby uwolnić myśli z pajęczyny zmęczenia. Przecież Bóg jeden wie, jak długo przebywał w wodzie. Kiedy spostrzegła go po raz pierwszy, pływał - dość niemrawo, a jednak o własnych siłach. Minęło wiele cennych sekund, zanim ona wkroczyła do akcji.

Wyteżając wszystkie siły, przewróciła go na brzuch. Nie należało do mikrusów. W blasku gwiazd widać było potężną muskulaturę. Dysząc, Rachel usiadła na topielcu okrakiem i zaczęła rytmicznie uciskać łopatki, aby pobudzić płuca. Nauczył ją tego dziadek, i to nauczył dobrze.

Miała mocne ręce i barki, zahartowane pracą w ogrodzie i pływaniem. Nie przerywała, aż jej wysiłek został nagrodzony. Rozległ się zdławiony kaszel i strumień wody wypłynął z ust mężczyzny.

- Nareszcie! - Odetchnęła z ulgą i dalej uciskała zimną skórę pleców na wysokości łopatek.

Nieznajomy dostał ataku kaszlu, wygiął plecy w łuk, jęknął ochryple, zadygotał i bezwładnie opadł na piasek. Rachel szybko odwróciła go z powrotem na plecy i pochyliła się zaniepokojona. Oddech stał się słyszalny, co prawda nieregularny, płytki i zbyt szybki, lecz najważniejsze, że mężczyzna oddychał. Miał w dalszym ciągu zamknięte oczy. Kiedy nim potrząsnęła, głowa opadła na bok. Był nieprzytomny.

Przysiadła na piętach. Zadrżała z zimna, czując przez mokrą koszulę powiew bryzy. Patrzyła na ciemnowłosą głowę spoczywającą na piasku. Dopiero wtedy zauważyła prowizorycznie przewiązany bark. Chciała usunąć pas materiału, sądząc, że to skrawek koszuli, którą miał na sobie w chwili wypadku (coś musiało przytrafić mu się na morzu). Poznała, że mokra tkanina, której dotknęła, to drellich, płótno zbyt grube na koszulę noszoną w upalne dni. Wyczuła też, że materiał został zawiązany na supeł. Zsunęła go. Spod supła wypadł zwitek materiału i w ramieniu ukazała się rana, paskudna dziura, całkiem czarna w bladej poświacie gwiazd.

Rachel wpatrywała się w ranę, porażona tym, co odkryła. Mężczyzna został postrzelony! Widziała w życiu wiele ran postrzałowych i nawet przy tak skąpym świetle, zmieniającym rzeczywiste barwy, nie mogła się mylić. Przeniosła wzrok na morze, szukając tam sygnałów świetlnych wysyłanych przez jakąś łódź. Na próżno. Zaniepokoiła się nie na żarty. Musiała mieć się na baczności. Nikt nie strzela bez powodu. Nasuwał się logiczny wniosek: ktokolwiek strzelał, będzie chciał to powtórzyć.

Mężczyzna potrzebował pomocy, nie zdołałaby jednak wziąć go na plecy i zanieść do domu. Wstała i raz jeszcze uważnie popatrzyła na morze, aby upewnić się, że niczego nie przeoczyła, lecz horyzont był pusty. Musiała zostawić rannego na brzegu i pójść do domu.

Podjąwszy decyzję, nie marnowała cennych chwil. Pochyliła się, chwyciła mężczyznę pod ramiona i zapadając się po kostki w piasku, sapiąc z wysiłku, odciągnęła go na bezpieczną odległość od przybierającego oceanu. Nawet przez mgłę nieświadomości dotarł do niego ból, spotęgowany przez przymusowe przenosiny. Wydał cichy, ochryply jęk. Na twarzy Rachel pojawił się wyraz współczucia, lecz dobrze wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Kiedy uznała, że znaleźli się wystarczająco daleko w głębi łądu, jak najdelikatniej ułożyła rannego, szepcząc przeprosiny za sprawiony mu ból.

- Zaraz wrócę - zapewniła, głaszcząc nieruchomą mokrą twarz, i puściła się biegiem.

Do tej pory ścieżka w górę plaży przez sosnowy lasek wydawała się krótka i łatwa do pokonania, tej nocy jednak ciągnęła się w nieskończoność. Rachel biegła, nie zważając na korzenie raniące bosa palce, na igły wbijające się w skórę. Kiedy zahaczyła o gałąź i musiała przystanąć w pół kroku, gorączkowo rozdarła koszulę, zrzuciła ją i, niczym już nie kępowana, popędziła w górę zbocza.

Światła domu witały ją jak latarnia morska wita żeglarza, który pragnie jak najszybciej przybić do portu. Nie mogła jednak zostać w dobrze znanych, przyjaznych czterech ścianach. Musiała wracać na plażę. Przecież od niej zależało życie mężczyzny.

Joe usłyszał panią. Stał na skraju werandy z obnażonymi kłami, powarkując z cicha. Rachel nie miała czasu, by go uspokajać. Ugryzie - trudno! Będzie się o to martwiła później. Ale pies nawet nie spojrzał na Rachel, która wpadła na schody jak burza, omal nie wyrwijąc drzwi z zawiasów. Czujnie stał na straży, obserwując sosny i plażę, gotów zaatakować tego, kto przestraszył panią.

Chwyciła telefon i starała się uspokoić oddech, aby mogła mówić wyraźnie i sensownie. Trzęsącymi się rękami szukała w notesie numeru pogotowia, przybrzeżnej służby ratowniczej lub przynajmniej lokalnej policji. Kogokolwiek! Rzuciła notes, zaklęła z gniewem i znów go podniosła. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie wezwać patrol straży przybrzeżnej, odpowiednio wyposażony i przeszkolony.

Znalazła właściwy numer i już miała go wystukać, gdy nagle ręka zawisała w powietrzu. Nie potrafiła tego logicznie uzasadnić, lecz instykt doświadczonego reportera podpowiedział jej, że powinna zachować sprawę w tajemnicy, przynajmniej na razie. Postanowiła go posłuchać, tak jak to robiła, kiedy jeszcze pracowała w gazecie. Energetycznie odłożyła słuchawkę i, drżąc ze zdenerwowania, próbowała zebrać myśli.

Żadnej policji. Nie teraz. Mężczyzna leżący na plaży był bezbronny i nie stanowił zagrożenia ani dla niej, ani dla kogokolwiek. Widać spotkało go coś więcej niż zwykła strzelanina czy sprzeczka, której uczestnicy stracili panowanie nad sobą i sięgnęli po broń. Może to handlarz narkotykami? Terrorysta? A może nie żaden przestępca i Rachel jest jego jedyną szansą na przeżycie?

Kiedy wyciągała z garderoby w sypialni pikowany koc, a następnie wybiegała z domu z Joem przy nodze, przed oczami stanęły jej sceny z przeszłości. Poza zwyczajnym, codziennym życiem przeciętnych obywateli istniał inny świat - świat zbrodni. Rachel go poznała. To on zabił jej męża. Mężczyzna na plaży mógł okazać się niewinną ofiarą lub łajdakiem, ale jeśli był przestępcą, Rachel zdążyłaby powiadomić władze, zanim wylizałby się z ran, natomiast jeśli był ofiarą, mógł liczyć tylko na nią.

Leżał tam, gdzie go zostawiła. Fale dopływały na parę centymetrów od jego stóp. Zasapana, ukłękła na piasku i przyłożyła dłoń do piersi mężczyzny. Odetchnęła z ulgą, kiedy poczuła miarowy ruch żeber. Żył! Joe stanął przy pani, opuścił głowę, położył uszy po sobie i warcząc, nie spuszczał oczu z intruza.

- Spokojnie, Joe - odezwała się, machinalnie poklepując psa, który, o dziwo, po raz pierwszy nie cofnął się przed pieszczołą.

Rozpostarła koc na piasku, wsunęła ręce pod bezwładne ciało i przetoczyła je na koc. Ranny nawet nie jęknął. Była za to wdzięczna, bo chyba nie zniósłaby świadomości, że znów sprawiła mu ból.

Kilka minut zajęło jej układanie mężczyzny na kocu. Potem musiały odpocząć. Zaniepokojona zerknęła na morze, lecz horyzont ział pustką. Zresztą światła przepływających wzdłuż brzegu łodzi byłyby zwykłym widokiem o tej porze. Joe otarł się o nogę Rachel i zawarczał. Musiała zebrać siły. Pochyliła się, chwyciła koc za rogi od strony głowy leżącego i zaparła się piętami o piach. Dysząc, wyętzając wszystkie mięśnie i kładąc na szalę cały swój ciężar, zdołała przeciągnąć ciało mężczyzny zaledwie o metr. Boże, ależ był ciężki!

Oczekiwała, że po pokonaniu plaży, na śliskim od igieł poszyciu sosnowego lasku będzie lżej. Gdyby zaś przeliczyła się w tych rachubach, przeniesienie rannego okazałoby się niewykonalne. Wiedziała, że dotarcie do drzew będzie trudne, ale nie zdawała sobie sprawy, że to zadanie na granicy wytrzymałości dla kobiety. Była silna i zdrowa. Los nieznanego spoczywał w jej rękach. Oczywiście, że go zaciągnie do domu! Nawet, gdyby musiała podzielić drogę na dwucentymetrowe odcinki!

Niestety, rzeczywistość niewiele odbiegła od najczarniejszych przewidywań. Chociaż Rachel zdołała przeciągnąć mężczyznę przez plażę, chociaż koc gładko przesunął się po iglastym podłożu, ścieżka wiodła pod górę. Zbocze było dość strome. Zwykle śmigła po nim jak kozica, lecz obciążonej ładunkiem kobiecie wydawało się ono pionową ścianą. Zwolniła tempo, straciła rytm. Rozpaczliwie rzuciła się do przodu, szarpała za koc, padała na kolana. Jej płuca pracowały jak miechy i zanim dotarła do połowy leśnej dróżki, pulsujący ból ogarnął całe ciało. Przystanęła i oparła się o sosnę, walcząc ze wzbierającymi nudnościami. Gdyby nie zbawienny pień, upadłaby, bowiem jej nogi i ręce dygotały jak w febrze.

Gdzieś w pobliżu zahukała sowa, a świerszcze cykały nieustannie, nie zważając na dramatyczne wypadki rozgrywające się na brzegu. Joe wiernie towarzyszył pani i za każdym razem, kiedy przystawała, by odpocząć, łąsił się u stóp, co było jak na niego zachowaniem wprost niezwykłym. Pies nie szukał ochrony. To on bronił pani, stając między nią a obcym człowiekiem. Rachel wzięła głęboki oddech, szykując się do następnego etapu zmagania.

- Dobry pies - pochwaliła, głaszcząc bok Joego.

Pochyliła się i chwyciła rogi zaimprovizowanych noszy, a wtedy pies niespodziewanie złapał brzeg koca i warknął. Rachel zastanawiała się, czy to oznacza, że Joe zabrania jej iść dalej. Uważnie obserwując zwierze, zaparła się drżącymi nogami, odchyliła do tyłu i resztką sił szarpnęła koc. Wciąż warcząc, Joe zrobił to samo. Dzięki połączonemu wysiłkowi kobiety i psa koc przesunął się o metr.

Rachel otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Dobry pies! - powtórzyła. - Dobry pies!

Przypadek czy celowe działanie? Joe był dużym, silnym psem. Honey Mayfield oceniła jego wagę na czterdzieści kilo. Gdyby dał się nakłonić do wspólnego ciągnięcia koca, znacznie szybciej przetransportowaliby mężczyznę do domu.

- No dobrze - szepnęła, mocniej zaciskając palce na brzegu tkaniny. - Zobaczmy, czy to powtórzysz.

Pociągnęła koc. Joe też pociągnął, nie przerywając cichego powarkiwania, jak gdyby wyrażał dezaprobatę wobec tego, co robi jego pani, lecz oferując pomoc, skoro pani tak na tym zależy.

Wkrótce zostawili za sobą sosnowy zagajnik. Przed nimi została tylko droga gruntowa wiodąca na podwórze i samo podwórze. Rachel wyprostowała się i spojrzała na dom. Nie wiedziała jeszcze, jak wniesie mężczyznę po dwóch schodkach na werandę. Ale skoro przydźwigała go taki szmat drogi, na pewno sobie poradzi ze schodkami - nie w ten, to w inny sposób. I znów, zgięta w pół, zaczęła ciągnąć koc. Poza jękiem na plaży, ranny nie wydał z siebie głosu, nawet kiedy koc sunął po wystających korzeniach i kamieniach. Rachel kucnęła na chłodnej, wilgotnej trawie. Oddychał. Po przeżyciach, jakie mu, z konieczności, zafundowała, Rachel nie miała śmiałości pytać o cokolwiek. Raz jeszcze, marszcząc czoło, zerknęła na dwa schodki.

Przydałoby się jakieś urządzenie do przetransportowania bezwładnego ciała. Nagle zrozumiała, że przecież czas nagli. Im szybciej wnieśnie mężczyznę do domu, tym lepiej. Mieszkała na odludziu, toteż rzadko odwiedzali ją nie zapowiedziani goście, ale przecież ci, którzy będą szukali postrzelonego człowieka, nie zaliczali się do kategorii gości. Musi go ukryć, dopóki ranny nie odzyska przytomności, a ona nie dowie się, co właściwie mu się przydarzyło.

Jedyny sposób pokonania schodków to chwycić rannego pod pachy i, idąc tyłem, tak jak to zrobiła przy wychodzeniu z morza, wciągnąć go na ganek. Joe nie mógł teraz pomóc. Musiała dźwignąć głowę, barki i tors, najcięższą część ciała mężczyzny.

Traci cenny czas, trzeba działać. Tymczasem padała ze zmęczenia. Ręce i nogi ciążyły jak ołów, poruszała nimi ospale i niezdarne. Kiedy wstała, lekko się zatoczyła. Delikatnie owinęła rannego kocem, wsunęła ręce pod jego ramiona i wyteżając wszystkie siły, uniosła go do pozycji półsiedzącej i oparła o swoje nogi. Zaczął się osuwać, więc Rachel, wydając okrzyk przerażenia, otoczyła jego tułów ramionami i mocno spłótła dłonie. Głowa mężczyzny opadła do przodu, jak głowa noworodka. Zaniepokojony Joe warczał z bezsilności. Nie mógł pomóc pani jak przy ciągnięciu koca.

- Nie denerwuj się - upomniała zdyszana. - Teraz muszę to robić inaczej.

Zastanowiła się, do kogo właściwie mówi: do psa czy do mężczyzny. Uznała, że obu towarzyszy nocnej akcji traktuje z równi powagą.

Za plecami miała schodki. Mocno obejmując tors rannego, na wpół ugiętych nogach odepchnęła się do tyłu.

Z łomotem usiadła na pierwszym stopniu. Krawędź górnego schodka otarła jej plecy do żywej skóry, ale jednak zdołała trochę podciągnąć bezwładne ciało. Od naprężania mięśni poczuła piekący ból w krzyżu i w nogach.

- O Boże - szepnęła. - Nie mogę teraz zemdleć! Za chwilę odpocznę, ale nie teraz.

Zaciskając zęby, podniosła się na nogi, bardziej zawierając silnym mięśniom ud niż nadwreżonemu grzbietowi. I znów, zapierając się stopami, dźwignęła mężczyznę. Teraz wylądowała na górnym stopniu. Z oczu popłynęły łzy bólu i zmęczenia. Głowa i tors postrzelonego leżały już na schodkach. Nogi spoczywały jeszcze na poziomie podwórza, lecz jeśli Rachel zdołałaby wciągnąć górną połowę ciężkiego ciała na ganek, reszta byłaby łatwa. Musiała raz jeszcze wykonać morderczy manewr.

Nie wiedziała, jak to zrobiła i skąd wzięła siły. Zapierała się, odpychała, natężyła i nagle upadła plecami na drewnianą podłogę werandy, a ranny przygniótł jej nogi. Zaszokowana, leżała tak przez chwilę, ze wzrokiem wbitym w żółte światło lampy ogrodowej, wokół której krążył rój owadów. Czuła, jak serce szaleńczo wali jej w piersiach. Słyszała swój chrapliwy oddech. Usiłowała wciągnąć w płuca tyle powietrza, aby zaspokoić potrzeby przepracowanych mięśni. Ciężar mężczyzny miażdżył jej nogę, ale to przecież znaczyło, że się udało! Wciągnęła go na werandę!

Jęcząc i płacząc, usiadła, deski pod plecami wydawały się cudownie wygodne. Przez chwilę walczyła z przygniatającym ją balastem, ale na to, by wstać, nie znalazła już sił. Dopełzła do przeszklonych drzwi, oparła się o nie i otworzyła, a potem powlokła się z powrotem do mężczyzny. Jeszcze metr, dwa, potem następne drzwi, skręcić w prawo i prosto, do sypialni. Siedem, dziesięć metrów. I tyle tylko wymagała od swego organizmu!

Oryginalna metoda ciągnięcia za skraj koca wydawała się niezłym pomysłem. Joe z entuzjazmem rzucił się do pomocy i teraz to on wykonał lwią część pracy, bowiem Rachel oszczędzała resztkę sił. Powoli, systematycznie przeciągnęli rannego przez werandę. Razem nie zmieściliby się w drzwiach, toteż Rachel weszła pierwsza, ukłękła i chwyciła za róg koca. Pies warcząc wygiął grzbiet, szarpnął i tak oto mężczyzna pokonał drzwi. Rachel i Joe poszli za ciosem. Nie minęła minuta, jak koc z ładunkiem spoczął na podłodze sypialni przy łóżku. Pies natychmiast wypuścił tkaninę z zębów i wycofał się z obnażonymi kłami. Reagował w ten sposób na nie znane mu wnętrze domu.

Rachel nie próbowała wobec niego pieszczot. Już i tak wymagała od niego zbyt wiele. Pies musiał pokonać tyle własnych obaw i zahamowań, że nie zniósłby chyba dodatkowych gestów sympatii z jej strony.

- Tędy. - Nadludzkim wysiłkiem podniosła się na nogi i odprowadziła Joego do wyjścia. Śmignął koło niej jak strzała i łąpczywie chłonąc odzyskaną wolność, zniknął w ciemnościach podwórza, tam, gdzie nie docierało światło lampy. Wypędziła komara, który wpadł do domu, i powoli zamknęła drzwi na werandę, a następnie drzwi sieni i tylne wejście do domu. Zaciągnęła zasłony. Zamknęła staromodne okiennice w sypialni. Dopiero gdy zabezpieczyła dom, najlepiej jak umiała, popatrzyła na nagiego mężczyznę rozciągniętego na podłodze sypialni. Potrzebował fachowej pomocy medycznej, ale Rachel nie odważyłaby się wezwać lekarza. W myśl przepisów lekarze musieli zawiadamiać władze o wszelkich ranach postrzałowych.

Tylko jedna osoba, co do której dyskrecji Rachel nie miała wątpliwości, mogła wchodzić w grę. Weszła do kuchni i, modląc się w duchu, aby przyjaciółka była w domu, wykręciła numer Honey Mayfield. Po trzecim sygnale w słuchawce odezwał się zaspany głos.

- Mayfield. Słucham.
- To ja, Rachel. Możesz przyjechać?
- Teraz? - Honey ziewnęła. - Coś się stało Joemu?
- Nie, zwierzaki czują się dobrze. Ale... weźmiesz torbę lekarską? Tylko włóż ją do reklamówki, żeby nikt nie widział.
- To jakiś żart?
- Nie. Pospiesz się.
- Będę jak najszybciej.

Równocześnie odłożyła słuchawki. Rachel wróciła do sypialni i kucnęła przy rannym. Był wciąż nieprzytomny, chociaż chyba nawet umarły ocknąłby się po przejażdżce na kocu tak wyboistą trasą. Konfrontacja ze śmiercią, przeżyty szok i utrata krwi spowodowały, że nie odzyskał jeszcze przytomności. Rachel ogarnął strach. Drżącymi dłońmi dotknęła twarzy leżącego, jak gdyby chciała mu przekazać impuls życia. Skóra wydawała się cieplejsza niż na plaży. Oddychał powoli, ciężko unosząc pierś. Z rany na barku sączyła się krew, a piasek oblepił całe ciało, łącznie z włosami, mokrymi od wody morskiej. Kiedy Rachel próbowała wytrząsnąć trochę piasku z włosów, pod palcami poczuła coś lepkiego. Ze zmarszczonym czołem spojrzała na czerwonawą ciecz, która splamiła jej dłoń, i nagle zrozumiała. Mężczyzna był ranny także w głowę. A ona ciągnęła go pod górę, a potem dosłownie zmaltretowała na schodkach werandy! Cud, że go nie zabiła!

Rzuciła się do kuchni i nalala ciepłej wody do największej plastycznej miski. Postawiła ją na podłodze sypialni i jak najdelikatniej zmyła z włosów tyle piasku i krwi, ile zdołała. Rozplątując palcami pozlepiane kosmyki, znalazła okazałą opuchliznę z prawej strony głowy, na skroni. Odgarnęła włosy, odsłaniając ranę o postrzępionych brzegach. Z pewnością nie była to rana postrzałowa. Zapewne uderzył się w głowę albo został uderzony. Ale dlaczego wciąż nie odzyskiwał przytomności? Kiedy po raz pierwszy spostrzegła go w morzu, pływał o własnych siłach, musiał więc być przytomny. Stracił przytomność dopiero u brzegu Zatoki Diamentowej.

Przyłożyła ręcznik do rany, próbując usunąć piasek z rozcięcia skóry. Czy uderzył głową o jedną z potężnych, ostro zakończonych skał, znaczących linię brzegową zatoki? Przy odpływie znajdowały się tuż pod powierzchnią wody i trudno było je ominąć. Rachel знаła zatokę jak własną kieszeń i doszła do wniosku, że mężczyzna musiał uderzyć o skałę. Zaciśnęła usta. Ciągnęła taki szmat drogi rannego, który prawdopodobnie doznał wstrząsu mózgu! A jeśli swoją wybująłą wyobraźnią, przedwczesnymi obawami i pełną wahania postawą przyczyni się do jego śmierci? Wstrząs mózgu to poważna sprawa, tak samo rana postrzałowa. Boże, czy dobrze zrobiła? Może mężczyzna został postrzelony przypadkiem, wypadł za burtę, a wstrząs mózgu i ból sprawiły, że stracił orientację? Może ktoś go gorączkowo poszukiwał?

Patrzyła na niego zamyślona. Jak gdyby w geście przeprosin lekko pogłaskała ciepłą, zbrązowiałą od słońca rękę nieznajomego. Popisała się głupotą! Powinna od razu wezwać patrol straży przybrzeżnej, nie zaś dodatkowo szkodzić rannemu nie przemyślanym postępowaniem. Już miała zerwać się na nogi, zapomnieć o szalonych wizjach gangsterskich porachunków i nareszcie zachować się rozsądnie, kiedy spostrzegła zdumiona, że lewa noga rannego jest przewiązana kawałkiem drelichu. Tak jak bark. Ciarki przebiegły jej po plecach. Podsunęła się do nóg leżącego, z góry bojąc się tego, co znajdzie pod przepaską. Nie mogła rozwiązać węzła - był zaciśnięty zbyt mocno i nasiąkł wodą, co jeszcze utrudniało zadanie.

Z koszyka z przyborami do szycia wyjęła nożyczki i zręcznie rozcięła materiał. Na widok paskudnej rany mięśnia nożyczki wypadły jej z rąk. A więc dostał także postrzał w nogę. Obejrzała ranę dokładnie, jak lekarz. Znalazła wlot i wylot, czyli że kula nie tkwiła już w ciele. Z barkiem mężczyzna nie miał takiego szczęścia.

Przypadkowy podwójny postrzał? O nie, to się nie zdarza. Ktoś z rozmysłem próbował go zabić.

- A ja na to nie pozwolę! - stwierdziła gniewnie.

Ostry ton głosu zaskoczył ją samą. Nie знаła rannego mężczyzny leżącego na podłodze bez ruchu, lecz pochyliła się nad nim z troskliwością i determinacją lwicy broniącej potomstwa. Zdecydowała, że dopóki nie odtworzy przebiegu zdarzeń, nie pozwoli nikomu skrzywdzić nieznajomego.

Delikatnymi, ostrożnymi ruchami zaczęła myć umęczone ciało. Nagość nie wprawiała jej w zakłopotanie. W tak niezwykłych okolicznościach niedorzecznością byłoby wzdrgać się przed obnażonym mężczyzną, chorym i bezbronnym. Gdyby opalał się nago na plaży, a ona przechodziła obok - to całkiem inna sytuacja, lecz teraz po prostu potrzebował jej opieki i leczyło się to bardziej niż fałszywy wstyd.

Usłyszała nadjeżdżający samochód i pospiesznie podniosła się z podłogi. To Honey. Chociaż zazwyczaj Joe nie okazywał gościom płci żeńskiej takiej wrogości jak mężczyznom, mógłby odreagować świeże przeżycia na Bogu ducha winnej lekarce weterynarii. Rachel wyszła na werandę. Nie spostrzegła psa, lecz spod krzewu oleandra dobiegł cichy warkot. Samochód skręcił na podjazd do domu.

Honey wysiadła, zabrała z tylnego siedzenia dwie torby na zakupy i ruszyła ścieżką przez podwórze.

- Dzięki, że na mnie czekasz - odezwała się na powitanie. - Ciocia Audrey chce, żebyś rzuciła okiem na wzory

pikowanych narzut, które szyje do twoich sklepów.

- Wejdz - zaprosiła Rachel, otwierając przeszklone drzwi.

Kiedy Honey wchodziła po schodkach, Joe znów zawarczał, ale został pod oleandrem.

Honey postawiła torby na podłodze i patrzyła, jak Rachel starannie zamyka drzwi do sieni na klucz.

- Co tu się dzieje? - zapytała, spoglądając z niepokojem na przyjaciółkę. - Dlaczego muszę udawać, że niosę w torbach próbki wzorów krawieckich?

- Tutaj. - Rachel zaprowadziła Honey do sypialni. Nie licząc miarowego oddechu unoszącego klatkę piersiową, ranny nadal się nie ruszał. - Został postrzelony - wyjaśniła, klękając przy mężczyźnie.

Rumiana twarz Honey przybrała barwę kredy.

- Boże, co tu się dzieje? Kto to jest? Wezwiałaś szeryfa? Kto go postrzelił?

- Moja odpowiedź na trzy z tych pytań brzmi: nie wiem - odparła Rachel, nie patrząc na przyjaciółkę. Nie spuszczała wzroku z twarzy nieznanego. Ze wszystkich sił pragnęła, aby otworzył oczy i sam zaspokoił ciekawość Honey. - I nie zamierzam wzywać szeryfa.

- Jak to: nie zamierzasz?! - Zwykle opanowana Honey była wyraźnie wytrącona z równowagi widokiem rannego mężczyzny. - To ty do niego strzelałaś?

- Oczywiście, że nie! Morze wyrzuciło go na brzeg!

- Tym bardziej powinnaś wezwać szeryfa!

- Nie mogę! - Rachel podniosła głowę. Jej spojrzenie wyrażało stanowczość, a zarazem dziwny spokój. - Nie mogę narażać jego życia na niebezpieczeństwo.

- Straciłaś rozum, czy co? On potrzebuje lekarza, a szeryf musi przeprowadzić śledztwo, dlaczego został postrzelony. Może to zbiegły zbrodniarz albo handlarz narkotykami?

- Wiem. - Rachel wzięła głęboki oddech. - Raczej nic mi nie grozi ze strony tak bezbronnego człowieka. Spójrz, w jakim jest stanie. A jeśli rzeczywiście w coś się wplątał, w szpitalu nie miałby szans na przeżycie. W każdej chwili mogliby go dopaść.

Honey potarła dłonią czoło.

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz - powiedziała znużonym tonem. - Co to znaczy: „wplątał się”? Dlaczego sądzisz, że ktoś chce go dopaść? Żeby zakończyć to, co rozpoczął?

- Tak.

- To robota dla szeryfa!

- Posłuchaj, kiedy pracowałam jako reporterka, widziałam wiele dziwnych rzeczy. Raz byłam świadkiem znalezienia zwłok. Facet dostał kulę w tył głowy. Szeryf spisał protokół, zwłoki zabrano do identyfikacji, a kiedy po dwóch dniach w prasie ukazała się krótka wzmianka, przeczytałam, że denat zmarł z przyczyn naturalnych! Trochę się zdziwiłam. Poszperałam, popytałam. Protokół szeryfa zniknął! W kartotece lekarza sadowego nie było akt człowieka zabitego strzałem w głowę. Dano mi do zrozumienia, żebym przestała węszyć. Ludzie z rządu zajęli się tą sprawą i nie chcieli rozgłosu.

- To bez sensu - mruknęła Honey.

- Ten człowiek był agentem!

- Czyim? Agencji Antynarkotykowej? FBI?

- Dobry trop, ale prowadzi głębiej.

- Był szpiegiem?

- Był agentem. Nie wiem, dla kogo pracował, ale sprawę szybko wyciszono i zatuszowano. Potem zaczęłam dostrzegać inne rzeczy, które wcale nie wyglądały tak, jak się z pozoru wydawało. Zbyt wiele widziałam, aby wierzyć, że ten człowiek będzie bezpieczny, jeśli wydam go władzom.

- Myślisz, że to agent? - Honey szeroko otworzyła piwne oczy.

Rachel zmusiła się do zachowania spokoju.

- To prawdopodobne. Uważam, że gdybyśmy przekazały go szeryfowi, jego życiu mogłoby zagrazać niebezpieczeństwo. Figurowałby wtedy w oficjalnych raportach i byłoby łatwo wpaść na jego trop.

- A jeśli handluje narkotykami? Chroniąc go, sama narażasz życie.

- Możliwe - przyznała Rachel. - Ale to on jest ranny, a nie ja. Może liczyć tylko na to, co zechcę mu zapewnić. Jeśli Agencja Antynarkotykowa rozbiła gang handlarzy, dowiemy się o tym z prasy lub radia. Jeśli to zbiegły morderca, powiedzą o nim w dzienniku. Ale dopóki jest w tym stanie, nikogo nie skrzywdzi, więc jestem bezpieczna.

- A jeśli doszło co porachunków między handlarzami ścigając go kumple? Narazisz się na niebezpieczeństwo ze strony rannego, i jego kolesiów.

- Muszę zaryzykować - odparła cicho Rachel, dzielnie wytrzymując wzrok zaniepokojonej przyjaciółki. - Wiem, na co powinnam być przygotowana, i orientuję się w zagrożeniach. Może przesadzam, ale pomyśl, jaki los spotkałby tego człowieka, gdyby moje obawy okazały się słuszne.

Honey wzięła głęboki oddech. Nie dawała za wygraną.

- To brzmi całkiem nieprawdopodobnie: ranny szpieg wyrzucony przez morze akurat na plaży pod twoim domem. Takie rzeczy nie zdarzają się zwykłym ludziom, a ty przecież mieścisz się w tej grupie, chociaż trochę

zdziwaczałaś.

- Oczywiście! To nieprawdopodobne, że ranny mężczyzna znalazł się akurat na moim kawałku plaży, bez względu na to, czym się zajmował. Ale fakt pozostaje faktem! Jest tu i rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Zrobiłam, co mogłam, ale jemu potrzeba pomocy medycznej. W ramieniu wciąż tkwi kula. Honey, proszę!

Trudno w to uwierzyć, ale Honey zrobiła się jeszcze bledsza.

- Chcesz, żebym ja się nim zajęła? On potrzebuje prawdziwego lekarza, nie weterynarza!
- Nie mogę wezwać lekarza. Oni mają obowiązek meldować policji o wszelkich ranach postrzałowych. Poradzisz sobie. Tu nie chodzi o narządy niezbędne dla procesów życiowych. Tylko bark, noga i chyba wstrząs mózgu. Proszę!

Honey zerknęła na nagiego mężczyznę i zacisnęła usta.

- Jak go tu przyniosłaś?
- Joe i ja ciągnęliśmy go na kocu.
- Jeśli to poważny wstrząs mózgu, potrzebna będzie hospitalizacja.
- Wiem. Zajmę się tym w razie potrzeby. Wymyślę coś.

Przez parę minut kobiety milczały, patrząc na nieznanego leżącego u ich stóp.

- No dobrze - odezwała się wreszcie Honey – zrobię co w mojej mocy. Dźwignijmy go na łóżko.

Honey była wyższa i silniejsza, więc chwyciła rannego pod pachy, Rachel natomiast wsunęła jedną rękę pod jego biodra, a drugą pod uda. Jak zauważyła już wcześniej, był to postawny i wspaniale umięśniony mężczyzna, co znaczyło, że ważył więcej niż ktoś tego samego wzrostu, lecz nie z tak imponującą masą mięśniową. Jego bezwład nie ułatwiał zadania. Poza tym musiały uważać na obrażenia.

- Dobry Boże, jak ci się udało przytaszczyć go pod górę, nawet z pomocą Joego? - spytała zdyszana Honey.
- Musiało się udać. - Rachel nie miała innego wyjaśnienia.

Kiedy wreszcie przeniosły ciężar, Rachel osunęła się na podłogę, wyczerpana przerastającym jej możliwości wysiłkiem, na który się zdobyła. Pochylona nad łóżkiem Honey z wyrazem napięcia na piegowatej twarzy badała rannego.

ROZDZIAŁ 3

Był a trzecia nad ranem. Honey wyszła przed godziną, a Rachel, która do tej pory dzielnie dawała sobie radę, poczuła wręcz paraliżujące zmęczenie. Wzięła długi, gorący prysznic i zmyła z włosów morską sól. Temperatura powietrza spadła wreszcie do znośnego poziomu, lecz wkrótce, wraz ze wschodem słońca, miała znów wzrosnąć. Rachel, która ledwie trzymała się na nogach, z trudem zwalczyła pokusę, by natychmiast położyć się i usnąć. Zmusiła się, by włączyć suszarkę i wysuszyć włosy.

Wyciągnięty z morza mężczyzna spał - albo wciąż był nieprzytomny. Niewątpliwie doznał wstrząsu mózgu, ale, zdaniem Honey, niezbyt poważnego. Nie znajdował się też w stanie śpiączki. Fakt, że nie odzyskiwał świadomości, wynikał z połączenia kilku czynników: wyczerpania, utraty krwi, przeżytego szoku i uderzenia w głowę. Honey wyjęła kulę z barku, zaszyla i zabandażowała rany, zrobiła zastrzyk przeciwwężcowy i podała antybiotyki. Następnie razem z Rachel umyły mężczyznę, zmieniły pościel i ułożyły go najwygodniej, jak umiały. Zdecydowawszy się pomóc przyjaciółce, Honey działała w typowy dla siebie sposób: spokojnie, sprawnie i systematycznie. Rachel była jej za to bezgranicznie wdzięczna. Chociaż sama czuła, że dotarła do kresu wytrzymałości fizycznej, znalazła siły, by asystować przy drastycznej operacji usuwania kuli i opatrywania ran.

Po wysuszeniu włosów włożyła czystą koszulę. Przestraszyła się własnej twarzy, którą zobaczyła w łazienkowym lustrze - pod oczami kładły się ciemne cienie, skóra przybrała odcień kredowobiały. Rachel była skrajnie wyczerpana, wiedziała, że dłużej tak nie pociągnie. Musiała się przespać. Ale gdzie? Na tym polegał problem!

W jej łóżku, jedynym łóżku w domu, leżał obcy mężczyzna. Nie miała nawet kanapy, tylko dwa fotele. Wprawdzie mogła ułożyć sobie legowisko na podłodze, lecz była tak zmęczona, że sama myśl o dodatkowym wysiłku była nie do przyjęcia. Wyszła z łazienki i spojrzała na swoje przytulne łóżko i mężczyznę nieruchomo spoczywającego w śnieżnobiałej pościeli.

Musiała się przespać, ale musiała również być w pobliżu rannego, tak by usłyszeć, kiedy się ocknie. Była trzydziestoletnią wdową, nie zaś strachliwym podlotkiem. Najrozsądniej byłoby po prostu położyć się obok rannego i porządnie wypocząć. Przez chwilę jeszcze przyglądała się nieprzytomnemu mężczyźnie i podjęła decyzję. Zgasiła światło, podeszła do łóżka z drugiej strony i ostrożnie wśliznęła się pod kołdrę, starając się nie potrącić chorego. Kiedy rozluźniła wreszcie umęczone mięśnie, aż jęknęła. Przekreśliła się na bok, położyła rękę na ramieniu mężczyzny, aby poczuć natychmiast każdy jego ruch, i zasnęła jak kamień.

Kiedy się obudziła, panował upał. Spływała potem.

Otworzyła oczy i na widok opalanej męskiej twarzy na sąsiedniej poduszce wpadła w popłoch, lecz szybko przypomniała sobie wydarzenia minionej nocy. Wsparta na łokciu, przyjrzała się z uwagą śpiącemu. Mimo gorąca nie był spocony, a jego oddech wydawał się nieco przyspieszony. Zaniepokojona Rachel usiadła, dotknęła twarzy mężczyzny i poczuła bijący od skóry żar. Nieznajomy nagłym ruchem odsunął głowę. Miał gorączkę. Należało się tego spodziewać.

Zrywając się z łóżka, zerknęła na zegarek. Minęło południe, nic więc dziwnego, że w domu było tak gorąco. Otworzyła okna i włączyła podsufitowe wentylatory, aby wypędzić z domu trochę rozgrzanego powietrza, zanim uruchomi klimatyzację, co obniży zdecydowanie temperaturę.

Najpierw jednak musiała zająć się chorym. Rozpuściła dwie aspiryny w łyżeczce wody i jak najdelikatniej uniosła głowę rannego.

- Otwórz buzię - przemówiła jak do dziecka - i połknij to. Potem pozwolę ci odpocząć.

Głowa mężczyzny leżała bezwładnie na jej ramieniu. Powieki zwieńczone czarnymi rzęsami ani drgnęły. Miał bujne, jedwabiste włosy, a dotyk rozpalonej skóry nie pozwalał zapomnieć o gorączce. Rachel przytknęła łyżeczkę do ust śpiącego, dostrzegając ich prostą, zdecydowaną linię. Pod naciskiem łyżeczki dolna warga trochę się uchyliła.

- No dalej! - szepnęła Rachel. - Otwórz usta.

Jak głęboko zapadał w nieświadomość? Czy słyszał jej głos? Czy chwycił sens słów? A może cichy, czuły sposób mówienia potrącił w nim jakąś strunę? Może poczuł jej dotyk lub zapach jej ciała? Coś musiało do niego dotrzeć, bo spróbował obrócić ciało, lekko przesunął głowę i nieco rozchylił usta. Serce Rachel zabiło żywiej, gdy nakłoniła rannego do przełknięcia leku. Miała nadzieję, że się nie udławi. Po tak wspaniałym początku udało się jej podać jeszcze trzy łyżeczki wody, zanim na powrót stracił przytomność.

Zmoczyła ręcznik w zimnej wodzie, złożyła go i przyłożyła do czoła mężczyzny, a następnie odkryła jego ciało do linii bioder i zaczęła je nacierać. Powoli, niemal mechanicznymi ruchami zwilżyła ręcznikiem piersi, muskularne barki i ręce, płaski, twardy brzuch, aż do miejsca, gdzie włosy pokrywające tors zwały się w cienką, jedwabistą linię. Wzięła głęboki oddech. Nigdy nie widziała bardziej pociągającego mężczyzny.

Poprzedniej nocy nie dopuszczała do siebie takich myśli. Najważniejsza była wtedy szybka, skuteczna pomoc i opatrzenie ran, teraz zdała sobie sprawę, że wyciągnięty z oceanu mężczyzna jest bardzo atrakcyjny. Miał regularne rysy i wąski nos. Kształt ust, których dotykała - a zwłaszcza szlachetna rzeźba górnej wargi - świadczył o silnym, zdecydowanym charakterze, graniczącym z bezwzględnością; dolna warga wyrażała niepokojącą zmysłowość. Kanciasty podbródek i mocno zarysowaną żuchwę pokrywał krótki, ciemny zarost. Czarne jak węgiel, bujne i gęste włosy były jedwabiste. Równie opalona skóra miała ciemnooliwkowy odcień.

Był świetnie umięśniony, z pewnością nie w wyniku objadania się hormonami w odżywkach. Taką muskulaturę buduje się ciężką pracą i ćwiczeniami fizycznymi rozwijającym zarówno siłę, jak i szybkość. Rachel uniosła jedną z dłoni rannego, szczupłą, o długich palcami. Miał krótko obcięte, wypiełgnowane paznokcie i lekko zgrubiały naskórek na koniuszkach palców i wewnętrznej stronie dłoni. Oddech Rachel przyspieszył rytm i znów poczuła ciarki na plecach. Niepewnym gestem dotknęła blizny na brzuchu nieznanego. Wygięta jasna linia niemal świeciła na tle ciemnej opalenizny. Biegła przez żołądek i prawy bok, niknąc gdzieś na plecach. Nie była to blizna chirurgiczna po przebytej operacji. Rachel zrobiło się zimno na myśl o okrutnej, zażartej walce na noże. Zapewne mężczyzna wykonał nagły skręt, unikając ciosu noża, który prześliznął się po skórze, rozcinając ją niezbyt głęboko.

Blizna i odciski na rękach nie mogły należeć do kogoś, kto zajmował ciepłą posadkę. Poza tym człowiek o przeciętnej sprawności fizycznej nie dopłynąłby z takimi ranami do brzegu. Taki wyczyn wymagał niesamowitej kondycji i determinacji. Rachel pamiętała, że wczoraj nie zauważyła w oddali żadnych świateł, które mogłyby należeć do statku czy łodzi. Spojrzała na surową, zaciętą twarz śpiącego i zadrżała na myśl o sile psychicznej drzemającej pod nieruchomymi rysami i zamkniętymi powiekami. Tyle że mimo całej swej siły ranny nieznanemu był teraz bezbronny, a jego los zależał wyłącznie od Rachel. Zdecydowała się go ukryć, a więc także - pielęgnować i chronić najlepiej, jak zdoła. Instykt podpowiadał jej, że podjęła trafną decyzję, lecz wiedziała, że niepokój jej nie opuści, póki nie pozna faktów.

Dzięki aspirynie i nacieraniu zimną wodą gorączka nieco ustąpiła. Wydawało się, że ranny zapadł w głębszy sen. Rachel nie potrafiłaby jednak określić różnicy między snem a brakiem świadomości. Honey obiecała wpaść później i zbadać pacjenta, aby sprawdzić, czy wstrząs mózgu nie był poważniejszy, niż początkowo oceniła. Cóż było robić? Należało wrócić do codziennych zajęć.

Umyła zęby, uczesała się i przebrała w szorty koloru khaki oraz białą bawełnianą bluzkę bez rękawów. Zaczęła się przebierać w sypialni, tak jak zawsze. Nagle rzuciła wzrokiem na nieznanego śpiącego w jej łóżku i poczuła się nieswojo. Weszła do łazienki i zamknęła drzwi. B.B. nie żył od pięciu lat i Rachel odwykła od obecności mężczyzny w domu.

Zamknęła okna, włączyła klimatyzację i wyszła przed dom. Natychmiast ruszył ku niej kaczor Ebenezer ze swoim wiernym gęsim stadkiem. Kwakaniem wyrażał niezadowolenie z powodu zbyt długiego oczekiwania na ziarno. Rachel uważała, że ze świecą szukać większej zrzędy niż Ebenezer, ale lubiła dziwactwa wielkiego, tłustego, białego ptaka, obnoszącego po podwórzu swój majestat. Zza domu wybiegł Joe. Obserwując, jak pani karmi ptactwo, swoim zwyczajem zachował dystans. Rachel napełniła jego miskę jedzeniem, nalała czystej wody do drugiego naczynia i odeszła. Pies nigdy się nie zbliżał, kiedy stała przy jego miskach.

W ogródku zerwała z krzaków kilka pomidorów i zerknęła na pędy fasoli. Jeszcze dzień, dwa i zieloną fasolę trzeba będzie zebrać. Tymczasem pusty żołądek domagał się swoich praw. Zazwyczaj jadała śniadanie parę godzin wcześniej. Załamał się cały jej dotychczasowy rozkład dnia, a walka o nadrobienie zaległości niewiele by dała. Jakże mogła skupić się na pisaniu, skoro wszystkie jej myśli krążyły wokół nieznanego?

Zajrzała do niego. Nie poruszył się, zmieniła mu więc tylko okład na czole i postanowiła zaspokoić głód. Było tak gorąco, że gotowanie czegokolwiek nie wchodziło w grę. Zjadła kanapkę z wędliną i świeżo zerwanym pomidorem oraz wypila szklankę mrożonej herbaty. Włączyła radio i usiadła, aby wysłuchać wiadomości. Nie zawierały one zresztą żadnych rewelacji: spory polityków w parlamencie i we władzach lokalnych, jakiś pożar, głośny w okolicy proces sądowy, a potem słówko o pogodzie (jeszcze większe upały). Żadna z informacji nie miała najmniejszego związku z nieznanym, który w tak niezwykły sposób trafił pod jej dach.

Rachel prawie godzinę słuchała wiadomości nadawanych przez rozmaite rozgłośnie, lecz trud okazał się daremny. Był spokojny dzień, a upał zatrzymał większość ludzi w domach. Spikerzy nie wspominali o żadnych obławach na morderców czy handlarzy narkotyków. Kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód, wyłączyła radio i wyjrzała przez okno. Honey, z torbą na zakupy w dłoni, wysiadała właśnie z auta.

- Co słyhać? - zagadnęła, kiedy tylko przekroczyły próg domu.
- Nie rusza się. Kiedy wstałam, miał gorączkę, więc zaaplikowałam mu dwie aspiryny i trochę wody. Potem natarłam go mokrym ręcznikiem.

Honey weszła do sypialni i ostrożnie zbadała chorego, obejrzała szywy na barku i udzie i zmieniła opatrunki.
- Kupiłam nowy termometr - powiedziała półgłosem, strzepując rtęć i wsuwając termometr do ust chorego. - Moje przybory nadają się tylko dla zwierząt.

Rachel kręciła się niespokojnie.
- Jak to wygląda?
- Reakcje źrenic poprawiły się i rany są oczyszczone, ale jeszcze długa droga, zanim się wyliże. Przez parę dni nie wstanie. Im dłużej poleży tak jak teraz, tym lepiej dla niego. Musi opierać głowę na poduszce i nie wykonywać żadnych ruchów ani nogą, ani ręką.

- A gorączka?

Honey zbadala puls i wyjęła termometr z ust rannego.

- Trzydzieści osiem stopni. Stan nie jest krytyczny, ale, powtarzam, tak będzie przez kilka dni. Co cztery godziny podawaj mu aspirynę i tyle wody, ile zdoła wypić. I nacieraj go zimną wodą. To mu przyniesie ulgę. Przyjadę jutro, nie mogę wpadać za często, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Rachel zdobyła się na uśmiech.

- Nie sądzisz, że ciebie też ponosi wyobraźnia?

Honey wzruszyła ramionami.

- Słuchałam radia i czytałam gazetę. Niczego nie znalazłam. Może uległam twojej sugestii, ale myślę, że dwa scenariusze są prawdopodobne. Albo to agent, albo kurier narkotykowy ukrywający się przed własnymi ludźmi.

Patrząc na zmierzwione czarne włosy leżącego mężczyzny, Rachel pokręciła głową.

- Sądzę, że to nie jest handlarz narkotykowi

- Czemu nie? Czy musi mieć tatuaż albo inny znak rozpoznawczy?

- Pewnie szukam uzasadnienia, że postępuję słusznie.

- Chyba tak. Ucięłam sobie rano pogawędkę z zastępcą szeryfa. Nie wspomniał o żadnym wypadku. Jeśli twój podopieczny jest zamieszany w handel narkotykami, zdązysz się o tym dowiedzieć, zanim wyzdrowieje na tyle, by ci zagrozić. Tak więc doszłam do wniosku, że masz rację.

Istniała jeszcze inna możliwość, o której Rachel nie miała zamiaru mówić przyjaciółce. A jeśli ranny był agentem jakichś tajnych służb? Narkotyki czy służby specjalne - niewielka różnica. Ten sam świat brudnych machinacji. Poznała go dobrze. Była reporterka, i to bardzo dobrą, wręcz asem w swoim zawodzie. Umiała dotrzeć do faktów, nawet narażając się na niebezpieczeństwo. Wiedziała o niebo lepiej niż Honey, czym grozi ukrywanie człowieka wyłowionego z morza w takich okolicznościach, lecz uczciwość i przyzwoitość nie pozwalały jej ot tak, po prostu, wykręcić się sianem i wydać rannego szeryfowi. Od chwili gdy zobaczyła mężczyznę walczącego resztką sił z falami i pomogła mu, wzięła na siebie odpowiedzialność za jego los. Przekazanie go władzom nie wchodziło w rachubę. Dopóki istniało choćby domniemanie, że ranny zasługuje na opiekę, musiała mu ją zapewnić. Musiała podjąć ryzyko.

- Ile potrwa, zanim odzyska przytomność? – spytała półgłosem.

Honey zawahała się.

- Nie wiem. Pamiętaj, że jestem weterynarzem. Biorąc pod uwagę gorączkę, utratę krwi i uraz głowy... Po prostu nie wiem. Powinien być podłączony do kroplówki, przyjmować płyny. Puls ma słaby i szybki. Prawdopodobnie potrzebuje też trochę krwi. Jest w szoku, ale wyjdzie z tego. Może się ocknąć w każdej chwili, a równie dobrze dopiero jutro. Kiedy się obudzi, będzie nieco zdezorientowany. Nic dziwnego. Nie pozwól, żeby się zdenerwował, i nie daj mu wstać.

Rachel spojrzała na wspaniale umięśniony tors, zastanawiając się, jakim sposobem mogłaby w czymkolwiek przeszkodzić komuś tak silnemu. Honey wyjęła z torby gazę i plaster.

- Rano zmień mu opatrunki. Przyjadę dopiero jutro wieczorem, chyba że stan chorego się pogorszy. Wtedy zadzwoń do mnie. To lepsze wyjście niż wezwanie lekarza.

Rachel uśmiechnęła się bez entuzjazmu.

- Dzięki. Wiem, że niełatwo jest ci zajmować się tą sprawą.

- Dzięki tobie czuję dreszczyk emocji. Inaczej zanudziłabym się na śmierć. Muszę lecieć. Rafferty czeka i się niecierpliwi.

- Pozdrów go ode mnie - poprosiła Rachel, odprowadzając przyjaciółkę na ganek.

- Zależy, w jakim będzie nastroju. - Honey uśmiechnęła się ironicznie.

Odkąd otworzyła praktykę w tej okolicy, nieustannie toczyła boje z Raffertym, który dawał jej do zrozumienia, że kobieta nie ma dość siły, aby wykonywać zawód weterynarza. Honey postawiła sobie za cel dowieść, że farmer się myli. Z czasem oboje nabrali do siebie szacunku, jednak nie złożyli broni. Honey była od dawna zaręczona z inżynierem pracującym za granicą (zamierzali wziąć ślub zimą, kiedy narzeczony wróci do Stanów), co chroniło ją przed zakusami Rafferty'go, znanego kobieciarza, ponieważ nie zwykł on kłusować na cudzym terenie.

Joe bacznie obserwował zza węgła, jak Honey wsiada do samochodu i odjeżdża. Zazwyczaj w takich chwilach Rachel przemawiała do psa uspokajającym tonem, dziś jednak sama była czujna i spięta.

- Pilnuj domu - przykazała, nie wiedząc, czy zwierzę rozumie komendę. - Dobry piesek. Pilnuj!

Spędziła parę godzin nad rękopisem powieści, lecz nie mogła skupić się na pracy. Wciąż nasłuchiwała, czy z sypialni nie dobiega jakiś dźwięk. Co chwila zaglądała do chorego i za każdym razem zastawała go w niezminionej pozycji na łóżku. Kilkakrotnie próbowała podać mu coś do picia, lecz głowa rannego opadała bezwładnie. Na nic nie reagował. Późnym popołudniem gorączka znów zaczęła rosnać i Rachel porzuciła pisanie. Musiała podać choremu aspirynę.

Miał wyższą temperaturę niż w południe. Na twarz wystąpiły mu płomienne rumieńce. Podnosząc głowę mężczyzny, Rachel wypowiadała kojące, pieścizotliwe słowa. Wolną ręką poklepywała muskularne piersi i ramiona, próbując wzbudzić jakąkolwiek reakcję. Jej wysiłki zostały nagrodzone, bowiem nagle chory głośno jęknął.

Rachel zamarła, trzymając w ramionach mężczyznę, którego coraz dłuższy zarost kłuł ją w szyję. Od śmierci męża żyła samotnie, lecz nigdy nie czuła się złąkniona miłości i dotyku mężczyzny, złąkniona do tego stopnia, żeby niewinny, odruchowy gest pobudził jej ciało i pamięć. Zawstydziała się. Co, na Boga, chodzi jej po głowie?

Sięgnęła po łyżeczkę z rozpuszczoną aspiryną i, tak jak wcześniej, przytknęła ją do ust chorego. Niespokojnie odwrócił głowę, a w ślad za nią Rachel przeniosła łyżeczkę.

- Nie rób tak - złała. - Nigdzie mi nie uciekniesz. Otwórz buzię i połknij. Poczujesz się lepiej.

Smugi czarnych brwi zbiegły się w jedną linię i nieznajomy znów wzdrygnął się i uchylił przed łyżeczką. Rachel uparcie spróbowała jeszcze raz - i gorzka aspiryna trafiła do jego ust. Przełknął, nie opierał się także, kiedy napoiła go kilkoma łyżeczkami mrożonej herbaty, potem jednak znów zapadł w stan nieświadomości. Powtarzając poranny porządek, Rachel natarła go zimną wodą, a kiedy aspiryna zaczęła działać i gorączka nieco opadła, zostawiła chorego, żeby odpoczywał.

Żywa reakcja, chociaż niezbyt przychylna opiekunce, dawała nadzieję, że ranny wkrótce odzyska przytomność. Długa noc jednak zdusiła tę nadzieję w zarodku. Tylko regularnie podawane dawki aspiryny hamowały wzrost

temperatury i utrzymywały ją na znośnym poziomie. Rachel prawie nie zmrużyła oka. Większość nocy spędziła pochylona nad chorym, cierpliwie nacierając go mokrym ręcznikiem, aby jak najbardziej obniżyć gorączkę, i wykonując wszelkie czynności niezbędne przy pielęgnacji obłożnie chorego.

O brzasku mężczyzna znów jęknął i spróbował przekreślić się na bok. Rachel domyśliła się, że od długotrwałego leżenia w jednej pozycji bolą go mięśnie, więc pomogła mu ułożyć się na prawym boku. Wykorzystała tę zmianę, żeby zwilżyć plecy rannego zimną wodą. Uspokoił się niemal natychmiast, a jego oddech stał się głęboki i równy. Rachel nie przerywała nacierania, aż była pewna, że mężczyzna śpi naprawdę wygodnie i bezpiecznie, i dopiero wtedy, skrajnie wyczerpana, padła na łóżko. Patrząc na muskularne plecy nieznajomego, zastanawiała się, czy w ogóle wolno jej spać. Z drugiej strony jednak nie była w stanie dłużej czuwać. Powieki ciążyły jak ołów, a po chwili same się zamknęły i Rachel usnęła od razu.

Spała niewiele ponad dwie godziny, a kiedy się obudziła, było jeszcze wcześnie. Mężczyzna znów leżał na plecach. Skopana kołdra tworzyła bezkształtny zawój wokół jego lewej nogi. Zdenerwowana tym, że nie obudziły jej gwałtowne ruchy chorego, wstała z łóżka i poprawiła pościel, jak najdelikatniej obchodząc się z uwięzioną nogą. Przy okazji obejrzała nagie ciało w całej okazałości. Pospiesznie odwróciła wzrok i zarumieniła się. Do diaska, co się z nią działo? Wiedziała, jak wygląda nagi mężczyzna, a wyłowionego z morza nieznajomego oglądała nie pierwszy raz. Już prawie dwa dni go pielęgnowała, a przedtem pomagała przy zszywaniu ran. Wy tłumaczyła sobie, że to typowa reakcja kobiety na widok atrakcyjnego mężczyzny. Podziw dla takiego ciała to rzecz zwyczajna, powinna więc przestać zachowywać się jak rozhisteryzowany podlotek!

Podciągnęła kołdrę aż do piersi leżącego, a potem nakłoniła go do zażycia aspiryny. Czemu jeszcze nie oprzytomniał? Czyżby wstrząs mózgu okazał się poważniejszy, niż sądziła Honey? Ale nic nie wskazywało na pogorszenie stanu chorego, wręcz przeciwnie - reagował żywiej niż na początku i łatwiej było mu podać aspirynę i picie. Rachel pragnęła, by otworzył oczy i przemówił, tym bardziej że nie miała pewności, czy podejmując decyzję o ukryciu go w domu, nie wyrządziła mu krzywdy.

Przed kim go ukryła? A może tylko ośmieszyła się swymi podejrzeniami? Nikt go nie szukał, a w świetle, bezchmurnego poranka wszystkie jej przypuszczenia wydawały się niedorzecznością.

Nakarmiła zwierzęta i popracowała w ogródku. Zebrała trochę fasoli i zerwała z krzaka kilka dojrzałych pomidorów. Na zerwanie czekały też żółte kabaczki. Postanowiła zrobić na kolację zapiekankę. Kiedy skończyła pielenie grządek, upał stał się nie do zniesienia. Nie wiała nawet bryza od strony zatoki i nad ziemią zalegała nieruchoma, rozpalona warstwa powietrza. Rachel tęsknie pomyślała o pływaniu, lecz nie mogła zostawić chorego bez opieki.

Gdy znów do niego zajrzała, kołdra leżała skopana w nogach łóżka. Niespokojnie kręcił głowę. Za wcześnie było na kolejną dawkę aspiryny, ale chory miał rozpalone ciało. Rachel przyniosła miskę zimnej wody, przysiadła na skraju materaca i powoli nacierała gorącą skórę mokrym ręcznikiem. Zastanawiała się, czy w ogóle warto chorego przykrywać. Dla rozgorączkowanego ciała było po prostu zbyt gorąco, chociaż przy włączonej klimatyzacji temperatura w domu wydawała się znośna. Ostrożnie, niemal nie

dotykając rannego, wyprostowała skłębioną pościel, a potem położyła dłonie na jego stopach. Miał ładne stopy - szczupłe, opalone i wypiełgnowane tak jak ręce i, podobnie jak na rękach, na ich zewnętrznych krawędziach Rachel wyczuła zgrubienia.

Mężczyzna trenował sporty walki.

Poszła na kompromis: zakryła go kołdrą tylko do pasa. Zbierało jej się na płacz. Bez powodu. Z pewnością uratowany z morza świadomie wybrał swój sposób na życie. Nie mogła się spodziewać, że podziękuje jej za okazane współczucie i pomoc. Ludzie decydują się na życie pełne niebezpieczeństw, bo tego właśnie chcą. Sama kiedyś tak żyła i z własnej woli zaakceptowała ryzyko, jakie niesła jej praca. B.B. uważał ryzyko zawodowe za wliczone w cenę, którą trzeba zapłacić, aby dokonać w życiu czegoś wartościowego.

Do wieczornej wizyty przyjaciółki Rachel zdążyła uspokoić skołatanę nerwy, a kiedy Honey stanęła w progu, powitał ją zapach zapiekanki z kabaczków.

- Pyszności! - zawołała. - Jak tam nasz pacjent?

- Niewiele się zmieniło. Trochę się rzuca, kiedy gorączka rośnie, ale jeszcze nie odzyskał przytomności.

Rachel niedawno poprawiała mu kołdrę, tak więc był przykryty, kiedy Honey wkroczyła do sypialni.

- Widzę poprawę - oceniła po obejrzeniu ran i źrenic. - Niech śpi. Tego właśnie potrzebuje.

- To już tak długo!

- Wiele przeszedł. Organizm sam wie, jak walczyć z chorobą, i reaguje w najwłaściwszy dla siebie sposób.

Rachel bez trudu namówiła przyjaciółkę do pozostania na kolacji. Zapiekanka, świeży groszek i sałatka z pomidorów same zapraszały do stołu.

- To lepsze niż hamburger, który mnie czekał - orzekła Honey, z zapałem machając widelcem. - Myślę, że naszemu podopiecznemu nic już nie grozi. Co prawda, nie i zamierzałam składać ci jutro wizyty, ale jakaś smakowita potrawa mogłaby zmienić moje plany.

Po dramatycznych przeżyciach minionych dwóch dni dobrze było się pośmiać. W oczach Rachel rozbłysły wesołe iskierki.

- Odkąd zaczęły się upały, pierwszy raz przyrządziłam coś na gorąco. Żywię się owocami, płatkami i sałatkami, byle tylko nie używać kuchenki. Ale dla wygody chorego włączyłam klimatyzację i jakoś wytrzymałam przy piekarniku.

Razem posprzątały po kolacji. Honey zerknęła na ze-arek.

- Jeszcze wcześniej. Zajdę do Rafferty'ego, żeby obejrzeć klacz, która ma się ożrebić. I tak ledwie zjechałabym do domu, już by mnie wzywali do porodu. Dzięki za nakarmienie.

- Jesteś tu zawsze mile widziana. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Honey zmarszczyła czoło i z powagą spojrzała na przyjaciółkę.

- Poradzisz sobie, prawda? Należysz do ludzi, którzy robią, zamiast gadać. Ten facet wiele ci zawdzięcza.

Rachel nie wiedziała, jak ranny oceni jej trud. Kiedy po kąpieli wyszła z łazienki, przez chwilę przyglądała mu się w skupieniu, jak gdyby wzrokiem prosząc go, by otworzył oczy, odezwał się i dowiódł tym samym, że leżące bezwładnie ciało myśli i czuje. Z każdą godziną gęstniała mgła tajemnicy wokół niego. Kim był? Kto do niego strzelał i dlaczego? Dlaczego w gazetach i w wiadomościach radiowych nie wspomniano słowem o pustej łodzi dryfującej po wodach zatoki czy znalezionej na brzegu? Dlaczego nie nadano komunikatu o zaginionym człowieku? Nawet jeśli był zamieszany w handel narkotykami lub uciekł z więzienia, nic nie wyjaśniało, dlaczego fale wyrzuciły go na brzeg.

Położyła się z drugiej strony łóżka z nadzieją na kilka godzin snu. Chory zachowywał się spokojnie i Rachel sądziła, że gorączka nie podskoczy tak jak poprzedniej nocy. Trzymając dłoń na jego ramieniu, zasnęła.

Z głębokiego snu wyrwały ją drgania łóżka. Usiadła. Serce waliło jej jak młotem. Ruszając gwałtownie prawą nogą, chory usiłował skopać z siebie kołdrę i prawie mu się to udało. Miał rozpaloną skórę, dyszał. Rzut oka na zegarek uświadomił Rachel, że dawno minęła pora podania aspiryny.

Włączyła lampkę nocną i weszła do łazienki po lekarstwo i świeżą wodę. Mężczyzna połknął tabletki bez oporu. Wypił nawet prawie pełną szklankę wody. Ostrożnie opuściła jego głowę na poduszkę. Niechętnie oderwała palce od jedwabistych włosów.

Czyżby znów dała upust fantazjom, które przybierały niebezpieczny kierunek? Musiała skończyć z tym raz na zawsze! Chory potrzebował pomocy, a ona, zamiast natrzeć go zimną wodą, stała przy łóżku, tracąc poczucie rzeczywistości. Skarciła się w duchu, zmoczyła ręcznik, pochyliła się nad rannym i powolnymi ruchami zwilżała gorący tors.

Nagle dłoń mężczyzny dotknęła jej piersi. Rachel zamarła. Miała na sobie luźną koszulę nocną, bez rękawów, z dużym dekoltem, który odsłonił duży fragment ciała, kiedy pochyliła się nad łóżkiem. Dłoń wsunęła się między piersi Rachel. Smukłe, silne palce zaczęły pieścić brodawkę, aż mięsisty guziczek stwardniał. Niespodziewane, przyjemne doznanie sprawiło, że Rachel zamknęła oczy. Dłoń powędrowała niżej, by pogłodzić aksamitną skórę pod piersiami.

- Ładna - odezwał się niewyraźnie niski głos.

To jedno słowo zadźwięczało echem w uszach Rachel. Gwałtownie podniosła głowę i otworzyła oczy. Był

przytomny! Zwieńczone czarnymi rzęsami powieki uchyliły się na chwilę, lecz zaraz znów opadły, tak jak i dłoń dotykająca piersi. Usnął.

Wstrząśnięta Rachel bała się poruszyć. Ciało, wciąż czujące dotyk dłoni mężczyzny, płonęło. Obraz nieznajomego patrzącego przez ułamek sekundy spod na wpół przymkniętych powiek wrył się w jej pamięć. Miał oczy czarne jak noc, zasnute mgłą gorączki i bólu, a jednak na tyle przytomne, że dostrzegły coś, co mu się podobało. Dekolt luźnej, wygodnej bawełnianej koszuli nocnej wystawiał piersi na widok i dotyk. Rachel bezwiednie wystąpiła w roli kusicielki.

Nie potrafiła przyjąć do wiadomości faktu, że chory odzyskał przytomność i wreszcie przemówił, choć było to tylko jedno słowo. Przez dwa długie dni modliła się o to, lecz podświadomie nie spodziewała się, że nastąpi to tak szybko. Opiekowała się nim jak bezradnym noworodkiem i oto, ku jej przerażeniu, noworodek przemówił. Nie noworodek. Mężczyzna z krwi i kości, który niewyraźnie powiedział „ładna”, a Rachel zaczerweniła się po uszy.

Nagle zrozumiała, jaki wniosek powinna wyciągnąć z tego incydentu. Ranny jest Amerykaninem! Trawiony gorączką, półprzytomny człowiek musiał odezwać się w swoim ojczystym języku. Odratowany przemówił po angielsku ze zdecydowanie amerykańskim akcentem. Prawdopodobnie pochodził z któregoś z południowych lub zachodnich stanów.

Amerykanin. Ciekawe, komu zawdzięczał ciemną karnację i czarne włosy. Czy w jego żyłach płynęła krew włoska lub arabska, węgierska lub indiańska, a może irlandzka, hiszpańska, tatarska? Wydatne kości policzkowe i wąski, orli nos mogły świadczyć o związku z każdą z wymienionych narodowości, lecz niewątpliwie jego korzenie tkwiły tu, w amerykańskim tyglu.

Serce podekscytowanej Rachel wciąż biło przyspieszonym rytmem. Wylała resztkę wody, zgasiła lampę i wśliznęła się do łóżka, lecz cała dygotała i nie mogła zasnąć. Mężczyzna otworzył oczy, odezwał się do niej i wykonał świadomy gest. Wracal do zdrowia! Rachel z wielką ulgą witała ten fakt.

W ciemności ledwo widziała profil chorego, lecz każdym porem skóry chłonęła jego bliskość. Był ciepły, żywy, a Rachel ogarnęły sprzeczne uczucia - żal, a jednocześnie ekstatyczna radość. Wyciągnięty z morza mężczyzna stał się dla niej kimś bardzo ważnym, tak ważnym, że w nieodwracalny sposób zmienił jej życie. On prędzej czy później odejdzie, lecz ona będzie już kimś innym.

Dała jej go Zatoka Diamentowa. Tajemniczy dar turkusowych wód. Rachel musnęła muskularny bark śpiącego, lecz od razu cofnęła rękę. Sam dotyk jego skóry sprawił, że serce zatrzepotało jak oszalałe.

Kiedy Rachel ratowała tonącego, morze było spokojne. Teraz w jej sercu rozszalał się prawdziwy sztorm.

ROZDZIAŁ 4

Mówię ci, że on nie żyje!

Chudy, siwiejący szatyn o pociągłej, posępnej twarzy spojrział na rozmówcę z pogardliwym zdziwieniem.

- Sądzisz, że możemy przyjąć tę wersję, Ellis? Nie znaleźliśmy żadnego, powtarzam, żadnego dowodu jego śmierci.

Tod Ellis zmrużył oczy.

- Nie mógł przeżyć. Łódź płonęła jak pochodnia.

Elegancka rudowłosa kobieta, dotychczas w milczeniu przysłuchująca się rozmowie, zgasła papierosa.

- A co powiesz o zeznaniu człowieka, który widział w wodzie coś lub kogoś?

Ellis wściekł się. Tych dwoje najpierw odwodziło go od planu zasadzki, a teraz traktowało jak byle amatora. To mu się nie podobało. Na pewno nie był amatorem, a oni rozpaczliwie wręcz potrzebowali jego pomocy podczas polowania na Sabina. Wydarzenia nie przebiegły zgodnie z planem, ale Sabin nie uciekł - a to przecież najważniejsze. Jeśli zakładali, że z łatwością go dopadną, byli, łagodnie mówiąc, głupcami.

- Nawet jeśli wskoczył do wody - wyjaśniał cierpliwie - to przypominam wam, że był ranny. Widzieliśmy, że dostał. Na pełnym morzu, parę kilometrów od brzegu. W żaden sposób nie mógł dotrzeć do lądu. Albo utonął, albo zżarły go rekiny. Po co go szukać i ryzykować, że zwrócimy na siebie uwagę?

- Tu chodzi o Sabina, nie o jakiegoś przeciętniaka. Ile już razy nam się wymknął? Moim zdaniem zbyt wiele, by można uwierzyć, że łatwo go zabić. Nie znaleźliśmy jego szczątków na łodzi, a jeśli, tak jak twierdzisz, utonął lub dobrały się do niego rekiny, musiał jednak zostać jakiś ślad. Od dwóch dni patrolujemy morze w tej okolicy i nic nie znaleźliśmy. Zgodnie z logiką, powinniśmy teraz przenieść się z poszukiwaniami na brzeg.

- To nas zdradzi.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Tylko wtedy, gdy nie będziemy wystarczająco ostrożni. Po prostu zachowamy dyskrecję. Najbardziej niebezpieczny wariant, który musimy brać pod uwagę, to wyłowienie Sabina przez jakąś łódź i przewiezienie go do szpitala. Jeśli miał możliwość porozmawiania z kimkolwiek, wykonania paru telefonów, nie zdołamy go podejść. Ale najpierw trzeba wytropić ptaszka. Zgadzam się z Charlesem. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę, aby z góry przyjąć, że Sabin nie żyje.

Twarz Ellisa zachowała ponury wyraz.

- Masz pojęcie, jaki teren musimy przeczesać?

Charles przysunął mapę Florydy.

- Staliśmy tutaj - zaznaczył odpowiednie miejsce krzyżykiem. - Wziąwszy pod uwagę odległość i prądy morskie, które to dane już sprawdziłem, sądzę, że powinniśmy skupić działania na tym obszarze. - Narysował owal i stuknął ołówkiem w oznaczone pole. - Noelle, popytaj w okolicznych szpitalach i przejrzyj raporty policyjne, zwracając uwagę na mężczyzn z ranami postrzałowymi. Tymczasem my przeszukamy wybrzeże centymetr po centymetrze. - Rozparł się wygodnie na krześle i lodowatym spojrzeniem zmierzył Ellisa. - Czy możesz nawiązać kontakt ze swoimi ludźmi i nie wzbudzając podejrzeń, wywiedzieć się, czy Sabin do kogoś dzwonił?

Ellis wzruszył ramionami.

- Mam pewne niezawodne źródło.

- To sprawdź. Może już się spóźniliśmy. Zadzwoić nie zawadzi, ale Ellis był pewien, że to strata czasu. Sabin na pewno nie żył, a ci dwoje zachowywali się, jakby mieli do czynienia z jakimś supermanem, który to rozplywa się w powietrzu, to znów pojawia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W porządku, takie legendy rzeczywiście krążyły na temat Sabina, ale w zamierzchłej przeszłości, kiedy jeszcze osobiście angażował się w działania operacyjne. Od tego czasu wiele się zmieniło. Prowadząc sprawy zza biurka, stracił rozpęd. Ellis był absolutnie pewny, że Sabin nie żył.

Rachel siedziała na ławce-huśtwace z rozłożoną na kolanach gazetą, na której piętrzył się stos fasoli szparagowej. Wprawnymi, płynnymi ruchami brała kolejne strąki, odrywała zdrewniałe końce, łamała na krótsze kawałki i wrzucała do czekającego obok rondla. Nie lubiła łuskania fasoli, ale lubiła ją jeść, tak więc musiała zaakceptować zło konieczne. Odpychając się stopą od ziemi, wprawiała ławkę w lekkie kołysanie, jednocześnie słuchając radia, które postawiła na parapecie. Nastrojony na lokalną rozgłośnię odbiornik grał bardzo cicho, aby nie zakłócać spokoju śpiącemu.

Przez cały ranek Rachel oczekiwała, że mężczyzna obudzi się na dobre, lecz nadal następowały na przemian okresy głębokiego snu po podaniu aspiryny i natarciu zimną wodą oraz niepokoju, kiedy temperatura rosła i chory rzucał się na łóżku. Nie otworzył ponownie oczu ani się nie odezwał, chociaż raz głośno jęknął i złapał się za bolące ramię. Rachel rozluźniła zaciśnięte palce i przez chwilę przytrzymała niesformą rękę, przemawiając do nieprzytomnego mężczyzny cichym, kojącym głosem.

Joe opuścił swoje ulubione miejsce pod krzewem oleandra i zaczął warczeć. Rachel zerknęła na psa, a potem uważnie przeczesała wzrokiem podwórze i drogę, lecz niczego podejrzanego nie zauważyła. Joe jednak nie miał zwyczaju warczeć na widok wiewiórek czy królików. Z pewnością chodziło o coś poważniejszego.

- No co, piesku? - spytała zaniepokojona.

Joe bezbłędnie wyczuł jej przestrach i natychmiast stawiał się czujnie przed schodkami na werandę. Warczą coraz głośniejsze i groźniejsze, spoglądał w stronę sosnowego zagajnika, przez który biegła w dół ścieżka do zatoki.

Z lasku wyszło dwóch mężczyzn. Rachel, jak gdyby nigdy nic, łuskała fasolę, czuła jednak, jak napinają się jej wszystkie mięśnie. Śmiało podniosła głowę i patrzyła na przybyszów, dochodząc do wniosku, że taka powinna być jej naturalna reakcja.

Ubiór intruzów nie rzucał się w oczy. Mieli na sobie letnie płócienne spodnie, podkoszulki i luźne bawełniane marynarki. Rachel zwróciła na nie uwagę. Nie minęło jeszcze południe, a słupek rtęci doszedł do trzydziestu pięciu stopni i wszystko wskazywało na to, że na tym nie spocznie. Marynarki w taką pogodę? Po co? Może mężczyźni ukrywali pod nimi kabury pistoletów?

Kiedy zbliżyli się do domu, Joe zaczął przeraźliwie szczeleć. Sierść mu się zjeżyła na karku. Przykucnął, gotowy do skoku. Rachel zauważyła, że jeden z nieznajomych sięgnął pod poję marynarki. Przystanęli kilkanaście metrów przed werandą.

- Przepraszam za psa! - zawołała, niespiesznie odkładając stertę strąków i wstając z ławki. - Joe nie lubi nieznajomych, a szczególnie mężczyzn. Nie wpuszcza na podwórze nawet sąsiada. Pewnie kiedyś jakiś mężczyzna go skrzywdził. Panowie zabłądzili? Kłopoty z łódką? - mówiąc to, zeszła po schodkach i uspokajająco poklepała psa po grzbiecie. Poczuli, że zwierzę trochę się odsunęło.

- Nic z tych rzeczy. Szukamy kogoś - odparł wysoki, przystojny, jasnowłosy mężczyzna o ujmującym uśmiechu. Typowy amerykański student. Białe równe zęby odcinały się od opalonej twarzy. Zerknął na Joego. - Niech pani mocniej trzyma tego pieska.

- Nic wam nie zrobi, jeśli nie podejście bliżej. - Taką miała nadzieję. Poklepała psa i ruszyła w stronę przybyszów. - On broni nie tyle mnie, co swego terytorium. Co pan mówi?

Drugi mężczyzna był niższy, szczuplejszy i mocniej opalony niż jego kompan.

- Jesteśmy z FBI - stwierdził energicznie, machając Rachel przed nosem odznaką. - Agent Lowell. A to agent Ellis. Szukamy mężczyzny, który przypuszczalnie przebywa w tej okolicy.

Rachel z udawanym namysłem zmarszczyła czoło. Bała się, że przesadzi w swych aktorskich zapędach

- Jakiś przestępca zbiegł z więzienia? Agent Ellis z uznaniem taksujący długie nogi Rachel szybko przeniósł wzrok na jej twarz.

- Nie zdążyliśmy go jeszcze tam wsadzić. Sądzymy, że wylądował gdzieś na brzegu w tych stronach.

- Nie widziałam żadnych obcych, ale będę się rozglądać. Jak wygląda?

- Wzrost: metr osiemdziesiąt, może trochę więcej. Czarne włosy, czarne oczy.

- Indianin?

Agenci wyglądali na zaskoczonych.

- Nie - odrzekł wreszcie Lowell - ale ma ciemną karnację. Rzeczywiście przypomina Indianina.

- Macie jego zdjęcie? Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Nie.

- To ktoś niebezpieczny? Morderca czy coś w tym rodzaju?

Rachel czuła, że strach chwytą ją za gardło. A jeśli usłyszy, że chodzi o mordercę? Co wtedy zrobi? Jak to znieść?

Agenci znów spojrzeli na siebie niepewni, co odpowiedzieć.

- Należy podejrzewać, że ma broń i jest niebezpieczny. Jeżeli zauważy pani coś podejrzanego, proszę zadzwonić pod ten numer.

Lowell zapisał kilka cyfr na skrawku papieru i wręczył go Rachel. Rzuciła wzrokiem na numer, zanim zwinęła karteczkę i schowała do kieszeni.

- Tak zrobię - oświadczyła. - Dziękuję panom za wizytę.

Ruszyli z powrotem. Wtem agent Lowell przystanął, odwrócił się i zmrużył oczy.

- Na plaży są dziwne ślady. Jak gdyby ktoś ciągnął jakiś ciężar. Wie pani coś na ten temat?

Rachel struchlała. Pomyślała o sobie: „Głupia baba!”. Powinna była zejść na plażę i zatrzeć wszelkie ślady. Wo- dy przypląwu musiały przynajmniej zmyć krew rannego i ślady stóp w miejscu, w którym go znalazła. Udając głęboki namysł, zmarszczyła czoło. Nagle jej twarz się rozjaśniła.

- To tam, gdzie zbierałam muszle i kawałki kory, wyrzucone przez fale. Ułożyłam wszystko na drelichowej płachcie i przytaszczyłam do domu. Dzięki temu tylko raz męczyłam się, podchodząc pod górę.

- Co pani robi z korą i muszlami?

Nie podobał jej się sposób, w jaki agent Lowell na nią patrzył - jak gdyby nie wierzył w ani jedno słowo.

- Sprzedaję je - odparła zgodnie z prawdą. - Prowadzę dwa sklepiki z pamiątkami.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się. - No cóż, życzę powodzenia w polowaniu na muszle.

Mężczyźni znów ruszyli w stronę lasku.

- Może panów podwieźć?! - zawołała. - Wyglądacie na wykończonych upałem, a robi się coraz cieplej.

Agenci FBI spojrzeli w górę, na słońce bezlitośnie żarzące się na bezchmurnym, błękitnym niebie. Ich twarze

błyszczały od potu.

- Przypłynęliśmy łodzią - wyjaśnił Ellis. - Pokręcimy się trochę przy brzegu i poszukamy, ale dziękujemy za życzliwość.

- Drobnostka. Aha, proszę uważać! Na północ stąd zaczynają się bagniska.

- Jeszcze raz dziękujemy.

Odprowadziła wzrokiem sylwetki znikające wśród sosen. Mimo upału ciało Rachel pokryło się gęsią skórką. Powoli wróciła na werandę, usiadła na ławce i machinalnie zaczęła odłamywać końce kolejnych strąków fasoli, próbując jednocześnie uporządkować myśli. Agenci FBI? Możliwe, że niespodziewani goście pracowali dla FBI, lecz machnęli swoimi odznakami tak szybko, że Rachel nie zdołała ich dokładnie obejrzeć. Wiedzieli, jak wygląda poszukiwany, ale nie mieli żadnej fotografii. Po przedstawicielach policji federalnej można by się spodziewać, że dysponują jakąś podobizną ściganego przestępcy, choćby portretem pamięciowym. Uchylili się także od odpowiedzi na pytanie, o co go oskarżają - jak gdyby nie spodziewali się, że ktoś o to zapyta, i po prostu nie wiedzieli, co powiedzieć. Twierdzili, że to niebezpieczny, uzbrojony bandyta, tymczasem Rachel znalazła nagiego, bezbronnego mężczyznę. Czyżby nie wiedzieli, że został postrzelony? Dlaczego nic o tym nie wspomnieli?

A jeśli rzeczywiście dała schronienie kryminaliście? Istniała taka możliwość, aczkolwiek Rachel nie wzięła jej pod uwagę. Teraz jednak zaczęła się nad tym poważnie zastanawiać. .

Uporała się w końcu z fasolą. Wstawiła garnek do zlewu, a potem wróciła po gazetę z resztkami strąków. Kiedy niosła je do kuchennego kosza na odpadki, z niepokojem zajrzała przez otwarte drzwi do sypialni. Ciemnowłosa głowa chorego spoczywała na poduszce. Kiedy odzyska przytomność, czyje oczy spojrzą na troskliwą opiekunkę? Czy przestępcy? Zabójcy?

Pospiesznie umyła ręce i wystukała numer telefonu szeryfa. Już po pierwszym sygnale usłyszała w słuchawce zmęczony męski głos.

- Biuro szeryfa.

- Proszę z Andym Phelpssem.

- Chwileczkę.

Niemal natychmiast odezwał się inny mężczyzna. Z jego głosu wynikało, że jest pochłonięty jakimś ważnym problemem i nie ma czasu na błaahostki.

- Phelps. Słucham.

- Andy, mówi Rachel.

Ton rozmówcy od razu się zmienił.

- Cześć, kochanie. Co słychać?

- A porządku. Tylko ten upał! Jak tam Trish i dzieciaki?

- Dzieciakom dopisuje humor, ale Trish modli się, żeby wreszcie nadszedł rok szkolny.

Rachel roześmiała się. Szczerze współczuła żonie An-dy'ego. Dwaj chłopcy psocili za dwudziestu.

- Słuchaj, było właśnie u mnie dwóch facetów. Przyszli od strony plaży.

- Coś ci zrobili? - spytał szeryf z zawodową czujnością.

- Nie. Mówili, że są z FBI, ale nie zdążyłam się przyjrzeć ich odznakom. Szukali jakiegoś mężczyzny. Czy to nie przebierańcy? Czy biuro szeryfa wie coś o nich? Może jestem przewrażliwiona, ale mieszkam na odludziu i nawet do Rafferty'ego mam kawał drogi. Po śmierci B.B...

Głos jej się załamał. Powróciły bolesne wspomnienia. Minęło już pięć lat, ale bywały chwile, kiedy Rachel ogarniał niewymowny żal i poczucie strasznego osamotnienia. Nikt nie rozumiał tego tak dobrze jak Andy. Pracował z B.B. w Wydziale Antynarkotykowym.

- Wiem. Nigdy za dużo ostrożności, moja droga. Faktycznie, dostaliśmy rozkaz, żeby podjąć współpracę z ludźmi, którzy tu kogoś szukają. Sprawa poufna. To nie są agenci z lokalnego oddziału FBI. Wątpię, czy w ogóle są z FBI, ale rozkaz to rozkaz.

Rachel zacisnęła dłoń na słuchawce.

- A agenci to agenci.

- No właśnie. Trzymaj język za zębami, ale oczy miej szeroko otwarte. Wiesz, niezbyt mi się to wszystko podoba.

- Dobrze. Dziękuję.

- Nie ma za co. A może wpadniesz do nas na kolację? Od dawna się nie widzieliśmy.

- Z przyjemnością. Niech Trish zadzwoni.

Odłożyła słuchawkę i wzięła głęboki oddech. Skoro

Andy sądził, że przybysze nie byli z FBI, tym lepiej dla niej. Stała przy łóżku chorego i patrzyła, jak śpi. Szeroka klatka piersiowa powoli unosiła się i opadała. Odkąd przywlokła go do domu, okna w sypialni były zamknięte. W pokoju panował półmrok i chłód. Promyk słońca, który przedarł się przez szparę w okiennicy, padł na brzuch leżącego. Tam, gdzie przebiegała tajemnicza długa blizna, rozbłysła świetlista smuga. Kimkolwiek był ten człowiek, w cokolwiek się wplątał - nie był pospolitym przestępcą.

W mrocznym świetle wywiadu i kontrwywiadu toczyła się walka na śmierć i życie, a jej uczestnicy balansowali na krawędzi śmierci. Zimni, twardzi, czujni i świetnie maskujący swe uczucia agenci nie przypominali zwyczajnych ludzi, którzy codziennie szli do pracy o ustalonej porze, a potem wracali do domów, do rodzin. Czy wyłowiony z morza mężczyzna należał do tych nieszczęśliwców, którym nie wolno prowadzić normalnego życia? Rachel teraz była tego prawie pewna. Ale o co w tym wszystkim chodziło? Komu mogła zaufać?

Został przez kogoś postrzelony, a potem - albo uciekł, albo wrzucono go do wody, żeby utonął. Czy ci dwaj, którzy go szukali, chcieli go chronić, czy też skończyć to, co zaczęli? Może ranny był w posiadaniu tajnych, ważnych informacji, na przykład wojskowych?

Musnęła palcami dłoń spoczywającą bezwładnie na prześcieradle. Skóra była gorąca i sucha. Chorego wciąż trawiła gorączka, a organizm usiłował ją zwalczyć własnymi siłami. Rachel mogła mu nadal podawać łyżeczką osłodzoną herbatę i wodę, aby nie nastąpiło odwodnienie, ale wkrótce powinien zacząć jeść samodzielnie, w przeciwnym wypadku musiałaby go zawieźć do szpitala. To już trzeci dzień. Powinien coś jeść!

Zmarszczyła czoło. Jeśli przeżył herbatę, z pewnością mógłby przełknąć zupę. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Pobiegła do kuchni, otworzyła puszkę rosółu z makaronem, zmiksowała na papkę i wstawiła do ciepłego piecyka.

- Przepraszam, że to nie rosół domowy - mruknęła pod adresem śpiącego mężczyzny. - Nie miałam kurczaka w zamrażalniku. A poza tym tak jest prościej. Pięć minut i już.

Co chwila zaglądała do chorego. Kiedy zaczął poruszać się niespokojnie, obracać głowę na poduszce i skopywać pościel, przygotowała dla niego pierwszy posiłek. Dumnie wniosła jedzenie do sypialni i z wrażenia omal nie upuściła tacy. Oto chory dźwignął się nagle na prawym łokciu i spojrzał na nią przenikliwymi, błyszczącymi od gorączki czarnymi oczami.

Rachel poczuła, że ogarnia ją strach. Gdyby chory spadł z łóżka, nie zdołałaby go sama podnieść. Tymczasem jego ciało niebezpiecznie chwiało się, nie znajdując dostatecznego oparcia. I jeszcze ten płomienny, wprost hipnotyzujący wzrok.

Pospiesznie, nie zważając na rozlewającą się zupę, Rachel postawiła tacę na podłodze i rzuciła się w stronę łóżka. Delikatnie podtrzymując głowę i starając się nie urazić rannego barku, podłożyła ramię pod plecy mężczyzny.

- Połóż się - poprosiła cichym, kojącym głosem, którym od początku do niego się zwracała. - Nie możesz jeszcze wstawać.

Chory zmarszczył brwi, aż złączyły się w jedną kreskę i znów spróbował się podnieść.

- Czas na zabawę - wybelkotał zupełnie bez związku.

Obudził się, ale jeszcze nie odzyskał jasności umysłu.

Nadal przebywał w świetle gorączkowych majaczeń.

- Nie. Zabawa się jeszcze nie zaczęła - zapewniła Rachel, chwytając go za prawy łokieć, tak by nie miał się na czym oprzeć. Opadł ciężko na podtrzymujące go ramię, a ona ostrożnie ułożyła go na poduszce. - Czas na drzemkę.

Leżał dysząc, ze zmarszczonym czołem i nie spuszczał z niej wzroku. Kiedy podniosła tacę z podłogi i postawiła na nocnym stoliku, nawet nie mrugnął okiem, jak gdyby usiłował dociec sensu rzeczy dziejących się wokół niego i rozproszyć mgłę spowijającą jego umysł. Rachel podłożyła mu dodatkową poduszkę, przez cały czas cicho przemawiając. Nie wiedziała, czy mężczyzna cokolwiek rozumie, ale jej głos i dotyk zdawały się wpływać na niego uspokajająco.

Przysiadła na skraj łóżka i zaczęła go karmić, nie przerywając kojącej paplaniny. Posłusznie otwierał usta, gdy zbliżała do nich łyżkę, lecz wkrótce zmęczył się i zamknął powieki. Rachel szybko podała mu aspirynę. Cieszyła się, że karmienie chorego stanie się teraz o wiele łatwiejsze.

Przytrzymała mu głowę, wyjmując wierzchnią poduszkę, tak by ranny mógł położyć się wygodnie i wtedy wpadła na pewien pomysł. Warto spróbować!

- Jak się nazywasz?

Na czole nieznajomego pojawiła się znajoma zmarszczka. Gwałtownie poruszył głowę.

- Kto? - spytał niskim głosem zdradzającym zaniepokojenie.

Pochylona nad łóżkiem Rachel położyła dłoń na piersi chorego. Czuła, jak jego serce przyspieszyło rytm. Może nareszcie doczeka się jakichś odpowiedzi?

- Ty! Jak się nazywasz?

- Ja? - spytał wyraźnie poruszony i zбитy z tropu. Niezdolny skupić myśli, wpatrywał się w twarz kobiety, lecz zaraz przeniósł wzrok niżej.

Spróbowała jeszcze raz.

- Tak, ty. Podaj nazwisko.

- Moje? - Odetchnął głęboko. - Moje.

Tym razem użył tonu oznajmującego, nie zaś pytającego. Powoli poruszył się, unosił obie ręce. Ból barku wykrzywił mu usta. Objął dłońmi piersi Rachel i potarł kciukami brodawki.

- Moje - powtórzył, potwierdzając gestem prawo własności do kobiecych kształtów.

Przez chwilę, krótką chwilę, Rachel poczuła się bezbronna wobec niespodziewanego doznania rozkoszy. Zamarła. Koniuszki nerwów drgały jak oszalałe. Gorąca fala zaalała całe ciało. Kciuki chorego zmieniły jej sutki w stwardniało guziczki. Jednak rzeczywistość natychmiast przywołała ją do porządku. Rachel odskoczyła do łóżka jak oparzona.

- A więc o tym myślisz! - fuknęła surowo. - To moje, nie twoje!

Sennie opuścił powieki. Popatrzyła na niego z wyrzutem. Najwidoczniej tylko dwie rzeczy chodziły mu po głowie: zabawa i seks.

- Cholera, masz bardzo wąskie horyzonty! - oświadczyła gniewnie, z trudem łapiąc oddech.

Nagle otworzył oczy i spojrzał całkiem przytomnie.

- Tak - powiedział wyraźnie i natychmiast zasnął.

Rachel stała przy łóżku z zaciśniętymi pięściami, nie wiedząc, czy się śmiać, czy rzucić z pięściami na zachwalca. Wątpiła, czy rozumiał to, co mu w złości zarzuciła. Mógł przecież odpowiedzieć na pytanie, które istniało wyłącznie w jego skołatanym umyśle. Najważniejsze, że znów mocno zasnął, rozluźniony i nieświadomy dramatycznych wydarzeń, których był bohaterem.

Kręcąc głową ze zdziwienia, zabrała tacę i cicho wyszła z pokoju. Nadal cała trzęsła się z oburzenia i pożądaniami. Uczucia te stanowiły dość niefortunną kombinację, ponieważ Rachel nie zwykła oszukiwać samej siebie, a nie mogła zaprzeczyć, że uratowany z morza mężczyzna podoba jej się, i to bardziej niż mogłaby przypuścić w najśmielszych marzeniach. Jakaś siła pchała ją, by go dotykać. Jego głos wywoływał dreszcze, jedno spojrzenie czarnych oczu wystarczyło, by ją oszołomić. I jeszcze ten dotyk... jego dotyk! Dwa razy przyłożył dłonie do jej ciała i za każdym razem Rachel ogarniała rozkosz, której nie potrafiła się oprzeć.

Tak silna reakcja na obecność całkiem obcego mężczyzny była szaleństwem, lecz żadne reprimendy udzielane samej sobie nie potrafiły tego zmienić. W momencie gdy wyciągnęła go na brzeg, ich losy nierozzerwalnie się ze sobą splotły. Dopiero teraz zaczynała zdawać sobie sprawę, jak głęboko związała się z tym mężczyzną, biorąc odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo. Stanowili jedność, jak gdyby akt miłosierdzia oznaczał zarazem akt zaślubin.

Rachel dużo już wiedziała o swoim podopiecznym. Wiedziała, że jest wytrwały, szybki, silny i wysportowany. Musiał taki być, aby przetrwać w świecie, w którym przebywał. Zadziwiał nerwami ze stali i twardym charakterem; dzięki tym cechom przepłynął nocą szmat oceanu z dwiema ranami postrzałowymi, podczas gdy ktoś o słabszej woli natychmiast poszedłby na dno. Musiał też być kimś ważnym dla ścigających go ludzi, aczkolwiek Rachel nie miała pojęcia, czy chcieli go chronić, czy zabić.

Nawet mającąc, nie odpowiadał na pytania, choćby na to najprostsze, o nazwisko. Może gorączka trzymała go wciąż w szoku, a może, co bardziej prawdopodobne, pewne nawyki zawodowe miał zakodowane w podświadomości tak głęboko, że nawet choroba i leki nie zdołały ich przezwyciężyć.

Niebawem, za dzień lub dwa, a może jeszcze tej nocy, mężczyzna obudzi się w pełni władz umysłowych. Zażąda ubrania i odpowiedzi na pytania. Rachel zastanawiała się, czego będą dotyczyć. Pomyślała też o własnych pytaniach i, szczerze mówiąc, wątpiła, czy uzyska na nie odpowiedzi. Nie mogła się przygotować na to, co usłyszy (lub nie) od nieznanego. Czuła, iż przewidywanie jego ewentualnych działań to zajęcie bezcelowe. Mogła jednakże rozwiązać problem ubrania. W domu nie miała nic, co pasowałoby na wysokiego, muskularnego mężczyznę. Co prawda, z upodobaniem nosiła męskie koszule, ale kupowała je na swój rozmiar. Nie zachowała też żadnych ubrań po zmarłym mężu. Zresztą i tak okazałyby się bezużyteczne, B.B. ważył bowiem dobre piętnaście kilo mniej niż odratowany.

Ułożyła w myślach listę potrzebnych rzeczy. Nie chciała zostawiać chorego samego na długo. Albo pojedzie do najbliższego sklepu z tanią odzieżą, albo poprosi Honey o zrobienie i przywiezienie zakupów. Ta druga możliwość była prostsza i wielce kusząca, lecz poranna wizyta tajemniczych agentów zniechęciła Rachel do głębszego angażowania przyjaciółki w całą sprawę. Właściwie zostawienie chorego na godzinę niczym nie groziło. Postanowiła pojechać po zakupy nazajutrz rano. Dała panom z FBI czas na opuszczenie najbliższej okolicy.

Starannie zamknęła dom i przykazała Joemu, żeby pilnował gospodarstwa. Chory spał spokojnie. Nakarmiła go i umyła, tak więc przez parę godzin nie powinien niczego potrzebować.

Docisnęła pedał gazu i pomknęła do miasteczka. Gnał ją niepokój. Wiedziała, że poczuje się bezpieczna dopiero po powrocie do domu.

W „Tanim sklepie” kłębił się już tłum klientów. Wszyscy chcieli zrobić zakupy rano, zanim nadejdzie najgorszy upał. Pchając przed sobą wózek, Rachel usiłowała przebić się przez gromadę przedszkolaków, którzy wyrwali się matkom i uciekali do stoiska z zabawkami. Z niechęcią witała na swojej drodze marudzących klientów, którzy niespiesznie oglądali towar z każdej strony. Z rozpaczą przystanąła za plecami siwowłosej staruszki z laską, sunącej wolno jak żółw. Wreszcie udało jej się skrócić do odpowiedniego działu.

Wrzuciła do wózka paczkę slipów, kilka par skarpetek i adidasy numer dziesięć. Rano zmierzyła stopę chorego, tak więc była prawie pewna, że buty będą pasowały. Po adidasach do wózka powędrowały dwie koszulki polo i bawełniany pulower. Rachel nie bardzo wiedziała, jaki rozmiar spodni wybrać. Zdecydowała się na dzinsy, czarne bermudy (na wypadek, gdyby długie dzinsy podrażniały

ranę) oraz luźne sportowe spodnie z drelichu w kolorze khaki. Już ruszała w stronę kas, gdy nagle odezwał się jej instynkt samozachowawczy. Podniosła głowę i rozejrzała się po sklepie. Jakiś mężczyzna przy kontuarze przyglądał się, niby od niechcenia, zakupionym przez klientów towarom. Rachel zamarła. To był agent Lowell.

Nie zwolniła kroku, lecz błyskawicznie wzięła kurs na dział odzieży damskiej. Wybrane przez nią męskie ubrania - bez dokładnego sprawdzenia rozmiarów - mogły również uchodzić za ubiór kobiety lubiącej wygodny, „szmaciany” styl. Obejrzone jednak dokładnie, zdradziłyby swe właściwe przeznaczenie. Niestety, wyglądało na to, że agent Lowell należał do tego typu ludzi, którzy wszystko badają pod lupą. Slipy, skarpety, buty jak kajaki pod męskimi spodniami i koszulkami, a wszystko bynajmniej nie w koszyku mężczyzny - na to nie było racjonalnego wyjaśnienia.

Jak gdyby nigdy nic, podeszła do stoiska z bielizną. Na stos zakupów rzuciła kilka par majteczek (jedwabnych z koronką) i komplet złożony z miękkiego staniczka z krótką halką. Liczyła, że typowa u mężczyzny awersja do publicznego oglądania intymnych części damskiej garderoby powstrzyma agenta Lowella od zbadania zawartości jej wózka. Kątem oka spostrzegła, że zbliża się do niej, raz po raz udając zainteresowanie jakimś towarem na półce. Był w tym dobry: przemykał przez tłum, nie zwracając niczyjej uwagi. Tropił, nie dając po sobie poznać, że jest myśliwym.

Mina Rachel sposepniała. Lowell wyglądał na takiego, co to nie spocznie, zanim nie przeszuka jej wózka aż do dna. Zawróciła i podjechała do stoiska z chemią i kosmetykami, gdzie oferowano najróżniejsze produkty. Demonstracyjnie ułożyła na wierzchu zakupów kilka paczek podpasek. Zdecydowała, że jeśli agent ośmieli się sięgnąć po środki higieny intymnej, na cały głos nazwie go zbrodniarzem i postawi na nogi całą ochronę sklepu.

Lowell zbliżał się nieubłaganie. Rachel zaczęła na odpowiedni moment, po czym gwałtownie zakreśliła i uderzyła go wózkami w kolano.

- O Boże, strasznie przepraszam! - zawołała. - Nie zauważyłam pana! - powiedziała, jak gdyby nagle rozpoznając, z kim ma do czynienia - Ag... - urwała, rozejrzała się i zniżyła głos do szeptu - agent Lowell.

Za tę scenę powinna dostać Oscara. Niestety, Lowell nie mógł docenić jej talentu aktorskiego, masował bowiem kolano. Wreszcie wyprostował się i spojrział zbolalym wzrokiem.

- Witam ponownie, pani... Chyba nie usłyszałem wczoraj pani nazwiska.

- Jones. - Wyciągnęła rękę. - Rachel Jones.

Miał twardą, lekko wilgotną dłoń. Pryszał mit o agencie pozbawionym wszelkich emocji.

- Wcześniej pani wstała.

- Przy takim upale najlepiej załatwić zakupy rankiem albo poczekać do zachodu słońca. Jeśli zamierza pan dużo chodzić w słońcu, tak jak wczoraj, powinien pan nosić kapelusz.

Spóźniła się z tą poradą. Lowell zdążył już nieźle przypiec sobie twarz. Pozornie beznamiętnie zerknął na zawartość jej wózka, lecz natychmiast podniósł wzrok. Rachel poczuła ponurą satysfakcję.

Jego obecność w sklepie, tu i teraz, mogła wynikać zarówno ze zbiegu okoliczności, jak i z celowego działania. Lowell był ciekawski z zawodowego przyzwyczajenia.

Wystudiowana nonszalancja i niewinny głosik Rachel prawdopodobnie zbiły go z tropu w mniejszym stopniu niż innego agenta na jego miejscu.

- Chyba musi pani wziąć kredyt, żeby zapłacić za taką górę zakupów - zażartował po chwili milczenia.

Rachel westchnęła i ze smutkiem spojrzała na wybrane towary.

- Chyba ma pan rację. Zawsze kiedy gdzieś wyjeżdżam, nie potrafię zdecydować, co może mi się przydać.

W oczach Lowella natychmiast pojawiło się czujne zainteresowanie.

- Wybiera się pani w podróż?

- Za parę tygodni. Jadę na Wyspy Keys w Zatoce Meksykańskiej, rozejrzeć się, poczuć atmosferę, porobić notatki.

- Notatki?

Wzruszyła ramionami.

- Do książki. Zajmuję się różnymi rzeczami. Prowadzę sklepiki z pamiątkami, trochę piszę, wykładam na studiach wieczorowych. Dzięki temu nie jestem znudzona sobą. - Zobaczyła, że ogonek do kas się wydłuża. - Lepiej stanę w kolejce - rzuciła bez troski. - Aha, znaleźli coś panowie wczoraj?

Zachowując kamienną twarz, Lowell raz jeszcze zerknął na zawartość wózka Rachel.

- Nie, nic. To chyba był fałszywy trop.

- No cóż, życzę powodzenia. I proszę nie zapominać o nakryciu głowy!

- Oczywiście. Dziękuję.

Ze stojaka z prasą wzięła kolorowy magazyn i kartkowała go w oczekiwaniu na swoją kolej, obserwując ukradkiem poczynania Lowella. Agent tymczasem przystanął przy stoisku z książkami. Do diabła, czy on nigdy stąd nie pójdzie?

- pomyślała. Wyładowując zakupy, starała się zasłonić plecami widok wścibskiemu agentowi. Kasjerka przesunęła właśnie nad czytnikiem kodów paczkę ze slipami i sięgnęła po koszulki, gdy Lowell znów się zbliżył.

- Sto czterdzieści sześć dolarów i osiemnaście centów

- obwieściła kasjerka, podając dużą reklamówkę.

Rachel zajrzała do portfela i skrzywiła się. Raczej nie nosiła przy sobie tyle gotówki. Niezadowolona, wygrzebała z torebki kartę kredytową. Kiedy trwały formalności finansowe, Lowell dotarł do bramek kontrolnych przy drzwiach. Rachel chwyciła reklamówkę i błyskawicznie zapakowała zakupy. Podpisała rachunek, przełożyła torbę do wózka i ruszyła energicznie do wyjścia.

- Może coś pani ponieść? - zaproponował Lowell, zrównując krok z Rachel.
- Nie, tak jest o wiele wygodniej. Dzięki za dobre chęci.

Kiedy opuścili chłodne wnętrze sklepu, gorące, wilgotne powietrze oblepiło ich niczym macki ośmiornicy. Oślepią słońcem Rachel zmrużyła oczy. Otworzyła bagażnik, załadowała sprawunki i z niewymowną ulgą zatrasnęła klapę. Przez cały czas czuła na sobie czujny wzrok Lowella.

Odprowadziła wózek na miejsce i wróciła do samochodu.

- Do widzenia - powiedziała obojętnym tonem na pożegnanie.

Lowell patrzył, jak wyjeżdża z parkingu. Rachel otarła pot z twarzy. Wyszła z wprawy! Jako reporterka musiała wciąż kluczyć i udawać.

Miała tylko nadzieję, że Lowell nie okaże się zbyt podejrzliwy.

ROZDZIAŁ 5

Miał tak intensywne sny, że dobre kilka minut trwało, zanim zorientował się, że już nie śpi. Co gorsza, świat jawy wcale nie wydawał się bardziej zrozumiały niż kraina marzeń sennych. Leżał spokojnie, rozglądając się po chłodnym, mrocznym, nieznanym wnętrzu i usiłując wygrzebać z pamięci jakiś szczegół, który podsunąłby odpowiedź na pytanie, gdzie się właściwie znalazł i z jakiego powodu. Między okrucami wspomnień a obcym pokojem zdawał się nie występować żaden związek. Czy były to naprawdę wspomnienia, czy tylko senne majaki? Śnił o kobiecie, dobrej, serdecznej kobiecie o ciepłym spojrzeniu szarych oczu, o troskliwych, czułych dłoniach i aksamitnych piersiach nabrzmiewających pod jego dotykiem. Zacisnął palce na prześcieradle. Sen był tak realny, że zateęsknił za nim aż do bólu.

Ale to tylko sen, teraz miał do czynienia z rzeczywistością. Leżał więc bez ruchu, aż pamięć zaczęła wypełniać się treścią, która na pewno nie pochodziła z sennych urojeń. Atak na jacht, nie kończący się, wyczerpujący maraton pływacki w ciemnościach i wewnętrzny głos, powtarzający bezlitośnie, że nie wolno mu się poddać. A potem... nic. Ani śladu wspomnień o tym, co się stało.

Gdzie był? Czy został porwany? Napastnicy postawiliby wszystko na jedną kartę, aby go schwytać żywcem.

Poruszył się ostrożnie. Przy tym heroicznym wysiłku dał o sobie znać ból umiejscowiony w lewym barku i lewym udzie. Czuł też tępy ból głowy. Na szczęście i ręka, i noga słuchały poleceń mózgu. Używając prawej ręki, niezdarnie odkrył kołdrę i spróbował przyjąć pozycję siedzącą. Zakreśliło mu się w głowie, lecz zdołał chwycić za brzeg łóżka i przeczekać początkowe oszołomienie. Udo miał owinięte nieskazitelnie czystym bandażem, przytrzymującym grubo kompres na ranie. Równie starannie opatrzone ramię. Bandaż otaczał kilkoma zwojami bark i przechodził w pętlę zamocowaną wokół klatki piersiowej.

Był całkiem nagi, lecz nie przejął się tym. Za najważniejszy cel uważał teraz wstanie z łóżka. Zadanie numer dwa polegało na ustaleniu, gdzie się, do diaska, znajduje.

Wstał. Zraniony mięsień uda zaprotestował przeciwko zmuszaniu go do ruchu. Mężczyzna zachwiał się, lecz nie upadł. Stał nieruchomo, czekając, aż świat wokół niego przestanie się kołysać, a noga poczuje się pewniej. Mimo chłodu panującego w pokoju ciało pokryło się potem.

Idealną ciszę mącił jedynie dyskretny szum wentylatora nad łóżkiem. Nadstawił ucha, lecz nie dobiegł go żaden inny odgłos. Opierając się prawą ręką o łóżko, zrobił krok w stronę okna. Ból w nodze nasilił się. Zacisnął zęby, aż zazgrzytały i ruszył ku zamkniętym staroświeckim okiennicom. Uchylił jedną z nich i wyjrzał przez szparę. Podwórko, ogród warzywny. Nic niezwykłego. Nie widać żywego ducha. Ani ludzi, ani zwierząt.

Przeniósł wzrok na otwarte drzwi, prowadzące do łazienki. Podeszedł do nich powoli i z uwagą zbadał wzrokiem półkę nad umywalką. Lakier do włosów, mleczko kosmetyczne, tonik, perfumy. A więc łazienka należała do kobiety. Może do tej rudowłosej, która płynęła na atakującej go łodzi? W łazience panował wzorowy porządek. I łazienka, i sypialnia zostały urządzone tak, by zapewniały komfort, a równocześnie dawały jak najwięcej wolnej przestrzeni.

Otworzył drzwi garderoby, sąsiadującej z łazienką. Rozsunął wieszaki i sprawdził rozmiary ubrań. Wszystkie należały do kobiety albo do niskiego, bardzo szczupłego mężczyzny o nieokreślonej orientacji seksualnej. Wisiały tu i „szmaty” nadające się raczej do noszenia po domu, i eleganckie kreacje. Może służyły za przebranie?

Jak najdelikatniej uchylił następne drzwi i zerknął przez szparę, czy w pobliżu nikogo nie ma. Korytarzyk i widoczny za nim pokój wydawały się puste. Otworzył drzwi szerzej i przytrzymał się futryny. Nic. Nikogo. Był w domu sam. To przecież bez sensu!

Czuł się osłabiony i chciało mu się pić. W suchym gardle płonął istic piekielny ogień. Kuśtykając i chwiejąc się, ruszył przez pusty salon i zalany słońcem przedpokoik. Mrużąc oczy, z najwyższym trudem przyzwyczajał się do oślepiającego światła. Wreszcie dotarł do kuchni, niewielkiej, jasnej i imponującej nowoczesnym urządzeniem. Na blacie leżały najrozmaitsze, cudownie kolorowe, świeże warzywa. W misce pyszniły się dorodne owoce.

Z ustami wyschlými na wiór i piekącym gardłem rzucił się do zlewu. Pootwierał wszystkie szafki w poszukiwaniu szklanki. Nalał wody do pełna i pił łapczywie, nie zważając, że część ożywczego płynu splywa mu po piersiach. Zaspokoiwszy pierwsze pragnienie, napełnił szklankę ponownie, lecz tym razem pił bez pośpiechu, nie roniąc ani kropli.

Jak długo tu przebywał? Luki w pamięci przypływały go o furię. Był słaby i bezbronny; nie wiedział, gdzie jest ani co się stało. Nie potrafił znieść takiego stanu rzeczy!

Umierał z głodu. Miska z owocami wyglądała kusząco. Błyskawicznie zjadł banana i pół jabłka. Poczł się tak nasycony, że nie mógł przelknąć ani kęsa więcej. Wyrzucił skórkę od banana i napoczęte jabłko do kosza.

Postanowił wyruszyć na zwiad. Nie godził się z własną bezradnością. Musiał znaleźć jakąś broń. Oczywiście najpierw pomyślał o nożu. Spośród noży kuchennych wybrał najostrzejszy, o najtwardszej kładze. Trzymając go w rękę, przygotowany do użycia w każdej chwili, zaczął powoli, metodycznie przeczesywać dom, nie zauważał jednak nic, co nadawałoby się do obrony.

W drzwiach wejściowych tkwiły solidne, trudne do sforsowania zamki. Nie były to żadne elektroniczne cudowności, lecz z pewnością ostudziłyby zapędy złodzieja. Przyjrzał się im, wyteżając pamięć. Doszedł do wniosku, że

nigdy nie zetknął się z zamkami tego typu.

Drzwi były zamknięte na klucz od zewnątrz, ale przecież z łatwością dało się je otworzyć od wewnątrz. Jakież zatem sens miało zamontowanie ich w ten sposób? Jednym lekkim ruchem Sabin uporał się z zasuwą. Po krótkim wahaniu nacisnął klamkę, uchylił drzwi i przez szparę zbadał sytuację.

Drzwi wyglądały na bardzo ciężkie. Obito je stalową blachą, wzmocniono futrynę i zawiasy. I oto broniły wstępu do przytulnego aresztu domowego, którego nie pilnowali strażnicy. Tylko dlaczego, na Boga, zamki zamontowano od wewnątrz?

Wyszedł z sieni i wyjrzał przez przeszklone drzwi werandy na schludne podwórko, zagajnik sosnowy i stadko białych i szarych gęsi, szukających w trawie pożywienia. Żar przenikający przez szybę ściałby z nóg nawet zdrowego człowieka. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakiś pies podniósł się spod krzaka, podbiegł do werandy i, z czujnie postawionymi uszami i węszącymi nozdrzami, wbił w nieznanego nieruchome oczy.

Sabin zmierzył go beznamytnym wzrokiem, analizując w myślach swoją szansę w ewentualnym starciu ze zwierzęciem. Wyszkolony pies obronny, owczarek niemiecki, ważył czterdzieści, może czterdzieści pięć kilo. Osłabiony człowiek, choćby uzbrojony w nóż, nie dałby mu rady. Tak więc, mimo otwartych drzwi, areszt domowy okazał się aresztem nie tylko z nazwy.

Noga ledwie utrzymywała ciężar ciała. Był nagi, słaby i nie wiedział, gdzie się znajduje. Los mu nie sprzyjał, ale żył i na razie panował nad wzbierającą w nim wściekłością. Mógł też wykorzystać efekt zaskoczenia. Ktokolwiek przywiózł go do tego domu, nie spodziewał się, że jest już na nogach, w dodatku uzbrojony. Zamknął drzwi i przez okno obserwował psa, który w końcu powrócił na swoje miejsce pod krzakiem.

Musiał czekać.

Kiedy Rachel skręciła na podjazd, na fioletowocarnym niebie pojawiła się błyskawica i zagrzało. Zastanawiała się, czy burza spuści cały zapas wody nad oceanem, czy też podzieli się nim z łądem. Zanosilo się na ulewę i gwałtowny spadek temperatury, ale wkrótce po przejściu chmur upał z pewnością powróciłby, zaś kałuże - po prostu by wyparowały. Kaczor Ebenezer i jego stadko, gniewnie turkocząc, rozproszyło się na widok samochodu. Rachel zaparkowała w cieniu dębu. W obejściu panował spokój. Najwyraźniej w czasie jej nieobecności nic się tu nie wydarzyło. Odetchnęła z ulgą.

Nieświadoma, że każdy jej ruch śledzi para bystrych, czarnych oczu, wyjęła torbę z bagażnika. Trzymając ją w jednej ręce, a klucze - w drugiej, weszła po schodkach na werandę. Przystanęła, aby przesunąć okulary słoneczne nad czoło, a następnie biodrem pchnęła drzwi werandy, otworzyła zamki i weszła do domu. Rozgrzane ciało zareagowało gęsią skórka na chłód klimatyzowanego wnętrza. Rachel wzięła głęboki oddech, rzuciła zakupy i torebkę na kanapę i poszła zobaczyć, co słychać u chorego.

Kiedy tylko jej dłoń spoczęła na klamce, czyjeś silne ramię chwyciło ją za gardło i pociągnęło do tyłu. Przed oczami zaskoczonych Rachel błysnął nóż. Ogarnął ją strach. Jak tu weszli? Czy już go zabili? Niepewność o los rannego przerodziła się w bezsilną wściekłość.

- Nie próbuj walczyć, to nie zrobię ci krzywdy - mruknął jej do ucha niski głos. - Chcę poznać odpowiedź na parę pytań, ale nie będę ryzykował. Jeden niewłaściwy ruch i...

Nie dokończył zdania, ale wcale nie musiał. Na dźwięk spokojnego, chłodnego, pozbawionego emocji głosu Rachel przestała się wyrywać.

- Żadnych sztuczek - usłyszała.

Skuliła się, wciągnęła głowę w ramiona. Czowała bliskość napastnika. Nagle zrozumiała przyczynę nadwrażliwej reakcji swoich zmysłów. Mężczyzna był nagi! A skoro tak, to napastnikiem musiał być...

Miejsce przerażenia zajęła wielka ulga. Napięte do granic wytrzymałości mięśnie błyskawicznie rozluźniły się, a palce zaciśnięte na duszącym ją ramieniu - rozgięły się.

- Teraz lepiej - warknął niski głos. - Kto ty jesteś?
- Rachel Jones - odparła bez tchu.
- Gdzie mnie trzymacie?

- W moim domu. Wyciągnęłam cię z morza na brzeg i przeniosłam tutaj.

Czuła, że zasiała w mężczyźnie ziarno wątpliwości. A może po prostu tracił siły? I tak wykazał się niebywałym, zważywszy okoliczności, hartem i żelazną kondycją. Najwyraźniej osiągnął kres wytrzymałości.

- Połóż się. Nie powinieneś wstawać - szepnęła łagodnie.

Sabin ponuro przyznał jej w myślach rację. Był wyczerpany jak po przebiegnięciu maratonu. Czuł, że lada moment nogi odmówią mu posłuszeństwa. Nie znał Rachel Jones i nie mógł jej ufać, lecz nic innego mu nie pozostało. Ryzykował życie, ale nie miał wyboru. Do diaska, był straszliwie słaby!

Powoli opuścił ramię, którym ścisnął kobietę za gardło. Lewa ręka, trzymająca nóż, opadła bezwładnie. Ranny mięsień barku dygotał z bólu. Sabin uznał, że nie zdoła ponownie podnieść noża.

Kobieta nie odskoczyła od niego, lecz odwróciła się ostrożnie, jak gdyby obawiała się, że gwałtowniejszym ruchem sprowokuje napastnika do ataku. Podłożyła rękę pod jego prawe ramię.

- Oprzyj się na mnie, to nie upadniesz - poleciła wciąż lekko zduszonym głosem. - Narobiłbyś kłopotu, gdyby wszystkie szwy puściły.

Sabin wiedział, że zemdleje, jeśli natychmiast nie usiądzie lub się nie położy. Rachel powoli zaprowadziła go do sypialni i zreżnie zapobiegła, by nie padł na łóżko jak kłoda, a potem, wsunawszy zgięte ramię pod głowę chorego, ułożyła go na wznak i, pochylona nad nim, poprawiła poduszkę. Wziął głęboki oddech. Instynktownie zareagował na ciepły zapach kobiety i miękkość piersi muskających jego policzki. Wystarczyłoby trochę przekręcić głowę, aby dotknąć ustami sutka i pomyśl ten wydał się Sabinowi nęcący.

Całkiem wyczerpany, leżał z zamkniętymi oczami, łapczywie chwytając powietrze. Rachel przykryła go kołdrą do pasa.

- Już dobrze - odezwała się cicho. - Możesz teraz odpocząć.

Pogłaskała go po klatce piersiowej. Robiła to co kilka godzin w ciągu minionych dni, ponieważ wydawało się, że ta niewinna pieszczota wpływa na chorego uspokajająco. Skóra mężczyzny była o wiele chłodniejsza. Gorączka nareszcie ustąpiła. Lewa dłoń wciąż kurczowo zaciskała się na nożu, a kiedy Rachel spróbowała go zabrać, spojrzały na nią bezwzględne, przenikliwe oczy.

Nie cofnęła ręki. Nie odwróciła wzroku pod mrocznym spojrzeniem mężczyzny.

- Po co ci to? - spytała. - Gdybym chciała cię skrzywdzić, już bym to zrobiła.

Miała szare oczy, bez najmniejszej domieszki błękitu. Ich odcień zbliżał się raczej do grafitu, lecz było w nich coś ciepłego i pogodnego, co sprawiało, że wydawały się bezdenne. Znał te oczy! Kobieta o takich oczach występowała ostatnio w jego snach. Czy tylko śnił?

Ta kobieta była istotą z krwi i kości. Poznawał dotyk jej dłoni. Nie zachowywała się jak strażniczka, ale nie mógł przecież ryzykować. Jeśli odda nóż, kto wie, czy zdoła go odzyskać.

- Zatrzymam go - oznajmił.

Rachel zawahała się, niepewna, czy powinna nalegać. Ton głosu rannego wykluczał sprzeciw. Choć słaby i bezbronny, mężczyzna był jednak niebezpiecznym intruzem, w dodatku śpiącym w jej łóżku. Cofnęła rękę.

- Zgoda. Jesteś głodny?
- Nie. Zjadłem banana i jabłko.
- Kiedy się obudziłeś?

Nie patrzył na zegarek, ale i bez tego świetnie potrafił określić czas.

- Prawie godzinę temu.

Nie spuszczał z niej wzroku. Rachel czuła, że przeszywają na wskroś, jak gdyby chciał odczytać jej myśli.

- Już wcześniej ocknąłeś się parokrotnie, ale miałeś gorączkę i gadałeś od rzeczy.
- Mianowicie? - spytał surowo.

Posłała mu uspokajające spojrzenie.

- Nie zdradziłeś żadnych tajemnic państwowych. Wydawało ci się, że idziesz na jakąś zabawę.

Czy żart na temat tajemnic państwowych stanowił aluzję? Czy coś wiedziała, czy był to tylko zbieg okoliczności? Chciał o to zapytać, ale ledwo trzymał nóż i oczy zaczynały same się zamykać ze zmęczenia. Rachel zauważyła to od razu. Chłodnymi, delikatnymi palcami pogładziła go po twarzy.

- Prześpij się. Będę tu, kiedy się obudzisz.

Potrzebował tego śmiesznego zapewnienia, aby zapaść w spokojny sen.

Po cichu wyszła z pokoju. Kiedy po chwili znużona oparła się o kuchenny blat, trzęsła się jak galareta. Musiała

odreagować ciąg niezwykle, emocjonujących wydarzeń, które ją spotkały, a wiedziała, że na tym nie koniec! Nie tylko nie uzyskała odpowiedzi na żadne z dręczących ją pytań - a z taką nadzieją czekała na przebudzenie się rannego - lecz sama posłusznie odpowiedziała na jego pytania. Nie umiała znieść przenikliwego spojrzenia czarnych, iście diabelskich oczu. Oczywiście nie była też przygotowana na to, że przystawi jej nóż do gardła.

Nie wyobrażała sobie, że przeżyje takie chwile grozy. Jeszcze nikt jej tak nie przestraszył. Wciąż z trudem powstrzymywała płacz. Nie czas na łzy. Musi natychmiast dojść do siebie i panować nad własnymi reakcjami, kiedy chory znów się obudzi - może za pół dnia, a może już za godzinę. A wtedy - trzeba go nakarmić. I oto nowe zajęcie, które z pewnością pozwoli jej opanować nerwy. Bananem i jabłkiem chory nie zaspokoi głodu. Do czasu pełnego wyzdrowienia przypuszczalnie będzie spożywał posiłki częściej niż normalnie.

Trzęsącymi się rękami przygotowała wołowinę do duszenia na wolnym ogniu, a potem zaczęła kroić ziemniaki, marchewkę i selery. Jeśli nie zdąży z obiadem przed następnym przebudzeniem chorego, poda mu zupę i kanapkę.

Wrzuciła posiekane warzywa do garnka i pobiegła do ogródka po pomidory z krzaka. Nie zważając na upał, postanowiła przy okazji wyrwać chwasty. Dopiero gdy bez sił padła na kolana, zrozumiała, jak nieroztropnie się zachowuje. Poranne wydarzenia dostarczyły jej tyle adrenaliny, że konia by ścięło z nóg. Tymczasem ona beztrudno rzuciła się do pielienia ogródka w pełnym słońcu, i to bez kapelusza!

Wróciła do domu i opłukała twarz zimną wodą. Palce jeszcze trochę drżały, ale czuła się bez porównania spokojniejsza. Cóż jej pozostawało? Czekać. Czekać, aż mężczyzna się obudzi, aż odpowie na jej pytania - przynajmniej na niektóre. Po prostu czekać.

Tylko dzięki zdolności koncentracji i poskramiania rozstrojonych nerwów mogła zająć się sporządzaniem notatek do jesiennych wykładów. Podobnie jak dobra powieść, każdy wykład powinien składać się z kilku wątków trzymających słuchacza w nieustannym napięciu. Nawet zagłębiona w lekturze, Rachel nie zapominała o swoim podopiecznym. Słyszała najcichszy szelest pościeli. Wiedziała, kiedy się obudził. Zerknęła na zegarek: spał ponad trzy godziny. Gdyby chciał coś przekąsić - duszona wołowina była gotowa.

Kiedy weszła do sypialni, siedział na łóżku, ziewając i pocierając zarost na twarzy.

- Zgłodniałeś? Spałeś trzy godziny. Zastanawiał się przez chwilę i skinął głową.

- Tak. Muszę się wykapać, a przede wszystkim ogolić.

- Niestety, dopóki masz założone szwy, prysznic nie wchodzi w grę - oświadczyła, pospiesznie stając u jego boku, bowiem odrzucił koldrę i krzywiąc się z bólu i podtrzymując lewe udo, opuścił stopy na podłogę. Rachel objęła go pod ramię i pomogła wstać. - Ale włożę ci nową żyłkę do maszynki.

Zorientowała się, że mężczyzna wolałby iść o własnych siłach. Cofnęła pomocne ramię i z niepokojem obserwowała każdy krok, który musiał mu sprawiać szalony ból. Należał do tego typu ludzi, którzy nie lubią korzystać z pomocy. Musiał zdawać sobie sprawę, że pewnych czynności nie jest teraz w stanie wykonać. Przyjąłby pomoc Rachel, ale tylko w absolutnie niezbędnym zakresie. Spróbowała raz jeszcze wyjść w pół drogi.

- Ogolić cię czy czujesz się na siłach sam to zrobić? Stał przy drzwiach łazienki i zerknął przez ramię.

- Sam.

Kiwnęła głową i ruszyła do łazienki.

- Tylko włożę żyłkę.

- Sam znajdę - stwierdził cicho, zatrzymując ją stanowczym gestem.

Pogodziła się z jego decyzją i wyszła z sypialni. Po tylu dniach spędzonych przy jego łóżku odmowa sprawiła jej przykrość. Krzątając się przy stole, usiłowała zbagatelizować, wyprzeć z pamięci urazę i rozczarowanie. Koniec końców musiała się wydawać mężczyźnie kimś bardziej obcym niż on jej. To, że jak najszybciej pragnął odzyskać sprawność i kontrolę nad własnym ciałem, było naturalną reakcją. Dla tak silnej osobowości panowanie nad sytuacją to sprawa fundamentalna. Rachel powinna przestać biegać wokół niego jak kwoka.

Łatwo powiedzieć. Kiedy usłyszała, że w łazience przestała lecieć woda, tylko sekundę wahała się, czy zajrzeć do środka. Stał i najwyraźniej zastanawiał się, jaki ma być jego następny ruch. Z owiniętym nisko wokół szczupłych bioder ręcznikiem wydawał się, wbrew logice, jeszcze bardziej nagi niż całkiem rozebrany. Serce Rachel zabiło żywiej. Opatrunek na nodze i barku nie odjął mu męskiego uroku. Ogolił się. Gładka skóra aż korciła, aby ją pogłaskać.

- Dasz mi coś do włożenia czy mam chodzić goły? - spytał, gdy Rachel nie podeszła do niego ani się nie odezwała.

Uderzyła się dłonią w czoło. Jakże mogła zapomnieć!

- Mam dla ciebie ubranie. Rano wybrałam się specjalnie po to, żeby kupić ci jakieś rzeczy.

Torba z zakupami leżała wciąż w salonie. Chwyciła ją pospiesznie, zaniósła do sypialni i rzuciła na łóżko.

Zerknął do środka i wyraz bezbrzeżnego zdumienia pojawił mu się na twarzy. Wyjął koronkowe majteczki i nie dając Rachel czasu na wyjaśnienia, dokładnie je obejrzał.

- Rozmiar pięć - oznajmił, kręcąc na palcu koronkowy fatałaszek. - Ładne, ale na mnie chyba nie pasują.

- Bo nie są dla ciebie - odparła Rachel spokojnie, choć pod badawczym wzrokiem mężczyzny poczuła gęsią skórę. - To tylko kamuflaż. Wszystko to, co ci się nie nada, spakuj z powrotem do torby.

Dała mężczyźnie czas na ubranie się, a sama wróciła do kuchni i wstawiła do piecyka kromki świeżego

chleba z masłem, przełożyła gulasz do miski i naląła zimnej herbaty do wysokich szklanek, pełnych kostek lodu.

- Potrzebuję pomocy.

Nie słyszała, kiedy podszedł. Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona jego bliskością i tym, co powiedział. Stał za jej plecami, w czarnych bermudach, z bawełnianą koszulką polo w ręku. Jej wzrok przykuł muskularny tors, pokryty czarnymi, kręconymi włosami i gruby biały zawój bandaża wokół lewego ramienia. Jak długo walczył z koszulką, zanim otwarcie przyznał, że sam nie da rady? Zdumiał ją fakt, iż wybrał polo, nie zaś tradycyjną koszulę zapinaną na guziki na całej długości, z którą poradziłby sobie bez niczyjej pomocy.

- Usiądź, tak mi będzie wygodniej - poprosiła. Przytrzymał się kantu szafki i powoli, ciężko osunął się na krzesło. Ostrożnie, z wyrazem napięcia na twarzy, starając się nie urazić rannego barku, naciągnęła rękaw na ramię.

- Włóż drugi rękaw, a ja przypilnuję, żeby szew nie zawadził o opatrunek.

Skorzystał z jej wskazówki w milczeniu, a potem wspólnymi siłami włożyli koszulkę przez głowę. Rachel starannie obciągnęła materiał i zapięła kołnierzyk, niczym troskliwa matka ubierająca dziecko. Tyle że mężczyzna, bez ruchu poddający się jej zabiegom, pod żadnym względem nie był dzieckiem.

Nie chciała poświęcać mu zbyt wiele czasu, wiedząc, że nie podoba mu się sytuacja, w której musi się zdać na opiekę drugiej osoby. Energicznie wyjęła grzanki i ułożyła w wymoszczonym lnianą serwetką koszyku, a następnie postawiła pieczywo na stole i usiadła.

- Jesteś prawo- czy leworęczny? - spytała, uciekając spojrzeniem w bok. Czują na sobie wzrok mężczyzny.

- Oburęczny. A co?

- Gdybyś był leworęczny, miałbyś trudności z utrzymaniem łyżki - wyjaśniła, skinieniem głowy wskazując gulasz. - Może chleba?

- Poproszę.

Do perfekcji opanował udzielanie jednowyrazowych odpowiedzi. Właściwie już wcześniej powinna go spytać, czy da radę utrzymać maszynkę do golenia, ale gładka skóra na jego brodzie i policzkach mówiła sama za siebie. Jedli w milczeniu. Mężczyzna z zapalem pałaszował gulasz. Rachel nie spodziewała się, że tak szybko odzyska apetyt.

Kiedy w misce z duszonym mięsem pokazało się dno, odłożył łyżkę i wpatrując się uporczywie i badawczo w Rachel, polecił:

- Powiedz mi, co tu się dzieje.

- Myślę, że teraz na mnie kolej zadać parę pytań. Kim jesteś? Jak się nazywasz?

Kontratak Rachel nie przypadł mu do gustu. Wiedziała o tym, chociaż jego twarz nawet nie drgnęła. Zawahał się. Trwało to tylko sekundę, ale wystarczyło, aby to zauważyła.

- Mów mi Joe.

- Nie mogę. Tak wołam na psa, bo on też nie powiedział mi, jak się nazywa. Wymyśl coś innego - skwitowała Rachel, po czym wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Poruszała się szybko i sprawnie.

Obserwował ją przez chwilę.

- Usiądź - powiedział cicho.

Nie przerwała roboty.

- Po co? Czy dalszych kłamstw muszę słuchać na siedząco?

- Usiądź, Rachel.

Nie podniósł głosu, nie zmienił spokojnego, zrównoważonego tonu, lecz nagle prośba zamieniła się w rozkaz. Przez chwilę Rachel patrzyła mężczyźnie prosto w oczy, a potem z dumnie uniesioną głową wróciła na swoje miejsce przy stole. Kiedy czekała w milczeniu na to, co mężczyzna ma do powiedzenia, westchnął krótko.

- Doceniam twoją pomoc, ale im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

Nie znosiła, kiedy ktoś decydował, co jest dla niej najlepsze.

- Rozumiem. Nie powinnam zwracać uwagi na to, że kiedy wyciągnęłam cię z morza, miałeś dwie rany postrzałowe. Powinnam umyć ręce i wydać cię, gdy przyszedli tu węszyć dwaj faceci udający agentów FBI. Nie powinnam zwracać uwagi na to, że rano przystawiłeś mi nóż do gardła. Przyznaję, jestem trochę ciekawska. Pielęgnuję cię od czterech dni i naprawdę chciałabym wiedzieć, z kim mam do czynienia, jeśli nie wymagam zbyt wiele!

Na sarkazm w jej głosie zareagował uniesieniem jednej brwi.

- Być może.
- W porządku, nieważne. Prowadź swojej gierki. Nie odpowiadasz na moje pytania, więc ja nie odpowiem na twoje. Umowa stoi?

Patrzył jej prosto w oczy dłużej niż poprzednio.

- Nazywam się Sabin - odezwał się wreszcie, wyduszając z siebie słowo po słowie, jak gdyby żałował każdej sylaby.

Łapczywie chłonęła dźwięk kolejnych głosek.

- To koniec?
- Czy to ważne?
- Nie. Ale chętnie się dowiem. Milczenie trwało zaledwie ułamek sekundy.
- Kell Sabin. Wyciągnęła rękę.
- Miło mi cię poznać, Kellu.

Powoli silne, ciepłe palce o zgrubiałych opuszkach objęły jej dłoń.

- Dziękuję, że się mną zajęłaś. Jestem tu cztery dni?
- Tak, czwarty dzień.
- Opowiedz, co się stało.

Zachowywał się jak człowiek nawykły raczej do wydawania poleceń niż cierpliwego proszenia o cokolwiek. Rozkazywał i żądał podporządkowania się. Dotyk ciepłej męskiej dłoni przyprawił ją o drżenie. Splotła trzęsące się palce, aby je unieruchomić, i położyła ręce na stole.

- Wyciągnęłam cię z wody i przyniosłam tutaj. Sądzę, że uderzyłeś głową o jedną ze skał u wejścia do zatoki. Miałeś wstrząs mózgu i byłeś w szoku. W ramieniu tkwiła kula.

Zmarszczył czoło.

- Wiem. Wyjęłaś ją?
- Nie ja. Wezwałałam weterynarza.

Nareszcie na twarzy Sabina pojawiło się zaskoczenie. W okamgnieniu nie został po nim ślad.

- Weterynarza?
- Musiałam coś z tym zrobić, a przecież zwykły lekarz ma obowiązek meldowania policji o wszelkich ranach postrzałowych.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Nie chciałaś powiadomić policji?
- Myślałam, że ty byś tego nie chciał.
- I dobrze myślałaś. Co się stało potem?
- Opiekowałam się tobą. Przez dwa dni byłeś nieprzytomny. Później zacząłeś się budzić, ale gorączka cię otumaniła. Nie wiedziałeś, co się dzieje.

- A agenci FBI?
- Nie byli wcale z FBI. Sprawdziłam.
- Jak wyglądali?

Rachel zaczynała się czuć jak na przesłuchaniu.

- Jeden, który przedstawił się jako Lowell, jest chudy, śniady, wzrost około metr siedemdziesiąt pięć, po czterdziestce. Drugi, niejaki Ellis, jest wysoki, przystojny jak z reklamy pasty do zębów, płowowłosa, niebieskooki.

- Ellis - powiedział do siebie.
- Udawałam głupią. Wydawało mi się to najbezpieczniejszym wyjściem, dopóki się nie ockniesz. To twoi przyjaciele?

- Nie.

Zapadła cisza. Rachel, wpatrzona we własne dłonie, czekała na następne pytanie. Kiedy nie padło, postanowiła sama je zadać.

- Czy powinnam wezwać policję?
- Tak byłoby bezpieczniej dla ciebie.
- Rozważyłam za i przeciw i zaryzykowałam. Doszłam do wniosku, że mam większą szansę niż ty. - Wzięła głęboki oddech. - Nie pracuję w policji ani w wojsku, ale byłam reporterką. Widziałam wtedy różne dziwne rzeczy i wiele razy ostrzegano mnie, żeby nie zgłębiać podejrzanych spraw. Mogłeś być kurierem narkotykowym albo zbiegłym więźniem, ale nie mówiono o tobie w radiu, nie pisano w gazetach. Mogłeś również być agentem. Zostałeś dwukrotnie postrzelony. Byłeś nieprzytomny i nie mogłeś ani się bronić, ani nic mi powiedzieć. Jeśli ktoś na ciebie polował, w szpitalu nie miałbyś szans na przeżycie.

- Masz bujną wyobraźnię.
- Owszem - zgodziła się potulnie.

Osunął się na oparcie krzesła i krzywiąc twarz z bólu, usiłował znaleźć wygodną pozycję dla ramienia.

- Kto poza weterynarzem wie, że tu jestem?

- Nikt.
- Więc jak mnie tu przyniosłaś? Może pomógł ci weterynarz? Nie wyglądasz na atletkę.
- Położyłam cię na kocu i dowlokłam do domu. Przy pomocy psa. Może myślał, że to zabawa. - Szare oczy Rachel pociemniały na wspomnienie heroicznego wysiłku, którego się podjęła. - Kiedy przyjechała Honey, podniosłyśmy cię na łóżko.

- Honey?

- Honey Mayfield. Jest weterynarzem.

Patrząc na jej spokojną twarz, Sabin zastanawiał się, czego mu nie powiedziała. Jak daleko przydzwigała go sama? Jak pokonała schody werandy? Wynosił rannych kolegów spod ostrzału, toteż wiedział, jakie to trudne, nawet dla silnego, wyszkolonego mężczyzny. Ważył co najmniej czterdzieści kilo więcej niż Rachel. Za żadne skarby nie zdołałaby go podnieść. Mogła kłamać, że nikt jej nie pomagał, ale właściwie dlaczego miałyby go oszukiwać?

Był skazany na czytanie między wierszami. Chyba każdy na jej miejscu wezwałby policję natychmiast po znalezieniu na plaży nieprzytomnego mężczyzny, ona jednak tak nie postąpiła. Ludziom na ogół nie przychodzi na myśl takie rozwiązania! Ranny na plaży? To zdarza się tylko w filmach, w powieściach, czyli - na niby. Jakie życie prowadziła Rachel, że stała się ostrożna i świadoma istnienia faktów, które przeczą zdrowemu rozsądkowi?

Jednocześnie zareagowali na odgłos nadjeżdżającego samochodu. Rachel natychmiast wstała z krzesła i położyła dłoń na ramieniu Sabina.

- Idź do sypialni i zamknij drzwi - poleciła cichym, stanowczym tonem.

Nie zauważyła, że w odpowiedzi na jej przytomną reakcję Sabin uniósł brwi ze zdumienia. Podeszła do okna i od razu się uspokoiła.

- To Honey. Wszystko w porządku. Pewnie nie mogła już wytrzymać z ciekawości, co u mnie słychać.

ROZDZIAŁ 6

Jak tam ból głowy? - spytała nowo przybyła.

Sabinowi spodobało się serdeczne, acz energiczne podejście do chorego tej postawnej kobiety o piegowatej twarzy. Polubił ją od razu.

- Trzyma się mocno - mruknął.
- Pomóż mi zdjąć koszulkę - poleciła Honey i razem z przyjaciółką ostrożnie i zręcznie rozebrały chorego.

Cieszył się, że włożył bermudy, bo kobiety nie musiały ich teraz ściągać. Nie wstydził się, ale czuł się nieswojo. Beznamiętnie oglądał zaczerwienioną, obrzękłą skórę wokół szwów na nodze. Zastanawiał się, w jakim stopniu mięsień został uszkodzony. Najważniejsze, aby jak najszybciej zaczął chodzić, zamiast kuśtykać. W przypadku ранego barku, gdzie doszło z pewnością do uszkodzenia skomplikowanego układu mięśni i ścięgien, zapowiadała się dłuższa kuracja. Sprawność nogi stanowiła jednak dla Sabina problem numer jeden. Kiedy opracuje plan działania, będzie musiał szybko się poruszać.

Po założeniu świeżych opatrunków koszulka wróciła na grzbiet chorego.

- Wróć za kilka dni zdjąć szwy - zapowiedziała Honey, pakując torbę.

Sabina zaskoczył fakt, iż wcale nie spytała go o nazwisko, nie poruszyła też żadnego tematu nie związanego z jego stanem zdrowia. Albo była osobą wyjątkowo pozbawioną ciekawości, albo uważała, że im mniej wie, tym lepiej dla niej. Chciałby, aby Rachel podzielała ten pogląd. Sabin wyznawał zasadę nieangażowania przypadkowych osób. Jego zajęcie było aż nazbyt niebezpieczne i chociaż doskonale znał i akceptował ryzyko z nim związane, za żadną cenę nie chciał, aby Rachel wypróbowała na własnej skórze, na co się naraża, udzielając mu pomocy.

Wyszła z sypialni razem z Honey. Sabin doczłapał do drzwi i patrzył na stojące przy samochodzie i rozmawiające cicho kobiety. Pies warował przy schodkach, powarkując niezdecydowany, kogo właściwie powinien pilnować - czy mężczyzny, czy swojej pani. Instynkt mówił mu, że pierwszeństwo ma Rachel, ale ten sam instynkt nie pozwalał ignorować obecności obce przy drzwiach.

Honey wsiadła do samochodu. Rachel pomachała jej na pożegnanie i ruszyła ku schodkom werandy.

- Uspokój się - upomniała psa łagodnie, a nawet ośmieliła się poklepać go po karku.

Pies zawarczał głośniej. Rachel podniosła wzrok i zobaczyła, że Sabin wyszedł na werandę.

- Nie podchodź zbyt blisko - ostrzegła. - Joe nie lubi mężczyzn.

Sabin z zaciekawieniem przyjrzał się psu.

- Skąd go wzięłaś? To szkolony pies obronny. Zdumiona Rachel zerknęła na Joego.

- Pojawił się pewnego dnia. Sama skóra i kości. Doszliśmy do porozumienia. Ja go karmię, a on pilnuje obejścia. To nie jest żaden pies obronny.

- Joe! - rzucił ostro Sabin. - Do nogi!

Poczuła, że pies przywarł do jej stóp rozdygotany. Nie spuszczać wzroku z mężczyzny, wydał z siebie mrozący krew w żyłach charkot. Prężył całe ciało do skoku, ale pozostał przy swojej pani, jakby uwiązany łańcuchem. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, przyklekła, objęła zwierzę za szyję i przemówiła doń kojącym głosem.

- Już dobrze. On cię nie skrzywdzi. Obiecuję. Wszystko w porządku.

Kiedy Joe uspokoił się trochę, weszła na werandę i demonstracyjnie pogłaskała mężczyznę po ręce. Sabin obserwował Joego bez strachu, ale nie prowokował go więcej. Potrzebował jego akceptacji, przynajmniej na tyle, aby mógł opuszczać dom, nie narażając się na atak psa.

- Zapewne poprzedni właściciel źle go traktował - stwierdził. - Masz szczęście, że nie pożarł cię na śniadanie, kiedy tylko pojawiłaś się na podwórku.

- Myślę, że się mylisz. Może był szkolony do pilnowania domu, ale na pewno nie do obrony. Wiele mu zawdzięczasz. Gdyby nie on, nie przyciągnęłabym cię tu z plaży. - Nagle zorientowała się, że jej dłoń wciąż głaszcze rękę mężczyzny. Szybko przerwała mimowolną pieszczotę. - Jesteś gotów do powrotu? Musiałeś się zmęczyć tak długim stanieniem.

- Za chwilę. - Zmierzył badawczym spojrzeniem sosnowy zagajnik po prawej i drogę skracającą w lewo. Starał się zachować szczegóły w pamięci na przyszły użytek. - Daleko do szosy?

- Jakies osiem, dziesięć kilometrów. To prywatna droga. Łączy się z drogą wiodącą na rancho Rafferty'ego i prowadzi do szosy numer dziewiętnaście.

- Którędy idzie się na plażę? Wskazała lasek.

- W dół, między sosnami.

- Masz łódź?

Z szeroko otwartych, szarych oczu Rachel wyzierała szczerość.

- Nie. Stąd można uciec tylko pieszo lub samochodem. Na ustach Sabina pojawił się uśmiech.

- Nie zamierzam ukraść ci samochodu.

- Naprawdę? A ja wciąż nie wiem, co ci się stało, dlaczego zostałeś postrzelony ani nawet czy jesteś dobrym człowiekiem.

- I mając tyle wątpliwości, nie wezwałaś policji? - odrzekł chłodno. - Przecież nie miałem na sobie nawet listka figowego, kiedy mnie znalazłaś!

Profesjonalista w każdym calu. Samotny, pozbawiony emocji i milczący jak grób. Rachel pogodziła się z faktem, że nie pozna całej prawdy o sytuacji, w której znalazł się Sabin, mimo że ocaliła mu życie. Bardzo jednak chciała się dowiedzieć, czy postąpiła właściwie. Dotychczas kierowała się instynktem. Teraz ogarnęły ją wątpliwości. Może uratowała agenta mordercę? Szpiega? Co robi, jeśli okaże się to prawdą? Najgorsze, że wbrew zdrowemu rozsądkowi czuła niewytłumaczalny pociąg do tego przystojnego, tajemniczego mężczyzny.

Milczał. Rachel zerknęła na Joego i otworzyła przeszklone drzwi werandy.

- Uciekam od tego upału. Jeśli chcesz tu zostać, zaryzykujesz bliższą znajomość z psem.

Sabin wszedł za Rachel do domu, podziwiając jej strzeliste, proste plecy. Była rozgniewana i czymś poruszona. Chciał ją uspokoić, lecz gorzka prawda brzmiała: im mniej wiedziała, tym była bezpieczniejsza. W warunkach, w jakich się znajdował, i wobec zaistniałych okoliczności nie mógł jej chronić. Rachel zaopiekowała się nim i narażała się dla niego, a jej przypuszczenia niezbyt odbiegały od rzeczywistości. Nie życzył sobie jakichkolwiek związków z tą kobietą, a mimo to nie potrafił myśleć o niej obojętnie, co napawało go głęboką niechęcią do samego siebie.

Znał już zapach jej ciała i czuł, niezwykle delikatny dotyk rąk. Korciło go, by wyciągnąć ramiona i przytulić ją. Nigdy nie tęsknił za czyjąś bliskością, nie licząc czysto fizycznej bliskości, którą narzuca seks. Zmierzył wzrokiem nagie, szczupłe nogi i miękko zaokrąglone pośladki. Wzbierało w nim pożądanie, szaleńcze i niedorzeczne, zważywszy na stan zdrowia. Opętała go zuchwała wizja: leży w ciemności, obejmując Rachel. A objąć ją znaczyło prawie to samo, co posiadać.

Przystanął na progu kuchni i patrzył, jak zrecznie zmywa naczynia. Nawet wykonując tak prozaiczną czynność, poruszała się z gracją, a w każdym jej ruchu widać było celowość, logikę, świetną organizację. Nie należała do kobiet kapryśnych i rozrzutnych. Nosiła proste, skromne ubrania, choć musiał przyznać, że beżowe szorty i błękitna bawełniana bluzka koszulowa nie potrzebowały dodatkowych ozdób oprócz tego, co skrywały: rozkosznie krągłych kobiecych kształtów. Nie widział Rachel nagiej, lecz w wyobraźni rozbierał ją i jej dotykał.

- Co się tak patrzysz? - spytała niezbyt grzecznie, nie odwracając nawet głowy, jak gdyby czytała w myślach Sabina i czuła na ciele jego dłonie.

- Przepraszam. - Nie wyjaśnił przyczyny przeprosin, sądził jednak, że Rachel wolałaby jej nie znać. - Wracam do łóżka. Pomożesz mi zdjąć koszulkę?

- Oczywiście. - Wytarła ręce i ruszyła do sypialni. - Najpierw zmienię pościel.

Ogarnęło go zmęczenie. Oparł się o komodę, aby zmniejszyć obciążenie lewej nogi. Ramię i udo dygotały. Spodziewał się tego bólu, toteż mógł go zignorować. Martwił się jednak brakiem sił. W przypadku zagrożenia nie zdołałby obronić Rachel ani siebie. Czy wolno mu pozostać w tym domu na czas rekonwalescencji? Zatrąskanym wzrokiem wodził za swoją pielęgniarzką, ścielącą łóżko. Rozważał przypuszczalne warianty rozwoju wydarzeń. Możliwości manewru nie były, niestety, duże. Nie miał pieniędzy ani dokumentów, nie odważyłby się też zadzwonić do podwładnych, żeby go zabrali, nie wiedział bowiem, komu zaufać i na ile agencja popierała wykluczenie go z gry. Zresztą i tak w swoim obecnym stanie nie nadawał się do żadnej pracy. Musiał dojść do siebie, choćby pod gościnnym dachem Rachel. Pobyt w ustronnym domku miał swoje zalety: ostry pies pełnił straż, w drzwiach tkwiły mocne zamki, a on dostawał jedzenie i miał opiekę medyczną.

Poza tym mieszkała tu Rachel.

Mógł patrzeć na nią do woli i robił to z prawdziwą przyjemnością. Była szczupła, tryskająca zdrowiem, a miodowa opalenizna nadawała jej skórze pociągającą gładkość. Miała bujne, proste, lśniące włosy o rzadko sportykanej, jednolitej popielatoblond barwie, która dobrze współgrała z jasnoszarymi tęczówkami szeroko otwartych oczu. Mniej niż średniego wzrostu, nosiła się tak prosto, że sprawiała wrażenie wysokiej. A piersi, tak cudownie pasujące do jej dłoni...

Do diabła! Słodka wizja porażała realnością. Jeśli to tylko majaczenia człowieka trawionego gorączką, to dlaczego wryły mu się w pamięć silniej niż autentyczne przeżycia z przeszłości? A jeśli to zdarzyło się naprawdę? Kiedy? Jak? Prawie nie odyskiwał przytomności, a kiedy budził się na chwilę, bredził w gorączce. A mimo to zapamiętał dotyk rąk Rachel, pielęgnującej go czule jak kochanka. Albo rzeczywiście pieścił jej piersi, albo w wyobraźni posunął się za daleko.

Poprawiła poduszki i wreszcie spojrzała na niego.

- Chcesz spać w spodenkach?

W odpowiedzi zdjął bermudy, usiadł na łóżku i czekał, aż Rachel ściągnie mu koszulkę. Gdy się pochylała, owiał go jej ciepły, lekko kwiatowy zapach. Instynktownie odwrócił głowę i przycisnął usta i nos do jej barku. Zawahała się, a potem szybko zdjęła rękaw z rannego ramienia i cofnęła się o krok. Wilgotny oddech przeniknął przez cienką bluzkę i rozpalil jej skórę. Serce zaczęło bić jak oszalałe. Usiłując nie dać poznać po sobie, jak silnie zareagowała na bliskość Sabina, starannie złożyła koszulkę na krześle, a następnie to samo zrobiła z bermudami. Kiedy znów ośmieliła się podnieść wzrok, Sabin leżał na plecach z prawą nogą ugiętą w kolanie i prawą ręką spoczywającą na brzuchu. Białe slipy odcinały się od ciemnej opalenizny. Rachel przypominała sobie

natychmiast, że pielęgnując ciało mężczyzny, nie zauważyła jaśniejszego pasa wokół bioder - śladu po kąpielówkach. Jęknęła bezgłośnie. Dlaczego właśnie teraz przyszło jej to do głowy?

- Przykryć cię kołdrą?

- Nie, wolę czuć przepływ powietrza. - Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał zatrzymać ją gestem. - Usiądź na chwilę.

Rozsądek mówił Rachel, że to nie najlepszy pomysł. Usiadła jednak, tak jak dziesiątki razy wcześniej, gdy leżał bezwładnie. Położył rękę na udach Rachel, a dłonią głaskał jej pośladek. Serce siedzącej znów przyspieszyło rytm. Spojrzała prosto w czarne oczy i już nie była w stanie odwrócić wzroku.

- Nie mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania, które chciałabyś zadać - odezwał się półgłosem. - Po prostu nie potrafię. Nawet gdybym powiedział, że dobry ze mnie człowiek, musiałabyś polegać wyłącznie na moim słowie. A z pewnością nie jestem samobójcą, aby twierdzić, że masz oto do czynienia ze złączyńcą.

- Daruj sobie te paradoksy - odparła surowo, błagając los, aby uwolnił ją od hipnotyzującego wzroku i dotyku Sabina. - Zajmijmy się faktami. Ktoś do ciebie strzelał. Kto?

- Wpadłem w zasadzkę zastawioną przez jednego z moich ludzi, Toda Ellisa.

- Falszywego agenta FBI?

- Tego samego, sądząc z twojego opisu.

- Zadzwoń gdzie trzeba i zdemaskuj go.

- To nie takie proste. Jestem na miesięcznym urlopie. Tylko dwaj ludzie znają miejsce mego pobytu. Obaj są moimi przełożonymi.

Rachel siedziała nieruchomo.

- Jeden z nich cię zdradził, ale nie wiesz, który.

- Może obydwaj.

- A gdybyś skontaktował się z kimś jeszcze wyżej?

- Złotko, wyżej już nie można! Nie wiem nawet, czy dotrę do tych dwóch. Każdy z nich może mnie obwołać odstępcą. Dzwoniąc stąd, demaskuję się, a z ciebie czynię współniczkę.

Mimo furii w oczach i głosie, dotyk jego dłoni pozostał delikatny, czuły. Jak to możliwe?

- Co zamierzasz?

Palce rannego powędrowały na udo Rachel i wsunęły się pod brzeg szortów.

- Wyzdrowieć. Teraz nie nadaję się do niczego, nawet ubrać się nie mogę bez pomocy. Problem polega na tym, że przez sam pobyt tutaj narażam cię na niebezpieczeństwo.

Wiedziała, że powinna odtrącić zuchwałą dłoń, lecz szorstkie koniuszki palców muskały jej udo tak przyjemnie, że nie ruszyła się z miejsca i tylko drżała niczym liść w podmuchach wiosennego wiatru. Czy Sabin zakładał, że żadna kobieta nie oprze się jego pieszczotom, czy też wyczuł jej słabość? Rachel myślała, że dobrze maskuje swoje uczucia, lecz może z racji wykonywanego zawodu nic nie mogło ujść uwagi Sabina?

W rozpaczliwym pośpiechu powstrzymała dłoń mężczyzny przed dalszą wędrówką w górę uda.

- Nie narażasz mnie na niebezpieczeństwo - stwierdziła nieco ochryple. - Podjęłam tę decyzję samodzielnie.

Nie zważając na hamującą ich poczynania kobiecą dłoń, palce Sabina dotarły wyżej, aż za rąbek majteczek i przesunęły się na krągły pośladek.

Zanim zacisnęła usta, wyrwał się z nich cichy jęk. To nieprawdopodobne, jak szybko jedna dość niewinna pieszczota doprowadziła ją do kresu wytrzymałości.

- Przestań - szepnęła.

- Czy śpimy razem?

Piersi Rachel boleśnie nabrzmiały, błagając, aby dotyk czułych palców przeniósł się na nie, tak jak już raz się to zdarzyło. Pytanie Sabina do reszty zbiło ją z tropu.

- To jedyne łóżko w domu. Nie mam wersalki. Tylko dwa wąskie fotele...

- Tak więc od czterech dni śpimy w jednym łóżku - przerwał potok bezładnych wyjaśnień. W jego czarnych oczach znów zapłonął ogień, nie podsycił go jednak gniew. Rachel patrzyła w nie jak urzeczona. - Opiekujesz się mną.

Drżąc cała, wzięła głęboki oddech.

- Tak.

- Zupełnie sama?

- Tak.

- Karmisz mnie.

- Tak.

- Myjesz?

- Tak. Miałaś gorączkę. Musiałam cię nacierać zimną wodą, żeby obniżyć temperaturę.

- Zrobiłaś wszystko, co trzeba. Pielęgnowałaś mnie jak niemowlę.

Nie wiedziała, jak się zachować. Ciepła, szorstka, silna dłoń wciąż spoczywała na jej pośladku.

- Dotykałaś mnie. Wszędzie. Przelknęła ślinę.

- Z konieczności.
- Widziałem cię naga?
- Nie!
- To skąd wiem, jak wyglądają twoje piersi? Skąd znam ich dotyk? To nie był sen, Rachel. Prawda?

Szkarłatny rumieniec zalał jej twarz. To wystarczyło za odpowiedź.

- Dwa razy. Ocknąłeś się i... dotknąłeś mojego biustu.
- Poczęstowałem się łakociami.
- Coś w tym rodzaju.
- A widziałem ciebie?
- Kiedy pochyliłam się nad tobą, koszula nocna zsunęła mi się z ramienia i odsłoniła dekolt.
- Byłem brutalny?
- Nie - szepnęła.
- Podobało ci się?

Musiała zakończyć to żenujące przesłuchanie, czuła jednak, że jest za późno. Nie powinna siadać na łóżku.

- Weź rękę - poprosiła, próbując nadać głosowi kategoryczny ton. - Puść mnie.

Posłuchał bez wahania, z wyrazem triumfu wypisanym na twarzy. Z twarzą czerwoną jak piwonia zerwała się z łóżka. Zrobiła z siebie piramidalną idiotkę! Była już przy drzwiach, kiedy zatrzymał ją głos Sabina.

- Rachel.

Nie chciała się odwrócić ani spojrzeć na niego, lecz sposób, w jaki wypowiedział jej imię, nie dopuszczał innej możliwości. Choć leżący bezradnie i ranny, dzierżył bezwzględna władzę nad swoją opiekunką. Miał we krwi dominację i dyrygowanie innymi przychodziło mu bez trudu.

- Gdybym mógł, poszedłbym za tobą. Nie uciekłabyś.

Rachel podniosła głos tylko na tyle, aby pokonać szum wentylatora sufitowego, chłodzącego powietrze w mrocznym pokoju.

- Być może - oświadczyła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Chciało jej się płakać, ale przecież płacz niczego by nie rozwiązał. Czuła wzbierający w niej ból i niepokój. Pożądanie. Rozpoznała to uczucie od razu. A więc tak nazywało się źródło jej nie kontrolowanego zauroczenia Sabinem. Gdyby jednak chodziło tylko o pożądanie, potrafiłaby je stłumić. Ostatecznie pożądanie jest normalną reakcją płci na płć przeciwną. Rachel potrafiła je sobie uświadomić, opanować i zignorować. Nie umiała jednakże zignorować wpływu, jaki Sabin miał na jej uczucia. Siedziała na łóżku i pozwalała się pieścić nie z powodu fizycznego pociągu do Sabina - choć, Bóg świadkiem, że nie wypierała się ogarniającej jej żądz - lecz dlatego, że wyłowiony z morza rozbitek stał się nagle dla niej kimś bardzo ważnym, kimś bliskim.

Postanowiła szukać ratunku w pracy. Właśnie praca uratowała ją, kiedy zmarł B.B. Niewielki gabinet zawalony był notatkami, książkami, czasopismami, przypiętymi do tablicy artykułami i fotografiami rodzinnymi. Czuła się tu wygodnie. Oddawała się swoim zainteresowaniom i mimo ciasnoty i bałaganu, doskonale wiedziała, gdzie co leży.

Nagle jej wzrok padł na ulubione zdjęcie B.B. i już wiedziała, że w gabinecie nie znajdzie ukojenia. Nie mogła uciec przed samą sobą. Musiała zmierzyć się z tą prawdą, i to natychmiast.

Musnęła palcami uśmiechniętą twarz na fotografii. B.B. był jej najlepszym przyjacielem, mężem i kochankiem, mężczyzną, który za maską wesółka ukrywał siłę charakteru i poczucie odpowiedzialności. Czasem ogarniała ją taka tęsknota za mężem, że nie sądziła, by kiedykolwiek mogła pogodzić się z jego utratą, choć B.B. na pewno by tego pragnął. Chciałby, żeby cieszyła się życiem, znów pokochała kogoś całym sercem, urodziła dzieci, odnosiła sukcesy w pracy... Ona też tego chciała, ale nie wyobrażała sobie udanego życia bez B.B.

Zdawali sobie sprawę z ryzyka, jakie niosła ich praca i akceptowali je. Trzymając się za ręce, rozmawiali nocami o niebezpieczeństwie, na jakie się narażają, jak gdyby nazywanie zagrożenia po imieniu mogło je oddalić. Praca reportera nauczyła Rachel chodzić na palcach, aby nie zbudzić lwa. Opanowała tę umiejętność do perfekcji. B.B., zatrudniony w Wydziale Antynarkotykowym, ryzyko miał wręcz wpisane w swe etatowe obowiązki.

Może coś przeczuwał? Poglaskał ją kiedyś po ręce w ciemności i powiedział: „Kochanie, jeśli coś mi się stanie, pamiętaj, że z pełną świadomością wziąłem na siebie ryzyko. Sądzę, że warto wykonywać tę pracę, i nigdy się nie wycofam, tak jak ty nie porzucisz tematu, który wygląda na śliski. Ludziom, którzy nigdy nie ryzykują, też przytrafiają się wypadki. Trzymanie się utartych szlaków niczego nie gwarantuje. Kto wie? Może twoje zajęcie okaże się bardziej niebezpieczne? Narażasz się grubym rybom”.

Prorocze słowa. Rok później B.B. nie żył. Rachel wysledziła na własną rękę powiązania pewnego polityka z handlem narkotykami. Nie miała dowodów, ale pytania, które zadała owemu dygnitarzowi, bardzo go zdenerwowały. Pewnego ranka spieszyła się na samolot do Jackson-ville, a miała resztkę benzyny w samochodzie. B.B. rzucił jej kluczyki do swojego wozu i zaproponował: „Weź mój. Mam mnóstwo czasu. Zatankuję po drodze do pracy. Do zobaczenia wieczorem, kochanie”.

Dziesięć minut po starcie samolotu z Rachel na pokładzie B.B. włączył silnik w jej samochodzie i zginął na

miejscu od wybuchu bomby.

Pogrążona w żalu, doprowadziła śledztwo do końca. Za handel narkotykami i udział w zamachu na B.B. polityk odsiadywał teraz wyrok dożywocia bez prawa do przedterminowego zwolnienia. Rachel zrezygnowała z pracy reportera, wróciła do Zatoki Diamentowej i próbowała znaleźć sens w samotnym życiu. Osiągnęła, nie bez walki, wewnętrzny spokój. Praca zaczęła znów sprawiać przyjemność. Ciche życie nad brzegiem morza bardzo jej odpowiadało. Tyle że nikogo już nie kochała. Miłość nawet nie kuszyła Rachel. Nie interesowały jej ani randki, ani pocałunki, nie pociągało jej nawet męskie towarzystwo.

Aż do dziś. Musnęła palcem ulubioną szklankę B.B., z której pił dżin. Zakochać się - to niesłychanie bolesna i trudna sprawa. Ależ górnolotnie powiedziane! „Zakochać się”. Oto co ją spotkało. Na łeb na szyję, bez pamięci zanurkowała w nowym uczuciu, chociaż nie miała pewności, czy jest gotowa. Czuliła się jak idiotka. Co wiedziała o Kellu Sabinie? Wystarczająco dużo, aby emocje wymknęły się spod kontroli. Pokochała go od pierwszego wejrzenia, intuicyjnie czując, że spotkała kogoś, kto stanie się dla niej ważny. Czy istniał inny powód, dla którego tak rozpaczliwie walczyła, aby ukryć i ochronić wyciągniętego z morza mężczyznę? Czy zaryzykowałaby opiekę nad innym intruzem? Romantyczne uzasadnienie jej zachowania brzmiało: przecucie. Stare jak świat przysłowie dawało inną odpowiedź: „Kto ratuje czyjeś życie, zyskuje nowe życie dla siebie”. Czy w tym wypadku zadziałał tylko instynkt opiekuńczy? Czy między Rachel a Sabinem narodziła się więź stworzona przez niebezpieczne okoliczności?

W tym punkcie swych rozważań roześmiała się drwiąco. A co to za różnica? Mogła siedzieć tak całą noc, wymyślając prawdopodobne i nieprawdopodobne wytłumaczenia, lecz to nie zmieniało postaci rzeczy. Bez względu na logikę i własną wolę, była prawie zakochana w obcym mężczyźnie, a wszystko wskazywało na to, że zakocha się bez reszty.

Próbował ją uwieść. Stan zdrowia nie pozwalał mu jeszcze na to, ale, wzięwszy pod uwagę niespożytą siłę drzemiacą w jego organizmie, powinien dojść do siebie o wiele szybciej niż przeciętny człowiek. Na myśl o uprawianiu miłości z Sabinem Rachel zdrzała z podniecenia, choć rozsądek nakazywał ostrożność i przestrzegał przed zaangażowaniem. Uczuciowa deklaracja stanowiłaby jeszcze większe ryzyko niż ukrywanie i pielęgnowanie ranego. Rachel nie bała się represji fizycznych lub konsekwencji prawnych. Obawiała się natomiast, że cena pokochania takiego człowieka mogłaby okazać się dla niej za wysoka.

Wzięła głęboki oddech. Nie potrafiła odmierzać swoich uczuć i reakcji kroplomierzem, według recepty. Kontrolowanie zachowań i chłód emocjonalny nie leżały w jej naturze. Mogła jedynie zaakceptować fakt, że kocha Sabina (a właściwie: dojrzewa do miłości do niego) i po prostu zacząć żyć z tą świadomością.

B.B. z dawnej fotografii nie spuszczał z niej wzroku. Chciałby, żeby znów kogoś pokochała. Rachel dotychczas nie zdradziła zmarłego męża.

Pogodzić się z nową miłością - to zadanie trudne aż do bólu. Nie umiała kochać lekko. Oddawała uczuciu całą siebie. Mężczyzna śpiący w jej łóżku z pewnością nie przyjąłby jej poświęcenia z otwartymi ramionami. Nie trzeba było kryształowej kuli, aby odkryć, iż należał on do mężczyzn łączących chłód emocjonalny z żarliwą zmysłowością. Niebezpieczny zawód stanowił treść jego życia, a zawód ten nie zachęcał do umacniania więzi uczuciowej z kimkolwiek. Mógł rzucić się na Rachel jak zgłodniały wilk, posiąść ją, a potem cicho odejść i wrócić do życia, które wybrał.

Wzbierała w niej gorycz. Rozejrzała się po gabinecie. Nie miała nastroju do pracy. Kłębiące się myśli i uczucia nie pozwalały skupić się ani nad przygotowaniem wykładów, ani nad rękopisem książki. Jeszcze chyba nigdy nie ugrzęzła w tak skomplikowanej sytuacji. Przydałaby się czyjaś dobra rada.

Nagle rozpromieniła się. Miała przecież w sypialni eksperta od trudnych sytuacji. Czemu nie skorzystać z jego rady, póki jest pod ręką? Jeśli nawet nie pomoże, przynajmniej zajmie się czymś pożytecznym. Dla siebie też przewidziała praktyczne zajęcie: pielenie ogródka. Późnym popołudniem nie doskwierał już upał.

Kończyła pracę przy szybko zapadającym zmierzchu. Nagle usłyszała skrzypienie drzwi. W tej samej chwili Joe, pilnujący grządki, którą właśnie pełła, zerwał się jak szalony. Poderwała się na nogi, wołając psa po imieniu. Wiedziała, że i tak go nie dogoni i nie zatrzyma.

Sabin nie cofnął się. Słyszając wołanie pani, Joe zawahał się przez chwilę, a Sabin wykorzystał ten czas, aby usiąść na schodkach. Był teraz obiektem dostępniejszym dla psa, lecz zarazem przestał górować wzrostem nad zwierzęciem, a więc już nie stanowił dla niego zagrożenia. Joe zatrzymał się metr od mężczyzny i jeżąc sierść, przysiadł na tylnych łapach.

- Nie podchodź - polecił stanowczo Sabin, kiedy Rachel chciała stanąć między nim a psem.

Zbyt pochopnie zgodziła się posłużyć za tarczę ochronną. Sabin sądził, że pies nie mógłby z rozmysłem zrobić jej krzywdy, ale gdyby zaatakował obcego, a Rachel spróbowała go bronić...

Tak czy owak, Sabin musiał dojść do porozumienia z Joem, najlepiej od razu. Rachel cofnęła się i przemawiając cicho do psa, usiłowała go uspokoić. W razie ataku, nie zdołałaby odciągnąć go od Sabina. Na co liczył, wychodząc z domu bez uprzedzenia i wiedząc, że pies nie lubi mężczyzn?

- Joe, do nogi! - powiedział surowym tonem.

Tak jak poprzednio, komenda wywołała w zwierzęciu paroksyzm wściekłości. Rachel stanęła bliżej, aby przy najmniejszym ruchu zapowiadającym atak rzucić się przed psa. Sabin ostrzegł ją wzrokiem.

- Joe, do nogi! - powtórzył parokrotnie cichym, spokojnym głosem.

Joe skoczył do Sabina i trzymając pysk parę centymetrów od jego stopy, pokazał kły. Rachel jęknęła i błyskawicznie objęła psa za szyję. Cały drżał. Zignorował swoją panią! Liczył się tylko obcy mężczyzna.

- Puść go i odejź.

- Wróć do domu. Przytrzymam go.

- Nie! Póki pies mnie nie zaakceptuje, jestem jego więźniem. Może się zdarzyć, że będę musiał pośpiesznie opuścić dom, a wtedy nie chciałbym się martwić zachowaniem psa.

Rachel przykucnęła koło Joego, zanurzyła palce w sierści i delikatnie pogłaskała. A więc Sabin już planował odejście. Wiedziała nawet, jak się to odbędzie. Powoli wyprostowała się i cofnęła o krok.

- Joe, do nogi! - powtórzył Sabin.

Rachel wstrzymała oddech, czekając na kolejny wybuch wrogiej wściekłości. Widziała, jak Joe się trzęsie i kładzie uszy po sobie. Sabin powtórzył polecenie. Przez chwilę zdawało się, że rozdygotany pies znów ruszy do ataku, lecz ten niespodziewanie stanął przepisowo przy nodze mężczyzny.

- Siad!

I Joe usiadł.

- Dobry piesek.

Lewą ręką Sabin niezdarnie poklepał psa po głowie. Joe warknął z cicha, lecz nie wykazywał chęci do gryzienia.

Rachel odetchnęła z ulgą.

- Teraz ty usiądź przy mnie.

- Tak jak pies? - zażartowała, z wdziękiem przysiadając na stopniu.

Widząc to, pies zerwał się i strzygąc uszami, stanął przed ludźmi.

Sabin objął Rachel i przytulił do swego nagiego torsu, uważnie obserwując psa. Joemu wcale się to nie podobało. Warczał coraz głośniejsze.

- Jest zazdrosny - stwierdził Sabin.

- Albo sądzi, że chcesz mi zrobić krzywdę. - Objęta silnym męskim ramieniem, nie mogła złapać tchu. Aby o tym nie myśleć, wyciągnęła rękę do Joego. - Wszystko dobrze, piesku. No, chodź tu.

Joe zbliżył się z rezerwą. Powąchał dłoń Rachel, a potem kolano Sabina. Po chwili padł na ziemię u ich stóp i oparł łeb na łapach.

- Ktoś go podle traktował. To inteligentne i drogie zwierzę. Nie jest stary. Ma nie więcej niż pięć lat.

- Tak samo uważa Honey.

- Czy od zawsze miałaś skłonność do przygarniania przybłąd?

- Ale tylko interesujących przybłąd.

Wyczuła w swoim głosie napięcie. Zastanawiała się, czy Sabin też to usłyszał, a jeśli tak, to czy zna tego przyczynę. Prawa dłoń mężczyzny głaskała lekko jej nagie ramię. Niby niewinny gest, a odbierała go jak najgorętszą pieszczotę.

Nagle błyskawica rozświetliła ciemniejące niebo. Rachel podniosła głowę, wdzięczna aurze za przerwanie czułej sceny na schodkach.

- Znosi się na deszcz. Rano grzmiało, ale nie spadła ani kropla. - Dokładnie w tym momencie zadudnił piorun i zmoczyły ich pierwsze wielkie krople. - Lepiej wejźmy do domu.

Sabin przyjął jej pomoc przy wstawaniu ze stopnia, ale uparł się, że dalej pójdzie sam. Joe schronił się pod samochodem. Kiedy tylko Rachel zamknęła przeszkłone drzwi werandy, tuż nad domem rozległ się potężny grzmot, a z otwartych niebios lunął potop. Gwałtownie się oziębilo. Wiatr roztrzepywał krople ożywczego deszczu na mgiełkę. Roześmiana Rachel zamknęła dębowe drzwi frontowe na klucz. Odwróciła się i wpadła prosto w objęcia Sabina.

Nie powiedział ani słowa. Po prostu odchylił jej głowę i dotknął ustami jej warg. Cały świat zawirował. Przyciskając dłonie do nagiego torsu Sabina, Rachel stała nieruchomo, bezwolnie poddając się pocałunkowi. Nie potrafiła uczynić nic innego, niż dać mu to, czego chciał.

Miał nieustępliwe, zachłanne usta, takie, jakich się spodziewała. Całował powoli, namiętnie, z wprawą. Ich języki zetknęły się. Świeży zarost drapał delikatną skórę Rachel.

Siła rozkoszy, jaką czerpała z tego pocałunku, przeraziła ją. Oderwała usta i spojrzała na Sabina szeroko otwartymi oczami.

Mocniej zacisnęła palce na jej włosach.

- Boisz się mnie? - spytał otwarcie.

- Nie - szepnęła.

- To dlaczego przerwałaś?

Cóż miała powiedzieć? Tylko prawdę.

- Za daleko to zaszło - wyznała w zapadającym zmierzchu, przy akompaniamencie grzmotów, wichru i ulewy.
- Nie. Jeszcze nie dość.

ROZDZIAŁ 7

W miarę zbliżania się nocy Rachel czuła coraz silniejsze wewnętrzne napięcie. Sabin nie pocałował jej więcej ani nie dotknął, jedynie wodził za nią wzrokiem, a to było jeszcze gorsze. Siła jego spojrzenia równała się najbardziej wyrafinowanym pieszcotom.

Nie mogła rozładować tego napięcia w milej, swobodnej pogawędce, za każdym bowiem razem, gdy zerkała na swego towarzysza, widziała wpatrzone w siebie oczy. Zjedli, a potem usiedli przed telewizorem. Niestety, program nie okazał się zbyt interesujący i zamiast śledzić akcję na ekranie, Sabin nie spuszczał z niej wzroku, więc wyłączyła telewizor.

- Chcesz coś do czytania? - spytała w przypiływie rozpacz.

Potrząsnął głową.

- Jestem wykończony, a ten przeklęty ból głowy dokucza jeszcze bardziej. Chyba wrócę do łóżka.

Naprawdę wyglądał na zmęczonego, co wcale nie dziwiło. Zważywszy, że dopiero rano odzyskał przytomność, był na nogach bardzo długo. Rachel także czuła się znużona. Wydarzenia mijającego dnia wysysały z niej energię.

- Pozwól, że pierwsza wejdę pod prysznic. Później pomogę ci się położyć - zaproponowała, a Sabin kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Umyła się pospiesznie i włożyła najskromniejszą koszulę nocną, jaką miała. Na nią narzuciła szlafrok i zawiązała pasek. Kiedy wyszła z łazienki, Sabin czekał w sypialni. W żadnym z pozostałych pomieszczeń nie paliło się światło.

- Ale szybko! - Uśmiechnął się. - Nie wiedziałem, że kobieta jest zdolna zająć łazienkę na krócej niż pół godziny.

- Antyfeminista! - odparła żartobliwie, zastanawiając się, czy w jego oczach nigdy nie gości uśmiech.

Zsunął bermudy i pokuśtykał do łazienki.

- Umyję się tam, gdzie dosięgnę, a potem zawołam cię, żebyś dokończyła resztę, dobrze?

- Tak - odrzekła z gardłem ściśniętym na myśl o tym, że znów dotknie jego ciała.

Myślała już przecież kilka razy, tyle że teraz był przytomny, a poza tym - całował ją. Denerwowała się tym, jak sama zareaguje na bliskość męskiego ciała, nie zaś tym, co Sabin mógłby zrobić. Dopóki nie odzyska sprawności fizycznej, nie posunie się za daleko.

Właściwie nie było potrzeby, aby dalej spali we wspólnym łóżku. Najłatwiejszym rozwiązaniem tego problemu wydawało się przygotowanie osobnego posłania. Niewiele myśląc, Rachel wyjęła z pawlaczka pikowane narzuty, rozpostarła je na podłodze i przyniosła jedną z poduszek leżących na łóżku. Mogła się obejść bez kołdry. Szlafrok z powodzeniem by ją zastąpił.

Po dwudziestu minutach Sabin otworzył drzwi.

- Jestem gotów na przyjęcie posiłków.

Miał na sobie jedynie ręcznik, zawiązany wokół bioder. Dosłownie staniał się na nogach. Rachel obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Nerwowa obawa ustąpiła miejsca zatroskaniu. Sabin był blady. Skóra ciasno opinała wydętne kości policzkowe. Usta przybrały nienaturalnie czerwoną barwę.

- Chyba znów masz gorączkę- stwierdziła, przykładając dłoń do jego policzka.

Temperatura nie wydawała się tak dramatycznie wysoka, jak wcześniej, na pewno jednak przekraczała normę. Rachel natychmiast pomogła Sabinowi usiąść na stołeczku, podała mu dwie aspiryny i szklankę wody do popicia, a potem najszybciej jak umiała, umyła mu plecy. Im prędzej zapakuje go do łóżka, tym lepiej, pomyślała. Po tak aktywnie spędzonym pierwszym dniu należało się spodziewać powrotu gorączki.

- Przepraszam - mruknął, kiedy go wycierała. - Nie zamierzałem sprawiać ci kłopotu.

- Nie jesteś supermanem - zgasiła go. - Chodź, połóżysz się.

Pomogła mu wstać.

- Zaczekaj - poprosił.

Rozwiązał ręcznik, powiesił go na wieszaku i nic sobie nie robiąc z nagości, wsparty na Rachel, powoli ruszył do łóżka. Rachel nie wiedziała, czy się śmiać, czy oburzyć. W końcu postanowiła nie zwracać uwagi na nagość Sabina. Pielęgnując go w chorobie, miała przecież okazję widzieć go takiego, jakim go Pan Bóg stworzył.

Mimo gorączki i wyczerpania, Sabin zauważył posłanie u stóp łóżka. Uniósł ciemne brwi i zmrużył oczy.

- Co to?

- Moje łóżko.

Zerknął na rozesłaną na podłodze pościel, potem na Rachel i odezwał się tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Zbieraj te cholerne bety i kładź się ze mną, tu, gdzie twoje miejsce.

Zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Czujesz się już znacznie lepiej, więc nie muszę być aż tak blisko, żeby w razie potrzeby interweniować.

- Spałaś w tym łóżku tyle nocy. Po co to zmieniać? Chyba nie ogarnął cię nagle wstyd, a seks w ogóle nie wchodzi w rachubę.

To nie lęk przed zachowaniem Sabina sprawiał, że wołała z nim nie spać. Doskonale wiedziała, jak zareaguje na siłę i ciepło bijące od ciała leżącego tuż obok niej mężczyzny. Przyzwyczyła się sypiać sama i, ku swemu zaskoczeniu i niezadowoleniu, odkryła na nowo przyjemność dzielenia łóżka z mężczyzną.

Sabin położył dłoń na jej szyi. Zgrubiała opuszka kciuka musnęła wrażliwą na dotyk skórę i sunęła dalej, wzdłuż linii obojczyka. Rachel zadrżała.

- Chcę, żebyś ze mną spała! Istnieje powód...

Nie wiedziała, czy powinna tego słuchać. Patrząc na nią zimne, hipnotyzujące oczy należały do człowieka, który nie żywił już żadnych złudzeń; najgorsze miał za sobą i nic nie mogło go zaskoczyć.

- Przecież tu zostanę, tuż przy łóżku.

- Nie! Chcę, żebyś była cały czas w zasięgu ręki. Jeśli będę musiał użyć noża, muszę mieć pewność, że nie napatoczysz mi się na linię ciosu.

Odwróciła głowę i zerknęła na nóż, wciąż leżący na nocnym stoliku.

- Nikt się tu nie włamie bez obudzenia nas.

- Nie chcę ryzykować. Kładź się do łóżka. W przeciwnym przypadku oboje będziemy spać na podłodze.

Wiedziała, że nie ma sensu się spierać. Wzdychając, poddała się. Nie było potrzeby, aby oboje cierpieli niewygodę.

- Zgoda. Wezmę poduszkę.

Cofnął dłoń, a Rachel cisnęła poduszkę na dawne miejsce. Sabin ostrożnie wsunął nogi pod kołdrę. Jęknął z cicha, kiedy opuszczając plecy, napiął mięśnie barku. Rachel zgasiła światło i położyła się z drugiej strony, przykryła ich oboje i zwinęła się w kłębek na boku. Z pozoru wyglądało to jak codzienny rytuał zżytej pary małżeńskiej.

Stary dom otoczył ich przyjaznymi odgłosami. Trzeszczały deski, skrzypiały okiennice, a w nocnej ciszy Rachel słyszała nawet świerszcze cykające za oknem. Spokojny, równy oddech Sabina oznaczał, że już zasnął, wyczerpany pełnym wrażeń dniem. Bezwiednie położyła rękę na jego ramieniu. Był to machinalny gest, który zwykła czynić podczas minionych nocy, kiedy musiała czuwać nad każdym ruchem chorego.

Niespodziewanie palce prawej dłoni mężczyzny zacisnęły się na jej nadgarstku. Krzyknęła, nie tyle z bólu, co z zaskoczenia. Mocny uścisk nieco zelżał.

- Rachel?

- To boli! - Słowa protestu same cisnęły się na usta. Puścił ją, usiadł na łóżku i zaklął pod nosem. Rachel roztarta obolały przegub.

- Chyba jednak bezpieczniej będzie mi na podłodze - oświadczyła wreszcie, siląc się na obojętny ton. - Przepraszam. Nie zamierzałam cię dotknąć. Tak jakoś wyszło.

- Nic ci się nie stało? - spytał zaniepokojony.

- Nic, poza siniakiem na nadgarstku.

Spróbował przekręcić się na bok, ale na przeszkodzie stanął ranny bark. Zaklął raz jeszcze i zrezygnował.

- Przejdź z tej strony, żebym mógł spać na prawym boku i obejmować cię.

- Dziękuję, nie potrzebuję obejmowania. - Wciąż drżała, wystraszona gwałtowną, szybką reakcją Sabina.

- Twoje łóżkowe partnerki nie mają z tobą lekko.

- Jesteś pierwszą kobietą od lat, z którą dzielę łóżko

- odrzekł. - Decyduj się, czy chcesz znów wywołać fał

szywy alarm, czy kładziesz się z tej strony?

Wstała i obeszła łóżko, a Sabin przesunął się na tyle, by zrobić dla niej miejsce. Położyła się bez słowa, odwróciła do niego plecami i przykryła ich oboje kołdrą. Sabin przyjął identyczną pozycję. Przywarł udami do jej ud, łądzwiami do jej pośladków, a twardym, szerokim torsem

- do jej pleców. Prawe ramię podłożył pod poduszkę, na

której leżała głowa Rachel, lewym zaś objął ją w talii.

Zamarła, porażona bijącym od Sabina żarem. Czy jego źródłem była gorączka, czy pożądanie? Rachel już zapomniała, jak to jest leżeć z mężczyzną, poddawać się jego sile, a zarazem zyskiwać poczucie bezpieczeństwa.

- A jeśli odruchowo dotknę twojej ręki lub nogi? - szepnęła.

- Nie pobieram się z bólu - stwierdził ironicznie, owiewając oddechem jej włosy. - Śpij i o nic się nie martw.

Nie martwić się? Za nic w świecie nie chciała przysporzyć mu bólu. Wtuliła czoło w poduszkę, czując twarde jak stal ramię. Wsunęła dłoń pod poduszkę i objęła nadgarstek mężczyzny. Nie potrafiła powstrzymać się od tego gestu.

- Dobranoc - powiedziała, zapadając w sen.

Sabin leżał bez ruchu, chłonąc dotyk gładkiej skóry, wciągając w nozdrza słodki zapach kobiety i rozpamiętując smak jej ust. Czuł się zbyt wspaniale, by nie wzbudziło to w nim podejrzeń. Rzeczywiście, lata całe z nikim nie sypiał. Wyostrzył w sobie instynkt do tego stopnia, że po prostu nie tolerował niczyjej bliskości podczas snu, włącznie z obecnością byłej żony. Nawet w czasie trwania ich małżeństwa Sabin chronił się w samotność. Dziwne, że teraz poczuł się tak dobrze, przytulając Rachel i wcale nie pragnąc zwiększenia dystansu. Ostrożność i nieufność miał we krwi. Nie potrafił zaufać nikomu, nie wyłączając własnych ludzi. Ta cecha nieraz

ocaliła mu życie. Może szczególna sytuacja, w jakiej się znalazł, fakt, że był całkowicie zdany na Rachel, i doświadczył jej autentycznej troski, sprawiły, że nie tylko nie obawiał się bliskości, a wręcz jej pragnął.

Bez względu na przyczynę, przytulanie i całowanie Rachel sprawiało mu autentyczną przyjemność. Jeszcze żadna kobieta nie pociągała go w takim stopniu. Pomyślał o tym, jak by to było kochać się z nią. Poczł, że budzi się w nim pożądanie. Żałował, że nie może robić z nią tego wszystkiego, czego pragnął, lecz musiał poczekać. Był pewny, że w końcu posiadzie Rachel, ale musiał się mieć na baczności, aby poprzestać na rozkoszy fizycznej. Nie mógł sobie pozwolić na nic więcej, dla dobra ich obojga.

Rachel budziła się powoli. Było jej tak przyjemnie we śnie, że nie miała najmniejszej ochoty otworzyć oczu. Należała do rannych ptaszków. Zwykle od razu zrywała się z łóżka i naprawdę lubiła poranki, ale tego szczególnego dnia, rozespana, wtuliła tylko głowę w poduszkę. Od lat tak dobrze nie spała. Ale gdzie Sabin?

Natychmiast zorientowała się, że nie ma go przy niej i wyskoczyła z łóżka. Sprawdziła w łazience i wybiegła z sypialni.

- Kell!

- Tu jestem!

Głos dobiegał spoza domu. Jak rakietą dopadła otwartych drzwi wyjściowych. Sabin, ubrany tylko w drelichowe szorty, siedział na schodkach, a Joe leżał na trawie u jego stóp. Kaczor Ebenezer ze swym wiernym stadkiem człapał po podwórzu, w ciszy polując na robaki. Deszcz przydał ziemi i roślinom świeżych, żywych barw, od których aż oczy bolały. Słońce niepodzielnie panowało na bezchmurnym, intensywnie błękitnym niebie. Był nadzwyczaj spokojny, ciepły, piękny poranek.

- Jak zdołałeś wstać z łóżka, nie budząc mnie?

Wsparty dłonią o stopień, wstał i, jak zauważyła Rachel, poszło mu to łatwiej niż dzień wcześniej. Podeszedł do przeszkłonych drzwi werandy.

- Byłaś zmęczona po czterech dniach skakania koło mnie.

- Widzę, że lżej ci się poruszać.

- Czuję się silniejszy i głowa już mnie nie boli.

Otworzył drzwi i zawahał się. Powiódł spojrzeniem po ciele Rachel. Zawstydzona, w pierwszej chwili chciała złożyć dłonie na piersiach, ale przecież koszula nocna, którą wybrała, szczelnie osłaniała sylwetkę, więc jej gest byłby zbędny. Z nie uczesanymi włosami wyglądała pewnie jak strach na wróble, lecz nie miała zamiaru tym się przejmować.

- Przyzwyczaiłam się do roli opiekuńczej kwoki - wyjaśniła ze śmiechem. - Kiedy nie zastałam cię w łóżku, wpadłam w panikę. Skoro jednak dobrze się czujesz, ubiorę się i zrobię śniadanie.

- Dla mnie nie musisz się ubierać - skomentował przeciągle, lecz puściła tę uwagę mimo uszu i odeszła.

Odprowadził ją wzrokiem, a potem powoli ruszył po schodkach do domu. Rachel nie odgrywała pierwszej nawiązanej. Nie włożyła z rozmysłem przezroczystych fatalaszków i nie udawała zakłopotania tym, że widać spod nich to i owo. Miała na sobie różową bawełnianą koszulę nocną, a mimo to wydała się Sabinowi bardzo pociągająca - zaróżowiona od snu, kobieca. Jeszcze odczuwał pożądanie, które ogarnęło go, gdy obudziwszy się, spostrzegł, że w nocy koszula podwinęła się i nagie uda Rachel przywierają do jego ud, a jedyną zaporę między ich ciałami stanowią cienkie majteczki. Musiał natychmiast wstać z łóżka, aby oddalić pokusę. Przeklinał swoją fizyczną niesprawność, bowiem gdyby nie ona, posiadałby Rachel, tak jak pragnął: namiętnie i czule zarazem.

Po paru minutach wróciła do kuchni uczesana, z włosami spiętymi za uszami ciemnoczerwonymi klamerkami w kształcie motyli. Wciąż bosa, była ubrana w sprane do białości drelichowe szorty i obszerną bordową koszulę męską, której poły zawiązała w talii na supeł. Opalona twarz nie nosiła śladów makijażu. Sprawiała wrażenie osoby radosnej i swobodnej. Sabinowi podobała się jej pewność siebie. Przywykł do dominacji nad innymi, toteż potrzebował kobiety o silnej osobowości, która nie poddałaby mu się całkowicie, ani w łóżku, ani poza nim.

Spostrzegł, że nie marnowała czasu na zbędne czynności. Każdy jej ruch w kuchni był celowy i przemyślany. Włączyła ekspres do kawy i zaczęła podsmażać bekon. Gdy dwa różne aromaty uniosły się w powietrzu, Sabin zdał sobie sprawę, że umiera z głodu. Rachel wstawiła grzanki do piecyka, rozbiła cztery jaja na jajecznicę, pokroiła arbut. Na Sabina spojrzały świetliste, szare oczy.

- Łatwiej byłoby kroić moim najlepszym nożem.

Sabin rzadko się śmiał czy nawet uśmiechał, lecz ironiczny, chłodny ton głosu Rachel wywołał jego rozbawienie. Aby odciążać ranną nogę, pochylił się i oparł o blat. Nie zamierzał się kłócić. Potrzebował czegoś do obrony, choćby kuchennego noża. Przemawiała za tym i logika, i instynkt.

- Masz jakąś broń palną?

Zręcznie obróciła na patelni plastry bekonu.

- Mam pod łóżkiem strzelbę kalibru dwadzieścia dwa, a w skrytce w samochodzie pistolet, trzysta pięćdziesiąt siedem, załadowany śrutem.

Sabina ogarnęła irytacja. Dlaczego poprzedniego dnia nie wspomniała o broni? Ale Rachel posłała mu znajome długie, surowe spojrzenie i już wiedział, że czeka, aż on coś powie. Zresztą po cóż miałyby dawać

strzelbę człowiekowi, który przystawił jej nóż do gardła?

- A gdybym w nocy musiał użyć broni?
- Poza śrutem nie mam nabojów do pistoletu, więc nie wspomniałam o nim - odparła spokojnie. - Natomiast strzelba leżała tuż-tuż, a ja nie tylko potrafię jej używać, lecz, w przeciwieństwie do ciebie, mam obie ręce sprawne.

W swoim domu czuła się bezpieczna, zdrowy rozsądek nakazywał jednak trzymać coś do obrony. Była kobietą samotną, mieszkającą z dala od sąsiadów. Dziadek twierdził, że taka broń dobra jest na lisa podkradającego kury, ale przecież na widok kalibru trzysta pięćdziesiąt siedem nikt nie pomyślałby, że pistolet naładowano śrutem. Rachel specjalnie wybrała broń do odstraszenia, nie do zabicia ewentualnego napastnika.

Sabin milczał przez chwilę, mrużąc oczy.

- Dlaczego teraz o tym mówisz?
- Po pierwsze dlatego, że powiedziałaś, kim jesteś. Po drugie dlatego, że zapytałaś. Po trzecie dlatego, że nawet bez noża nie byłeś bezbronny. niesprawny, owszem, ale nie bezbronny.

- Co przez to rozumiesz?
Zerknęła na jego bose, opalone, duże stopy.

- Masz zgrubiałą skórę na rękach i zewnętrznych krawędziach stóp. U niewielu ludzi się to spotyka. Trenujesz na bosaka, prawda?

- Spostrzegawcza jesteś, złotko. Kiwnęła głową.
- Tak.
- U większości ludzi odciski nie wywołałyby żadnych skojarzeń.

Odwróciła wzrok. Na chwilę przerwała nakrywanie stołu.
- Mój mąż chodził na treningi samoobrony. Też miał zgrubienia na rękach.

Sabin mimo woli naprężył mięśnie i zacisnął palce. Rzucił przelotne spojrzenie na szczupłe, opalone palce Rachel. Nie nosiła obrączki.

- Jesteś rozwiedziona?
- Nie. Jestem wdową.
- Przykro mi.

Skinęła głową i zaczęła nakładać jajecznicę na talerze. Zajrzała do piecyka i przełożyła gorące, rumiane grzanki do koszyka z pieczywem.

- Od dawna. Od pięciu lat - dodał cicho, po czym rzuciła energicznie: - Bierz się do jedzenia, zanim grzanki ostygną.

Od razu zorientował się, że Rachel to świetna kucharka. Jajecznica była puszysta, bekon - kruchy, grzanki - chrupiące, a kawa - nie za mocna ani nie za słaba. Domowej roboty gruszki w złocistym syropie doskonale smakowały ze słodkimi bułeczkami, a arbuzy były soczyste i słodkie. Żadnych importowanych frykasów, żadnych wymyślnych potraw - a jednak wszystko świeże, smaczne, gustownie zestawione, nawet kolory zharmonizowane. Tak jak wszystko w Rachel: skromne, proste i z klasą.

- Nie oczekuj takiego śniadania codziennie - odezwała się spokojnie, kiedy sięgał po trzecią grzankę. - Bywają ranki, kiedy jem tylko owsiankę i owoce. Chcę po prostu, żebyś nabrał sił.

Poważny ton krył zadowolenie, które Rachel czuła, widząc, że jej podopieczny pałaszuje, aż mu się uszy trzęsą.

Oderwał się od jedzenia i z uwagą spojrzął w rozjaśnione oczy Rachel. Przekomarzała się z nim, a Sabin już nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś odważył się z niego żartować. Chyba jeszcze w liceum jakaś rozchichotana koleżanka spróbowała użyć nowo odkrytej w sobie siły kobiecości do uwiedzenia chłopaka, którego nawet nauczyciele nazywali „niebezpiecznym”. Właściwie nigdy nie zrobił nic, co by uzasadniało takie określenie. Wystarczyło, że patrzył na wszystkich tymi zimnymi, przepastnymi czarnymi oczami. Rachel ośmieliła się zażartować, ponieważ była pewna siebie i to pozwalało jej traktować go jak równego sobie. Nie bała się go mimo tego, co o nim wiedziała albo się domyślała.

Wszystko w swoim czasie. Będzie ją miał. Prędzej czy później.

- I nieźle ci to idzie – odparł po dłuższej chwili.

Zastanawiała się, czy rozmyślnie zwlekał z odpowiedzią. Albo obmyślał, co powiedzieć, albo chciał swoim wahaniem zbić ją z tropu. Wszystko, co robił, planował precyzyjnie jak automat. Rachel sądziła, że to nie tylko przyzwyczajenie. Skłonna była uznać, że to raczej dogłębnie przeanalizowana taktyka.

Słowa Sabina zabrzmiały dwuznacznie, wołała jednak wziąć je za dobrą monetę.

- Jeśli schlebiasz mi po to, żebym dalej tak gotowała, nie uda ci się. Za wielki upał, żeby trzy razy dziennie jeść obfity posiłek. Jeszcze kawy?

- Poproszę. Nalała kawy.

- Jak długo zamierzasz tu zostać?

Zaczekał, aż Rachel odstawi dzbanek na płytkę ekspresu i powróci na swoje miejsce przy stole.

- Póki nie odzyskam sprawności w nodze i ręce. Chyba że chcesz się mnie pozbyć. W takim przypadku od ciebie zależy, kiedy mnie wyrzucisz.

Jasno powiedziane. Zostanie na czas rekonwalescencji. I tyle. To już postanowione.

- Myślałeś o tym, co zrobisz, gdy wyzdrowiejesz?

- Muszę się dowiedzieć, jak głęboko sięga zdrada. Jest człowiek, którego mogę wezwać w razie potrzeby, ale czekam z tym, aż wydobrzeję. Zostały mi trzy tygodnie urlopu. Przez ten czas będą wyciszać sprawę, chyba że moje ciało pojawi się gdzieś „przypadkowo”. Bez ciała muszą grać na zwłokę. Nie zrobią niczego, żeby mnie kimś zastąpić, dopóki nie uznają mnie oficjalnie za zmarłego lub zaginionego.

- A jeśli nie pojawisz się w pracy za trzy tygodnie?

- Moje akta znikną z kartoteki Kody zostaną zmienione, agenci przejdą pod inne dowództwo, a ja oficjalnie przestanę istnieć.

- Uznany za zmarłego?

- Zmarłego, uprowadzonego lub zwerbowanego przez przeciwnika.

Trzy tygodnie. W najlepszym przypadku Rachel spędzi z nim trzy tygodnie. Załedwie trzy tygodnie! Nie zamierzała zepsuć ich tylko dlatego, że sprawy nie układały się po jej myśli. Życie nauczyło ją, że „na zawsze” może oznaczać boleśnie krótki okres. Jeśli los podaruje jej tylko trzy tygodnie z Sabinem, powinna opiekować się nim i przeciwstawić mu się, jeśli zajdzie taka potrzeba, pomagać tyle, ile zdoła, cieszyć się jego towarzystwem i bliskością... a potem - pomachać na pożegnanie i popłakać do poduszki.

Ze wzrokiem wbitym w filiżankę kawy myślał nad czymś intensywnie.

- Chciałbym, żebyś wybrała się znów po zakupy -odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

- Jasne - odrzekła swobodnie. - Sama miałam spytać, czy spodnie pasują.

- Wszystko pasuje. Masz dobre oko. Nie o to mi chodzi. Chciałbym, żebyś zdobyła ostrą amunicję do pistoletu. Solidny zapas. I do strzelby też. Koszta zostaną ci zwrócone.

Zwrot kosztów to ostatnia rzecz, o którą Rachel by się martwiła, a fakt, że Sabin w ogóle o tym wspomniał, trochę ją uraził.

- Jesteś pewny, że nie powinnam kupić ze dwóch dubeltówek? Albo magnum czterdzieści cztery?

Ku jej zdziwieniu, z całą powagą potraktował jej sarkastyczną uwagę.

- Nie. Nie chcę, żeby zakup broni przez ciebie odnotowano w jakichkolwiek dokumentach.

Bardzo ją to zaskoczyło.

- To znaczy, że ktoś sprawdza tego typu informacje?

- Tak, w całej okolicy.

Rachel długo wpatrywała się w surowe rysy. Usiłowała odgadnąć, co kryje ta twarz. W końcu zadała pytanie od

dawna cisnące się jej na usta.

- Kim jesteś, że ktoś posuwa się aż do takich działań, by cię zabić?
- Woleliby złapać mnie żywego - wyznał ironicznie. -A ja muszę się postarać, żeby nigdy do tego nie doszło.
- Dlaczego ty?

Kącik ust mężczyzny uniół się lekko, co można było uznać za pozbawiony radości uśmiech.

- Bo jestem najlepszy w tym, co robię.

Nie odpowiedział na pytanie, ale przecież do perfekcji opanował sztukę udzielania odpowiedzi nie zawierających żadnych istotnych informacji. Podawał tylko takie szczegóły, które wywołały pożądaną - z jego punktu widzenia - reakcję. Nie musiał o to zabiegać. Rachel i tak uczyniłaby wszystko, aby mu pomóc.

Dopiła kawę i wstała.

- Mam coś do zrobienia. Zmywanie może poczekać. Wyjdiesz ze mną przed dom czy wolisz zostać tu i od począć?

- Potrzebuję ruchu - stwierdził, podnosząc się z krzesła.

Wyszedł za nią na podwórze. Kuśtykał powoli, z uwagą

lustrując teren. Tymczasem Rachel nakarmiła Joego i ptactwo, a potem zajęła się warzywami. Kiedy Sabin się zmęczył, usiadł na schodkach i mrużąc oczy przed słońcem, obserwował kobietę pracującą w ogrodzie.

W zachowaniu i charakterze Rachel Jones było coś, co sprawiało, że Sabin czuł się swobodny, odprężony. Prowadziła spokojne życie. Miała przytulny dom. A do tego słońce grzało tak przyjemnie... Dom, okolica i obecność Rachel - wszystko to wprost oczarowało Sabina. Nieoczekiwanie dla siebie zapragnął codziennie siadać rankiem do stołu w towarzystwie pociągającej, sympatycznej, oddanej i gospodarnej Rachel.

Kiedyś spróbował ułożyć sobie życie prywatne, ale ten zamiar się nie powiódł. Małżeństwo nie zapewniło bliskości i intymności, jakiej oczekiwał. Pożycie dawało satysfakcję, lecz po każdym zbliżeniu Sabin znów czuł się samotny, jak gdyby odgradzony od reszty świata barierą swego charakteru i okoliczności. Lubił żonę - i na tym koniec. Ona nie zdawała sobie sprawy, ile ich dzieli, może nawet w ogóle nie dostrzegała granicy między nimi. Z pewnością nie znała - albo nie chciała poznać - prawdy o pracy Sabina. Marilyn widziała w swoim mężu jednego z tysięcy urzędników administracji waszyngtońskiej. Rano wychodził do biura i wracał, zazwyczaj, dopiero nocą. Pochłaniała ją własna praktyka adwokacka. Często sama przesiadywała do późna, nie dziwiła jej więc pora powrotów męża. Była pedantyczna i obowiązkowa, toteż chłodne, pełne dystansu usposobienie Sabina jej odpowiadało. Nie czyniła najmniejszych wysiłków, aby zrozumieć całą złożoną osobowość męża, ukrytą pod powłoką oschłości.

Sabin obrócił twarz ku słońcu. Zrelaksowany organizm wręcz namacalnie zwalniał obroty. Marilyn... Ileż to lat o niej nie myślał... Widać nie odegrała istotnej roli w jego życiu. Rozwód nie wywołał w nim żadnej reakcji poza wzruszeniem ramion. Swoją drogą żona musiałaby postradać zmysły, aby zostać z nim po tym, co się stało.

Zamach na życie Sabina nie został ani starannie przemyślany, ani sprawnie przeprowadzony. Wybrali się z Marilyn na kolację. Nieczęsto zdarzało się w ich małżeńskim życiu, aby wychodzili gdzieś razem, a już na pewno nie do modnych, drogich lokali, które Marilyn uwielbiała. Po wyjściu z restauracji Sabin zauważył snajpera i natychmiast zareagował. Rzucił się na ziemię, zakrywając swoim ciałem żonę, która znajdowała się przed nim, na linii ognia. Ocalił jej życie. Kula drasnęła ją tylko w prawe ramię.

Tamtej nocy Marilyn spojrzała na męża innymi oczami i bardzo nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Widziała, jak po pościgu i krótkiej, brutalnej walce posłał nieprzytomnego napastnika na bruk. Słyszała apodyktyczny ton, jakim wydawał rozkazy ludziom, którzy wkrótce przybyli na miejsce zamachu. Jeden z nich zawiózł ją do szpitala i pilnował przez całą noc, gdy tymczasem Sabin usiłował dociec, skąd snajper wiedział, gdzie jego ofiara znajdzie się o danej porze. Trop wiódł do Marilyn, która nie miała powodu, by ukrywać ich plany na wieczór; nie miała również pojęcia o stopniu niebezpieczeństwa i tajności pracy wykonywanej przez męża.

Kiedy nazajutrz Sabin odbierał ją ze szpitala, ich małżeństwo było skończone. Na powitanie Marilyn spokojnie, acz stanowczo, zażądała rozwodu. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, co zrobił mąż, i nie zamierzała dzielić losu z człowiekiem narażającym jej życie na niebezpieczeństwo. Sabin zgodził się od razu, co nieco uraziło jej dumę. On również spędził całą noc na rozmyślaniach i doszedł do podobnego wniosku, aczkolwiek motywy, jakie nim kierowały, były inne.

Nie winił żony o rozwód. W sumie było to najrozsądniejsze rozwiązanie. Wstrząsnęły nim okoliczności zamachu. Przekonał się, jak łatwy stanowi cel, i zawdzięcza to najbliższej mu osobie, chociaż nie było w tym jej winy. Próba prowadzenia zwyczajnego życia skończyła się fiaskiem. Na przeszkodzie stanął charakter pracy i stanowisko Sabina. Zwykli agenci mogli mieć dom, rodzinę, ale nie on, którego obce służby wywiadowcze przeznaczyły do odstrzału w pierwszej kolejności. Skoro on był celem, automatycznie celem stawał się każdy, blisko z nim związany.

Dostał nauczkę. Nigdy nie zawarł bliższej znajomości z obawy, aby ów ktoś nie został wykorzystany przeciwko niemu. Wybrał takie życie jako realista i patriota, i gotów był zapłacić najwyższą cenę, aby tylko nie wciągać do gry niewinnych, zwykłych ludzi, których życia i wolności poprzysiągł strzec.

Nie kusilo go, zeby znów sie ożenić ani nawet zeby mieć stałą kochankę. Nie umawiał się z tą samą kobietą więcej niż kilka razy. Taki system zdał egzamin.

Aż spotkał Rachel. Pociągała go jak żadna! W niczym nie przypominała Marilyn, która była elegancka i sztywna. Po paru dniach, o nic nie pytając, Rachel wiedziała o nim sto razy więcej niż Marilyn po kilku latach małżeństwa.

Ale to nie mogło się udać. Nie mógł pozwolić, aby się udało. Obserwował, jak Rachel pracuje w ogródku, czerpiąc niekłamaną radość z prostych domowych zajęć. Kochaliby się długo i namiętnie, a ona nie martwiłaby się o to, że kochanek popsuje jej fryzurę lub rozmaże makijaż. Żeby jak najlepiej chronić Rachel, musiałby mieć pewność, że łączy ich tylko seks. Kiedy ją opuści - zrobi to dla jej dobra. Zbyt wiele zawdzięczał tej kobiecie, aby ją wystawić na jakiegokolwiek ryzyko.

Wstała z kucek i przeciągnęła się, unosząc wysoko ręce. Koszula opięła się na kształtnych piersiach. Zabrała koszyk i ruszyła między grządkami w stronę Sabina. Joe, wiernie jej towarzyszący, przeniósł się z ogródka do zacienionego miejsca pod schodkami. Szła uśmiechnięta. Szare oczy patrzyły szczerze, serdecznie, a smukła sylwetka poruszała się z wdziękiem. Sabin patrzył na nią i całym ciałem czuł, jak z każdym krokiem Rachel zmniejsza się odległość między nimi. Nie zamierzał swoją obecnością narażać jej ani chwili dłużej niż to konieczne. Wydawało się jednak prawdopodobne, że wiedziony pożądaniem, zapragnie znów zobaczyć Rachel. W tym kryło się największe niebezpieczeństwo. Nie mógł do tego dopuścić.

ROZDZIAŁ 8

Kilka następnych dni, gorących i spokojnych, dłużyło się niemilosiernie. Sabin szybko odzyskiwał kondycję i nie wymagał już nieustannej opieki, toteż Rachel wróciła do wcześniej zaplanowanych zajęć. Skończyła notatki do wykładów i podjęła pracę nad powieścią. Doglądała też ogródka i wykonywała mnóstwo domowych czynności, które zdawały się nie mieć końca. Kupiła naboje, o które prosił Sabin, a on trzymał pistolet 357 zawsze pod ręką. Czasem, kiedy oboje byli w domu, kładł go na stoliku w sypialni, na ogół jednak nosił go przy sobie.

Honey, która przyjechała zdjąć mu szwy, zdumiała się błyskawicznym tempem powrotu do zdrowia.

- Musisz mieć znakomitą przemianę materii - stwierdziła z podziwem. - Ja też spisałam się pierwsza klasa - dodała z dumą. - Mięsień twojego uda był w strzępach, ale zszylałam go jak najlepsza krawcowa, chyba nawet nie będziesz kulał.

- Koronkowa robota - pochwalił z uśmiechem.

- Wiem! - odparła wesoło Honey. - Z barkiem też ci się udało. Pewnie ramię będzie mniej sprawne, ale sądzę, że w niewielkim stopniu. Przez jakiś tydzień oszczędzaj jeszcze nogę i ramię, ale potem możesz zacząć lekkie ćwiczenia na rozruszanie.

Już je zaczął. Rachel widziała, że ostrożnie gimnastykuje bark i rękę, jak gdyby badał granicę wytrzymałości szwów. Nie obciążał nogi ani ramienia, lecz pracował nad płynnością ruchów, co przyniosło rezultat. Utykał nie bardziej niż ktoś, kto skręcił kostkę.

Kiedy przed ściągnięciem spodni i niebieskiej bawełnianej koszuli Sabin położył na stole broń, Honey nawet nie drgnęła powieką. Ubrany tylko w slipy, usiadł przy stole i z obojętną twarzą obserwował zdejmowanie szwów. A potem znów się ubrał i zatknął pistolet za pas.

- Zostań na obiad - zaprosiła przyjaciółkę Rachel. - Będzie sałatka z tuńczyka, świeże pomidory. Lekkie potrawy na zimno.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby Honey odrzuciła zaproszenie Rachel.

- Zgoda. Miałam właśnie wielką ochotę na świeżego pomidora.

- Na południu Stanów podaje się pomidory prawie do każdego posiłku - zauważył Sabin.

- Bo prawie każda potrawa smakuje lepiej z pomidorem - wyjaśniła Honey, która pochodziła z Georgii i uwielbiała pomidory.

- Jabłka miłości - odezwała się zamyślona Rachel. - Tak nazwano pomidory, chociaż nie wiem, dlaczego. Przecież wielu ludzi myśli, że są trujące, bo należą do tej samej rodziny psiankowatych co wilcza jagoda.

Honey zachichotała.

- Ho, ho! Naczytałaś się o starych truciznach, co? Czy któryś bohater twoich powieści wyzionął ducha z przedawkowania belladony?

- Oczywiście, że nie! Nie piszę tanich kryminałów. - Nie zmieszana żartami przyjaciółki, Rachel zerknęła na Sabina. - Nie pochodzisz z Południa, prawda? Mówisz ze śpiewnym akcentem, ale nie południowym.

- To przez to, że spędziłem mnóstwo czasu z pewnym człowiekiem z Georgii. Byliśmy razem w Wietnamie. A ja urodziłem się w Nevadzie.

Zapewne tylko tyle wolno mu było powiedzieć o sobie, więc Rachel nie zadawała więcej pytań. Sabin siedział przy stole pośrodku, pomiędzy kobietami. Rachel wiedziała, że specjalnie wybrał to miejsce, skąd mógł obserwować i okno, i drzwi. Chociaż apetyt mu dopisywał i brał żywy udział w rozmowie, zachowywał czujność. Stało się to zwyczajem przy każdym posiłku, mimo że Joe i tak ostrzegłby ich ujadaniem gdyby ktokolwiek, zwłaszcza obcy zbliżał się do domu.

Wychodząc, Honey uśmiechnęła się do Sabina i podała mu rękę.

- Chcę się pożegnać na wszelki wypadek, gdybyśmy mieli się już nie zobaczyć.

Uściskał jej dłoń.

- Dziękuję za wszystko.

Rachel zauważyła, że nie wspomniał ani słowem o zostaniu pod jej dachem.

Honey zmierzyła go baczny spojrzeniem.

- Dziesiątki pytań cisną mi się na usta, ale zgodnie z zasadą, którą głoszę, nie zadam ich. Nie chcę nic wiedzieć. Uważaj na siebie, dobrze?

Uśmiechnął się, jak to on, półgębkiem.

- Jasne.

- A gdyby cię pytali, ja o niczym nie wiem.

- Bystra z ciebie osóбка. Kiedy odejdę, Rachel wszystko ci opowie.

- Może. A może sama odpowiem na nie zadane pytania? Wymyślę szaloną, romantyczną historię, a przy tym nikt nie będzie mi groził, że za dużo wiem.

Kiedy zostali sami z Sabinem, Rachel doszła do wniosku, że postawa Honey jest godna naśladowania. Przyjaciółka lekarka potrafiła snuć romantyczne fantazje, natomiast w realnym życiu na pierwszym planie stawiała rozsądek i bezpieczeństwo. Honey nie podjęłaby ryzyka zakochania się w takim mężczyźnie jak

Kell Sabin. Rachel odwróciła się, wyczuwając na sobie jego spojrzenie. Rzeczywiście, obserwował ją swoim spokojnym, niewzruszonym wzrokiem.

- O co chodzi?

Zamiast odpowiedzieć, podszedł, ujął Rachel za podbródek, pochylił się i dotknął jej ust. Zaskoczona, początkowo znieruchomiała. Od pamiętnego pierwszego razu nigdy dotąd jej nie pocałował, aczkolwiek czasem w sposobie, w jaki przytulał ją w nocy, czuła pewną zaborczość. Nie dała poznać po sobie, jaką przyjemność sprawia jej przespanie nocy w objęciach Sabina, nie potrafiła jednak ukryć pożądania, które poczuła, gdy natarczywe usta Sabina rozchyliły jej wargi. Bezwiednie przywarła do umięśnionego torsu. Gdy zetknęły się ich języki, jęknęła z rozkoszy.

Pociągnął ją tak, że cofnęła się powoli, aż plecami oparła się o kuchenne szafki. Uwolniła usta i z trudem złapała oddech.

- Co w ciebie wstąpiło?

Musnął ustami zaokrąglenie policzka, a potem delikatną skórę pod uchem Rachel.

- To od jabłek miłości, którymi mnie karmisz – odparł półgłosem. - Nie odwracaj głowy. Pocałuj mnie.

Posłuchała. Zacisnęła palce na koszuli Sabina, a on złożył na jej ustach długi jak wieczność, odbierający świadomość pocałunek. Aby nic nie uronić z rozkoszy, stanęła na czubkach palców. Objął ją za pośladki i przycisnął do swych bioder, aby być jeszcze bliżej.

Pocałunek przełamał wszelkie bariery między nimi. Buchnął długo tłumiony ogień. Lgnęli do siebie i wciąż za mało było im tej bliskości. W innych okolicznościach nie kazaliby całymi dniami czekać żądzom na spełnienie. Ale los pomieszał kolejność zdarzeń. Rachel oglądała silne, piękne ciało Sabina, pielęgnując je. Sabin spał z nią w jednym łóżku i rozpoznawał jej zapach, zanim poznał jej imię. Od czterech nocy przed snem świadomie brał ją w ramiona. Ich ciała przywykły do siebie. Natura ominęła wszelkie przeszkody, które ludzie budują, żeby chronić swoją prywatność. Mimo wszelkich niebezpieczeństw i wyczuwalnego w powietrzu napięcia, tych dwoje samotnych ludzi instynktownie znalazło drogę do siebie.

Siła doznań przestraszyła Rachel. Po raz drugi umknęła ustami, kryjąc twarz w ciepłym zagłębieniu szyi Sabina. Musiała ochłonać, nie zaś czekać, aż straci kontrolę nad sytuacją.

- Szybki jesteś - odezwała się zdyszana, usiłując opanować drżenie głosu.

Przesunął dłonie z pośladków na kark Rachel i przygarnął ją mocno.

- Nie tak szybki, jakbym chciał - rozległ się gorący, namiętny szept tuż przy jej uchu.

Ciałem Rachel wstrząsnęły dreszcze. Sutki nabrzmiały tak, że sprawiały ból. Sabin przycisnął ją jeszcze mocniej, aż piersi przywarły do jego torsu. Przytulił policzki do czoła Rachel, lecz czuła pieśczoła nie trwała długo, nie mogła bowiem zaspokoić dojmującego pożądania. Zanurzył palce we włosach Rachel, odchylił jej głowę i znów zawładnął jej ustami. Dragą rękę włożył pod bluzkę i objął ciepłą pierś w ten sposób, aby szorstkim kciukiem pocierać stwardniałą brodawkę, kojąc ból i potęgując go zarazem.

- Chcę być wewnątrz ciebie - szepnął, patrząc na pierś, posłusznie reagującą na jego pieśczoły. - Pragnę cię i to doprowadza mnie do szaleństwa. Czy będziesz moja przez ten czas, jaki nam pozostał?

Mówił szczerze aż do bólu i Rachel z trudem powstrzymała łzy. Nawet w chwili, gdy ciało rozpalał miłosny żar, Sabin nie składał obietnic, których nie zamierzał dotrzymać. Musiał odejść, więc czekająca ich piękna przygoda niebawem się skończy. Szczerze Sabina przypomniała Rachel, że powinna myśleć o przyszłości i dniu, kiedy ukochany ją opuści.

Powoli oswobodziła się z objęć. Zrozumiał jej intencję, cofając się o krok. Drżącą dłonią odgarnęła włosy z twarzy.

- To dla mnie niełatwa sytuacja - próbowała wyjaśnić głosem nie mniej drżącym niż dłoń. - Nigdy nie miałam kochanka... tylko męża.

Patrzył z uwagą, cierpliwie. Rachel rozłożyła bezradnie ręce. Szczerze Sabina zasługiwała na szczerze z jej strony.

- Zależy mi... na tobie.

- Nie - stwierdził z celową surowością w głosie. - Nie dopuść do tego!

- Czy uczucia można wyłączyć tak jak prąd? - Śmiało spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak. Chodzi o seks, o nic więcej. Nie pozwól się otumanić myśli, że może być coś więcej, bo jeśli nawet to coś istnieje, nie ma przyszłości.

- Och wiem. - Roześmiała się i przeniosła wzrok na widok roztaczający się za oknem. - Odejdiesz stąd i to będzie koniec.

Chciała, żeby zaprzeczył, lecz wiedziała, że to niemożliwe.

- Właśnie! Tak trzeba.

Nie było sensu się spierać. Wiedziała przecież od początku, że Sabin to samotny wilk, który żyje z dala od stada.

- Dla ciebie to zwykła sprawa, ale ja nie potrafię tak panować nad emocjami. Myślę, że cię kocham. Po co mam kluczyć i kręcić? - W głosie Rachel zabrzmiała bezsilność. - Zaczęłam cię kochać w chwili, gdy wyciągnęłam cię z oceanu! To bez sensu, prawda? Po twoim odejściu uczucie nie wygaśnie.

Widział, jak Rachel ze zdenerwowania mimowolnie spina mięśnie, jak zaciska palce. Ile kosztowało ją to wy-

znanie? Nie spotkał jeszcze równie bezpośredniej, otwartej kobiety, która nie uciekała się do gier i sztuczek. Jak nigdy dotąd, żałował, że wkrótce od niej odejdzie. Myśl o rozstaniu była przykra, lecz łatwiej przychodziło ją znieść niż świadomość, że dalsze przebywanie razem zagrażałoby Rachel. Zbyt wiele zawdzięczał swojej opiekunce, by dla egoistycznej zachcianki beztrwosko narażać jej życie.

- Nie będę nalegał - powiedział półgłosem. - Musisz robić to, co dla ciebie najlepsze, ale jeśli zdecydujesz, że mnie pragniesz, będę czekał.

Decydować? Pragnęła go aż do bólu! Tymczasem on dawał jej wolną rękę, zamiast prowadzić do łóżka, czemu by się nie sprzeciwiła. Gdy chodziło o Sabina, Rachel nie wierzyła, że zdoła zapanować nad sobą. Wyciągnęła dłoń. Spletli palce, nie mówiąc ani słowa.

W tym momencie Joe wyskoczył z hałasem z cienia pod schodami i zniknął za węglem. Dłoń Sabina zeszytywniała. Błyskawicznie odwrócił głowę. Rachel znieruchomiała, lecz szybko otrząsnęła się i podeszła do drzwi frontowych. Nie musiała mówić Sabinowi, żeby się nie pokazywał. Wiedziała, że już zdążył się ukryć.

Otworzyła drzwi i wyszła na werandę, gdy nagle przypomniała sobie, że ma rozpiętą bluzkę. W okamgnieniu doprowadziła guziki do porządku, jednocześnie szukając wzrokiem przyczyny gwałtownego zachowania psa. Usłyszała samochód nadjeżdżający prywatną drogą odchodzącą od szosy. Nie mogła to być Honey, którą niedawno pożegnali, ani Rafferty, który w odwiedziny u sąsiadki (zresztą rzadkie) wybierał się konno.

Przed domem zatrzymał się bładoniebieski ford, typowe auto używane przez służby rządowe. Joe przykucnął i położył uszy po sobie.

- Spokojnie - upomniała cicho psa, usiłując dostrzec, kto siedzi za kierownicą, lecz słońce odbijające się od szyb utrudniało zadanie.

Z samochodu wysiadł wysoki mężczyzna. Nie zamknął drzwi i patrzył znad dachu na Rachel. Agent Ellis we własnej osobie, bez marynarki, w ciemnych okularach.

- Witam! - zawołała Rachel. - Miło, że znów pana widzę.

Charakterystyczny dla mieszkańców południowych stanów rytuał powitania gościa dawał czas na zebranie myśli. Po co znów się tu zjawił? Czy ktoś zobaczył Sabina, kiedy wyszedł przed dom? Zachowywali daleko posuniętą ostrożność. Ufali Joemu, że ostrzeże ich przed każdym przybyszem.

Tod Ellis posłał jej promienny uśmiech.

- Cieszę się z ponownego spotkania, pani Jones. Po myślałem sobie, że wpadnę i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

Powód, który podał, nie wydawał się zbyt przekonujący. Rachel minęła psa i podeszła do samochodu z nadzieją, że odciągnie uwagę Ellisa od domu. Sabin nie wystawiłby się raczej na widok, ale wołała nie ryzykować.

- Owszem, w porządku - zapewniła, stając przy uchylonych drzwiach auta, żeby agent musiał odwrócić głowę w jej stronę. - Gorąco, ale w porządku. Znaleźliście człowieka, którego tropiliście?

- Przepadł bez śladu. A pani coś widziała?

- W zasięgu wzroku nikt się nie pojawił. Joe zawsze daje mi znać, jeśli ktoś zbliża się do domu.

Na wspomnienie psa Ellis natychmiast się rozejrzał. Joe stał pośrodku podwórka, nie spuszczać wzroku z intruza i powarkując z cicha.

- Mieszkając samotnie, na uboczu, dobrze jest mieć psa. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Roześmiała się.

- Nie zawsze. Nawet milioner nie może być pewny, że nie porwą mu dziecka lub żony. Ale rzeczywiście z Joem czuję się bezpieczniej.

Co prawda, za ciemnymi okularami nie mogła dostrzec wyrazu oczu Ellisa, podejrzewała jednak, że agent taksuje jej nogi i piersi. Wpadła w popłoch i cudem powstrzymała się od chęci, by sprawdzić, czy prosto zapięła guziki bluzki. Jeśli nie, było na to za późno, a z drugiej strony - Ellis nie miał podstaw sądzić, że przed chwilą całowała się w domu ze ściganym człowiekiem.

Nagle Ellis wybuchnął śmiechem i zdjął okulary.

- Właściwie nie przyjechałem tu nic sprawdzać. - Rozluźniony, pewny siebie, oparł rękę na otwartych drzwiach auta. Jako przystojny, zadbany, pogodny młody mężczyzna przywykł do przychylnego traktowania przez kobiety. - Chciałem zaprosić panią na kolację. Wiem, że pani mnie nie zna, ale chyba moje miejsce pracy wystarczy za rekomendację. Co pani na to?

Nie musiała udawać zakłopotania. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Gdyby się zgodziła, umocniłaby Ellisa w przekonaniu, że nic nie wie o Sabinie, mogłoby to jednak ośmielić agenta do następnych wizyt, których sobie nie życzyła. Dlaczego agenci wciąż kręcili się w okolicy? Dlaczego nie szukali Sabina na dalszym odcinku wybrzeża?

- Cóż, sama nie wiem - odparła, lekko się jękając. - Kiedy?

- Dziś wieczór, o ile nie planuje pani nic innego.

A jeśli w jakiś sposób udało im się dostrzec Sabina? A jeżeli uknuli podstęp, żeby wywabić ją z domu i załatwić go bez świadków? Co robić? Postanowiła zdać się na instynkt. Przy pierwszym spotkaniu agent Ellis nie próbował ukryć swęgb zainteresowania, toteż Rachel zamierzała przyjąć zaproszenie za dobrą monetę. Zyskiwała

przynajmniej okazję do wyciągnięcia od niego jakichś informacji.

- Chyba się zgodzę - odpowiedziała wreszcie. - Myślał pan o konkretnym miejscu? Nie przepadam za modnymi lokalami.

- Nic pani nie grozi. Ja też nie lubię pubów z muzyką techno albo punk. Jestem zbyt wrażliwy na ból, aby prze-
kłuć sobie policzki agrafkami. Myślałem o cichej restauracji i smacznym, soczystym steku.

A po kolacji łóżko? - srodze się zawiedzie, pomyślała Rachel, a głośno powiedziała:

- Zgoda. O której?

- Powiedzmy, o ósmej. Słońce już zajdzie i mam nadzieję, że się ochłodzi.

Roześmiała się.

- Do upału nie można się przyzwyczaić. Można, co najwyżej, nauczyć się mu nie poddawać. Parne gorąco dopadnie człowieka wszędzie. Dobrze, o ósmej. Będę go towa.

Zasalutował i usiadł za kierownicą. Rachel wróciła na podwórko, aby uciec przed kurzem wzbijanym przez koła samochodu. Odprowadziła wzrokiem niebieskiego forda.

Sabin czekał w domu. Zmrużone oczy spojrzały na nią zimno.

- Czego chciał?

- Zaprosić mnie na kolację - odrzekła niespiesznie. - Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zgoda na wspólne wyjście usiłaby jego podejrzenia. Myślałam, że to pretekst do wyciągnięcia mnie z domu. Może cię widzieli? Może tylko chcą przeszukać dom?

- Nie widzieli mnie. Jeszcze żyję. Czym się wymówiłaś?

- Przyjęłam zaproszenie.

Wiedziała, że Sabin nie będzie zadowolony, nie oczekiwała jednak aż tak gwałtownej reakcji. Zaczął nerwowo kręcić głową, w oczach pojawiły się gniewne błyski.

- Do diabła, nie! Wybij to sobie z głowy, moja panno!

- Za późno. Jeśli wystąpię teraz z jakąś błahą wymówką, wzbudzę podejrzenia.

- To morderca i zdrajca. Dużo na ten temat myślałem, bo rozszyfrowałem go, zanim Wysadzili w powietrze moją łódź. Połączyłem pewne fakty dotyczące działań, które się nie powiodły, a powinny. Z każdą z tych spraw w jakimś stopniu związany jest Tod Ellis. Nigdzie z nim nie pójdziesz.

Rachel nie ugięła się.

- Owszem. Pójdę. W najgorszym razie może zdobędę informacje, które ci pomogą..

Jęknęła. Sabin chwycił ją tak raptownie, że nie zdołała się cofnąć. Mocno zacisnął palce na jej ramionach i po-
trząsnął nią. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Do diabła z tobą! - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Kiedy wreszcie zrozumiesz, że to nie zabawa dla amatorów? Bujasz w obłokach i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy! Naczytałaś się powieści sensacyjnych, złotko. Puknij się w głowę i opamiętaj się, do cholery! Do tej pory miałaś szczęście, że nie popełniłaś gafy i jakoś nad wszystkim panowałaś, ale nie oczekuj, że szczęście będzie ci sprzyjać wiecznie. Zadajesz się z zawodowcem!

Rachel cofnęła się o krok i potarła dłonią obolały bark. Atak Sabina odebrała z zadziwiającym spokojem, co znalazło odbicie na jej twarzy.

- O kim mówisz? - spytała cicho. - O Ellisie czy... o sobie?

Odwróciła się, poszła do łazienki i zamknęła drzwi. Ukryła się w jedynym miejscu w domu, do którego Sabin by nie wszedł. Dygocąc, usiadła na brzegu wanny. Zastanawiała się czasem, jak zachowałby się Sabin, gdyby stracił nad sobą kontrolę, lecz nie przewidywała, że będzie to wyglądało tak jak przed chwilą. Pragnęła, aby zapomniał się, kiedy ją całował, gdy jej dotykał. Aby drżąc z podniecenia, przytulił twarz do jej piersi. Nie chciała widzieć go w złości. Straszliwie bała się, że uczyni coś, czym narazi go na niebezpieczeństwo; każda podjęta decyzja zamienia-
ła ją w kłębek nerwów, tymczasem zdaniem Sabina była tylko dokuczliwą amatorką. Oczywiście, że nie dyspono-
wała jego wiedzą i doświadczeniem, ale robiła co w jej mocy!

Wzięła głęboki oddech. Musiała dojść do siebie. Skoro była już w łazience, mogła od razu wejść pod prysznic, wykapać się, umyć włosy i dać im wyschnąć. Potem podkreśliłaby je trochę elektryczną lokówką - i gotowe. Wy-
bierała się na randkę z Ellisem z równym entuzjazmem jak na pogrzeb, lecz agent nie powinien się niczego domyślić.

Rozebrała się, błyskawicznie rozprowadziła szampon na włosach i namydliła ciało. Nie zamierzała długo stać w strumieniach wody, chociaż to uwielbiała. Użalenie się nad sobą pod prysznicem uznała za stratę czasu, który wolała spędzić na rozważaniach, jak zachować się na randce, aby okazać Ellisowi życzliwość, a zarazem zniechęcić do następnych spotkań. Jeszcze tego jej brakowało! Jednak na wypadek, gdyby wystąpił z zaproszeniem, musiała obmyślić stosowną wymówkę. Wspominała agentowi Lo-wellowi o wyprawie na wyspy. Wyssała to z palca, ale mogło posłużyć za usprawiedliwienie (pakowanie, załatwianie i tak dalej).

Zakręciła wodę i owiązała głowę ręcznikiem. Kiedy zamierzała odsunąć drzwi kabiny prysznicowej, spostrzegła przez matową szybę Sabina i odskoczyła jak oparzona.

- Wynos się stąd - zażądała, zdejmując ręcznik z głowy i owijając nim ciało.

Matowa szyba stanowiła pewne zabezpieczenie, ale skoro ona widziała Sabina, on widział ją równie wyraźnie.

Obserwował, jak się kąpała. Siły ją opuściły. Od jak dawna tam stał?

Wyciągnął rękę i odsunął drzwi kabiny. Rachel przywarła plecami do ściany.

- Nie odpowiedziałaś, kiedy cię wołałem – odparł krótko. - Chciałem się upewnić, czy wszystko z tobą w porządku.

Dumnie uniosła głowę.

- To nie powód, żebyś wchodził. Wystarczyło zobaczyć, że biorę prysznic.

Powiódł wzrokiem po zmierzwionych włosach, odsłoniętych ramionach, aż do szczupłych bosych nóg, z których spływały strużki wody. Ręcznik osłaniał ją od piersi po uda, ale wystarczyłoby jedno pociągnięcie, aby obnażyć całe ciało. Przenikliwe spojrzenie Sabina sprawiło, że Rachel czuła się bardziej naga, niż była w rzeczywistości.

- Przepraszam - burknął, przenosząc w końcu wzrok na jej twarz. - Zamierzałem tylko sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy.

- Niczego nie zamierzałem - odparła surowo. - Po prostu wszedłem i oznajmiłem swój zamiar.

Czuła się urażona i zraniona. Nie była w nastroju do przebaczenia. Po tym co powiedział, miał czelność nachodzić ją w łazience!

Nagle objął ją prawym ramieniem w pasie i wyniósł spod prysznica. Uczepiła się go kurczowo, tracąc równowagę.

- Uwważaj! Twój bark!

Z twarzą chmurną, nieprzeniknioną, postawił ją na włóchatej macie łazienkowej, ale nie zwolnił uścisku.

- Nie chcę, żebyś się z nim spotkała - oświadczył stanowczym tonem. - Do diabła! Rachel, nie chcę, żebyś dla mnie ryzykowała!

Ręcznik zsuwał się, więc mocniej związała końce.

- Uważasz, że nie jestem wystarczająco dorosła i odpowiedzialna?! - wykrzyknęła. - Mówisz, że Tod Ellis to zdrajca, i wierzę ci. Sądziś, że nie mam moralnego obowiązku uczynić wszystkiego, aby powstrzymać jego, a pomóc tobie? Sytuacja jest krytyczna i trzeba zaryzykować! To moja decyzja, nie twoja!

- Nie powinnaś się w to angażować.

- Dlaczego? Powiedziałeś, że sam nie dasz rady. Posyłałeś innych ludzi na niebezpieczne akcje, prawda?

- To wyszkoleni agenci - rozjuszyl się. -I, do cholery, nigdy nie marzyłem, żeby się z nimi kochać!

Znieruchomiała, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w Sabina. Jego twarz wyrażała wściekłość, a zarazem zdziwienie i zakłopotanie, jak gdyby nie chciał wypowiedzieć tych słów. Mocniej objął Rachel w pasie i przyciągnął ją, tak że czubkami palców ledwie dotykała maty leżącej na podłodze łazienki.

Milczeli, oboje świadomi tego, co się dzieje.

- Zabiję go, jeśli ośmieli się ciebie dotknąć – rzucił z pasją przez zaciśnięte zęby.

Na samą myśl o tym zadrzała z obrzydzenia.

- Nigdy bym do tego nie dopuściła!

- W kuchni pozwoliłem ci się wycofać. Na Boga, chyba po raz drugi nie zdołam tego uczynić. Nie teraz - stwierdził ochryple.

Rachel wstrząsnął dreszcz. Oto reakcja na zamiary, które Sabin miał wypisane na twarzy, pomyślała. Zdarł z niej ręcznik, odsłaniając ciało. Rachel stała w objęciach Sabina naga, drżąca, przepełniona pożądaniem i tęsknotą i spragniona spełnienia.

Popatrzył na nią i wydał z głębi piersi okrzyk podziwu. Rachel, ze ściśniętym gardłem i sercem bijącym jak młotem, zachwiała się. Sabin dotknął jej piersi, jędrnych, krągłych, delikatnych, o małych, sprężystych, brązowych sutkach. Wziął je w dłonie, odkrywając na nowo aksamitną miękkość skóry. Potem powoli przesunął rękę w dół, poprzez gładki, płaski brzuch i wzniesienie łona ku ciemnej gęstwinie włosów kryjących istotę kobiecości. Rachel dygotała, niezdolna się poruszyć, spragniona rozkoszy. Gdy nadeszła, okazała się dojmująca, wszechogarniająca.

Po chwili Sabin dźwignął Rachel i przerzucił sobie przez prawy bark. W uszach krew szumiała mu tak mocno, że nie słyszał okrzyku przerażenia.

W kilku susach dotarł do łóżka i złożył na nim swój ciężar. Rachel wyciągnęła chciwie ręce, spragniona bliskości. Zdarł koszulę i cisnął na podłogę, błyskawicznie ściągnął spodnie i przywarł do Rachel. Kiedy w nią wchodził, wygięła plecy w łuk i krzyknęła. Był wspaniały!

- Weź wszystko - błagał. Zawisł nad nią, z twarzą lśniąca od potu, wyrażającą jednocześnie mękę i ekstazę. - Weź mnie całego. Proszę! - Głos zachrypl mu z pożądania. - Odpręż się. Tak! Właśnie tak! Jeszcze! Proszę. Rachel! Jesteś moja, jesteś moja, tylko moja...

Sabin to zagłębiał się, to wysuwał, a ona krzyczała i poruszała się tym samym rytmem co zdobywcy kochanek. Nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Nie wiedziała, że można kochać się w ten sposób, aż w płucach uwięźnie powietrze, a serce niemal stanie w piersiach. Pragnęła oddać się cała, dobrowolnie, żarliwie, znacząc jego pamięć rozpalonym piętnem miłości.

Przycisnął biodra Rachel całym swym ciężarem, wchodząc w nią aż do końca. Więcej nie zdołałaby znieść.

Dyszała, krzyczała, wiła się niesiona przez wzbierającą falę rozkoszy, póki i on osiągnął szczyt. Czowała konwulsje targające jego ciałem, bezwładnie osuwającym się w jej ramiona. Z rękami kurczowo zaciśniętymi na plecach Sabina, Rachel przytuliła go z całych sił i zapadła w nicość.

Kiedy wróciła do rzeczywistości, ogarnął ją niepokój. Przypomniała sobie, jak przerzucił ją sobie przez bark, a potem, w miłosnej ekstazie, całkowicie się zapamiętał. Głowa Sabina spoczywała na jej ramieniu. Zanurzyła palce w ciemną czuprynę. Odpowiedział mruknięciem.

- Kell? Jak twoje ramię? W porządku?

Oparł się na prawym łokciu i spojrzał prosto w szczere, szare oczy pociemniałe od troski, od troski o mężczyznę, który posiadał ją z subtelnością buhaja! Nie pocałował delikatnych, drżących ust, nie popieścił też pięknych piersi ani nie possał twardych sutków, jak to czynił w marzeniach. Oczy Rachel wyrażały miłość, czystą i promienną. Nigdy przedtem Sabin nie był tak bezbronny wobec uczuć.

Wiedział już, co to piekło. Piekło znaczyło zobaczyć niebo i nie móc przekroczyć jego bram, nie tracąc tego, co dotychczas uważało się za swój największy skarb: samotności.

ROZDZIAŁ 9

Co to za kobieta, na której punkcie zbzikował Ellis? - spytał spokojnie Charles.

Patrząc na Lowella, ani razu nie zmrużył bładoniebieskich oczu. Jak zwykle okazywał rozmówcy pozorną obojętność, lecz Lowell wiedział doskonale, że nic się przed nim nie ukryje.

- Mieszka w domku koło plaży. Okolica pusta w promieniu paru kilometrów. Przesłuchaliśmy ją, kiedy zaczęliśmy poszukiwania Sabina.

- I co? - Głos Charlesa brzmiał niemal delikatnie.

- I nic. Nic nie widziała.

- To pewnie nieprzeciętna babka, skoro zwróciła uwagę Ellisa.

Lowell zastanawiał się dobrą minutę, zanim pokręcił przecząco głową.

- Ładna buzia, ale to wszystko. Nic wystrzałowego. Ani makijażu, ani modnych ciuchów. Wiejski typ. Ellis gada jednak o niej bez przerwy.

- Wygląda na to, że zapomina o pracy - stwierdził Charles.

- Myśli, że Sabin zginął wtedy, gdy eksploatowała łódź, więc nie przykłada się do polowania na naszego ptaszka.

- A co ty sądzisz?

- To możliwe. Nie znaleźliśmy ani śladu. Był ranny. Nawet gdyby cudem dotarł do brzegu, potrzebowałby pomocy.

Charles kiwnął głową i, zamyślony, machnięciem ręki odprawił Lowella. Pracował z nim od wielu lat i znał go jako zrównoważonego, kompetentnego, acz pozbawionego polotu agenta. Musiał znać swój fach, żeby przeżyć. Lowell, tak jak Ellis, był przekonany, że Sabin zginął. Zdrowy rozsądek nakazywał przyjąć, że Sabin zginął wskutek wybuchu lub bezpośrednio po nim, tonąc w oceanie. Nikt nie przeżyłby takiej eksplozji, ale Sabin... Był jedyny w swoim rodzaju, niczym pozbawiony materialnej powłoki cień, w dodatku obdarzony niezwykłym instynktem i cieszący się przychylnością losu. Tu Charles musiał poczynić pewną poprawkę: właściwie bardziej sprzyjały mu własne umiejętności niż los. Nazwać Sabina „szczęściarzem”, znaczyło nie docenić go. Zbyt wielu jego kolegów popełniło ów fatalny błąd.

- Noelle, chodź tu - zawołał.

Nie musiał zbyt podnosić głosu, bowiem Noelle zawsze znajdowała się w pobliżu. Patrzył na nią z przyjemnością, nie tylko ze względu na jej urodę, lecz przede wszystkim dlatego, iż stanowiła isticie niezemskie połączenie kobiecego wdzięku i profesjonalizmu zabójcy. Miała podwójne zadanie: chronić Charlesa i zabić Sabina.

Noelle weszła do pokoju z gracją modelki.

- Słucham?

Gestem szczupłej, wypielęgowanej dłoni wskazał krzesło.

- Usiądź, proszę. Rozmawiałem z Lowellem o Sabinie.

Założyła nogę na nogę, aby lepiej wyeksponować zgrabne łydki i uda. W naturalny sposób stosowała gesty, które przyciągały niczego nie podejrzewających mężczyzn. Praktykowała je od tak dawna, że weszły jej w krew. Uśmiechnęła się.

- Aha, agent Lowell. Solidny, godny zaufania, tyle że trochę krótkowzroczny.

- Podobnie jak Ellis, uważa, że szukając Sabina, marnujemy czas.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła smugę dymu z kształtnych ust.

- To nieważne, co oni sądzą, prawda? Liczy się, co ty sądzisz.

- Zastanawiam się, czy przypadkiem nie przypisuję Sabinowi nadludzkich właściwości, skoro tak wzbraniam się przed uznaniem go za zmarłego.

- Dopóki nie zdobędziemy dowodu jego śmierci, nie stać nas na uznanie tego za pewnik. Minęło osiem dni. Jeśli jakoś przeżył, wydobrał już na tyle, by zacząć działać. A to zwiększa naszą szansę na odnalezienie go. Najbardziej racjonalnym posunięciem będzie więc wzmożenie poszukiwań, nie zaś ich zaniechanie.

Tak, to naprawdę logiczne rozwiązanie, jednak jeśli Sabin przeżył wybuch i jakoś dotarł do brzegu (co wydawało się niemożliwe), dlaczego nie skontaktował się z dowództwem, prosząc o pomoc? Zaufany człowiek w Waszyngtonie był absolutnie pewien, że Sabin nie próbował z nikim nawiązać kontaktu. Ten prosty fakt przekonał prawie wszystkich, że Sabin nie żyje. Charles nie czuł się przekonany. Instynkt kazał mu nie przerywać poszukiwań, czekać i szykować się do ataku. Nie potrafił uwierzyć, że zabito Sabina z taką łatwością, po tylu latach bezowocnych prób. Nie sposób było przecenić umiejętności i przebiegłość tego człowieka. On się gdzieś czał. Charles to wyczuwał.

Wstąpiła w niego nowa energia.

- Oczywiście masz rację - powiedział do Noelle. - Wzmożemy poszukiwania. Przeczyszemy każdą piędź ziemi. Musieliśmy go przeoczyć.

Sabin z marsową miną snuł się po domu. Przeżył w życiu bardzo ciężkie chwile, ale jeszcze nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Musiał patrzeć, jak kobieta, z którą połączyły go bliskie więzi, przygotowuje się do randki z innym mężczyzną. Buntował się przeciw decyzji Rachel, lecz ona nie zamierzała odstąpić od swoich

planów. Czuł się bezradny. Gdyby był zdrow, sprawny, wolałby po prostu odejść, niż wystawiać Rachel na zakusy Ellisa, ale tkwił między młotem a kowadłem. Nie był gotów do akcji, a podjęcie przedwczesnych działań przyniosłoby wątpliwy sukces, bowiem miałyby konsekwencje dla bezpieczeństwa państwa. Przez wiele lat wbijano Sabinowi do głowy, żeby przedkładać interes państwa nad własne życie. Poświęciłby się bez wahania, a nawet bez żalu, lecz prosta, okrutna prawda brzmiała: nie potrafił poświęcić Rachel.

Musiał zrobić wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Ze strony Ellisa nie groziło jej nic dopóty, dopóki nie da agentowi powodów do podejrzeń. Zabranie Rachel z domu przed przybyciem Ellisa (Sabin z całego serca pragnął tak właśnie postąpić) natychmiast wzbudziłoby podejrzania. Sabin znał Toda i wiedział, że jest dobrym fachowcem... świetnym Fachowcem, gdyż w przeciwnym razie nie zdołałby tak długo ukrywać swojej podwójnej gry. Ellis miał również wybujałe poczucie godności osobistej i gdyby Rachel go uraziła, wpadłby we wściekłość i nie puścił tego płazem. Wróciłby wziąć rewanż.

Cierpliwość - umiejętność czekania nawet w sytuacjach naglących do natychmiastowych działań - należała do największych zalet Sabina. Wiedział, jak trzeba czekać, aby wybrać chwilę największej szansy na sukces; jak nie poddać się psychicznej presji niebezpieczeństwa i skoncentrować na utrafieniu we właściwy moment. Czekając, mógł dosłownie wtopić się w tło, stać się częścią otoczenia do tego stopnia, że żołnierze Wietkongu nie dostrzegali go, choć niemal ocierali się o niego w dżungli. Umiał czekać, a jednocześnie posiadał instynkt mówiący mu, kiedy cierpliwość jest bezużyteczna. Wtedy ruszał do akcji. Nazywał to (na własne potrzeby) dobrze rozwiniętym zmysłem określania czasu. Tak, wiedział, jak należy czekać... Czekanie na powrót Rachel doprowadzało go do szaleństwa. Pragnął znów mieć ją bezpieczną w swych objęciach, w łóżku, zwłaszcza w łóżku!

Nie zapalił ani jednej lampy. Nie uważał za prawdopodobne, żeby dom pozostawał pod obserwacją, lecz wolał nie ryzykować. Rachel i Ellis mogli wrócić wcześniej, a oświetlone wnętrza wzbudziłyby podejrzania Ellisa. Krążył więc w milczeniu po ciemnych pomieszczeniach. Mimo bólu, jaki odczuwał w barku i nodze, nie mógł usiedzieć w miejscu. Popołudniowe igraszki dały się rannemu ramieniu we znaki. Sabin masował je machinalnie. Ponury uśmiech wykrzywił mu usta. Kiedy kochał się z Rachel, zapomniał o całym świecie.

Nagle zaklął i wzbudzony pokuśtykał przez kuchnię ku drzwiom wyjściowym. Nie zniósłby dłużej zamknięcia w ciasnej przestrzeni domu. Otworzył drzwi i od razu wyczuł, że Joe opuścił legowisko pod krzewem oleandra i bezszelestnie przemknął przez mrok podwórza. Sabin cicho zawołał psa, aby uprzedzić go, że wychodzi. Nie bał się już ataku Joego. Zwierzę z rezerwą zaakceptowało jego obecność, lecz Sabin nie ufał mu na tyle, by zejść ze schodów bez zaanonsowania się czujnemu psu.

Bezwiednie trzymając się zaciemionych stref podwórza, okrążył dom i zajrzał do sosnowego zagajnika. Upewnił się, że nikt nie obserwuje okolicy. Joe dreptał za nim w odległości trzech metrów, przystając, kiedy i on przystawał.

Właśnie na horyzoncie, niczym świetlisty sierp, wzeszedł księżyc w nowiu. Sabin wznosił wzrok ku jasnemu niebu, przejrzytemu jak oczy Rachel. Wydawało się bliskie, jak na wyciągnięcie ręki.

Poczuł ukłucie w sercu i zacisnął pięści. Rzucił przekleństwo w ciemność. Odwaga i siła charakteru Rachel działały na jej niekorzyść. Czemu nie wycofała się bezpiecznie z tej gry i nie pozwoliła, by to on, Kell Sabin, wytrawny agent, wziął na siebie całe ryzyko? Czyżby nie zdawała sobie sprawy, jak gwałtownie zareagowałby w sytuacji, gdyby coś jej się stało?

A skąd miała wiedzieć? Przecież nie mówił o tym i nie zamierzał - dla jej dobra i bezpieczeństwa. Grymas ironii wykrzywił mu usta. I tak czekała go niechybna zguba... w sferze emocji, tam, gdzie przed Rachel nikt nie dotarł. Dopiero ona poruszyła najczulsze struny w jego duszy.

Oczywiście istniała możliwość, że nie wyjdzie z tej opresji żywy, ale nie brał tego pod uwagę. Kilka ostatnich dni spędził na rozważaniu różnych wariantów rozwoju sytuacji. Opracował plan. A teraz czekał. Cekał, aż wylize się z ran i nabierze sił; aż Ellis i jego kumple popełnią choćby najmniejszy błąd; aż instynkt powie mu, że już pora. A wtedy zadzwoni do Sullivana i wprowadzi plan w życie. Wolał mieć po swojej stronie jednego Sullivana niż dziesięciu innych. Nikt nie będzie się spodziewał, że ci dwaj znów pracują razem.

Jedynym źródłem niepewności była Rachel. Wiedział, co musi zrobić, aby ją ochronić, lecz po raz pierwszy w życiu ogarnęły go sprzeczne uczucia. Odejść - to jedno, żyć bez niej - to coś zupełnie innego.

Stał samotnie pod rozgwieżdżonym niebem i przeklinał cechy, które wyróżniały go spośród innych mężczyzn: niezwykłą bystrość i przebiegłość, sokoli wzrok, teżyzną fizyczną, wspaniałą koordynację ciała i umysłu. Dzięki tym warunkom stał się tropicielem i wojownikiem. Dodajmy do tego powściągliwość uczuciową - a otrzymamy idealnego kandydata do pracy, którą wykonywał: pozbawionego emocji, nie popełniającego błędów żołnierza o pozornie bezbarwnej osobowości. Nie pamiętał siebie jako innego człowieka. Nie należał do hałaśliwych, roześmianych dzieciaków. Zawsze milczał, trzymał się na uboczu i zachowywał dystans nawet wobec rodziców. Stanowił typ samotnika i nigdy nie pragnął być inny. Może poznał, jeszcze jako dziecko, jakim bólem płaci się za miłość.

I tyle. Trzymanie na wodzy emocji, dystans w stosunku do innych, to był jego sposób na przetrwanie i przeżycie w sytuacji, w jakiej postawił go los. Otoczył się murem, który za sprawą Rachel legł w gruzach. To

niepokoiło i dawało do myślenia.

Rachel siedziała naprzeciwko Toda Ellisa. Udawała, że z apetytem zajada owoce morza, lecz za każdym razem, gdy Tod rączył ją uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów, czuła dreszcz na plecach. Wiedziała, co skrywa ten uśmiech. Wiedziała, że Ellis próbował zabić Sabina. Był kłamcą, mordercą i zdrajcą. Rachel musiała zachować daleko posuniętą czujność, by udawać, że świetnie się bawi, gdy tymczasem wolałaby leżeć w objęciach Sabina, oszołomiona miłosnymi doznaniem. Zapomniała już, jak to jest... a może nigdy czegoś podobnego nie doświadczyła? Małżeństwo z B.B. dawało ciepło, radość i poczucie bezpieczeństwa. Dopiero Sabin wyzwolił w niej prawdziwą namiętność, każdy dotyk, najdrobniejsza pieśczoła stawiała ją w stan pogotowia. Chmurny Sabin nie miał łatwego charakteru. Był surowy, skupiony, dominujący. Nie słyszała, by kiedykolwiek się roześmiał, a gdy, rzadko, na jego ustach zawitał uśmiech, nie znajdował odbicia w wyrazie oczu. Ale kiedy brał Rachel w ramiona, czynił to z tak szaleńczą zachłannością, że natychmiast odpowiadała tym samym.

Z Sabinem niełatwo było dojść do porozumienia, tak jak niełatwo kochać go, lecz Rachel nie trwoniła czasu na złorzeczenie losowi. Kochała Sabina i akceptowała go bezwarunkowo. Lekko mrużąc oczy, zerknęła na Toda Ellisa. Sabina, niczym lwa, otaczały szakale, a ona siedziała właśnie przy jednym z nich.

Odłożyła widelec i uśmiechnęła się promiennie.

- Jak długo jeszcze zabawisz w naszej okolicy? Zostałeś tu przypisany na stałe?
- Nie. Sporo podróżuję - odpowiedział z olśniewającym uśmiechem. - Nigdy nie wiem, gdzie mnie skierują.
- To jakaś misja specjalna?
- Raczej szukanie igły w stogu siana. Marnujemy czas. No, ale gdybyśmy nie przeszukiwali plaży, nie poznałbym ciebie.

Ellis uwierzył chyba, że jest współczesnym Don Juanem i większość kobiet postrzega go jako atrakcyjnego, czarującego mężczyznę. Rachel nie należała jednak do tej większości.

- Z pewnością przygodne randki to twoja specjalność - stwierdziła bez ogródek.

Położył rękę na jej dłoni.

- Może tej randki nie uważam za przygodną?

Uśmiechnęła się i cofnęła dłoń, sięgając po kieliszek z winem.

- Nie rozumiem, jak możesz uważać to spotkanie za coś poważniejszego, skoro w każdej chwili mogą cię prze nieść na drugi koniec kraju. A nawet jeśli do tego nie dojdzie, ja i tak wkrótce wyjeżdżam na urlop i nie wrócę przed końcem wakacji.

To mu się nie spodobało. Uraziła jego ego. Wolala wyjechać, niż towarzyszyć mu przez resztę pobytu na Florydzie!

- Dokąd się wybierasz?

- Na Wyspy Keys w Zatoce Meksykańskiej. Zatrzymam się w zaprzyjaźnionym domu i porobię notatki na temat przyrody, mieszkańców... Zamierzam wrócić z początkiem semestru jesiennego uczelni w Gainesville, gdzie wykładam na studiach wieczorowych.

Każdy zapytałby teraz, jaki przedmiot wyklada Rachel. Każdy, ale nie Ellis.

- Zatrzymasz się u przyjaciela czy przyjaciółki? - spytał zaszępiiony.

Przez chwilę korciło ją, aby posłać go do wszystkich diabłów, ale nie planowała przecież zrażać Ellisa, przeciwnie. Chciała wyciągnąć z niego jakieś informacje. Tak więc karcącym spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że posunął się za daleko i udzieliła spokojnej odpowiedzi.

- U przyjaciółki ze studiów.

Tod nie był głupi. Zarozumiały, bezczelny - owszem, ale nie głupi. Kwaśna mina miała zapewne oznaczać czarujące przeprosiny, ale na Rachel nie zrobiła wrażenia.

- Wybacz. Zagalopowałem się, prawda? Po prostu odkąd cię ujrzałem... Zafascynowałaś mnie i chciałbym cię lepiej poznać.

- Nie widzę sensu - odrzekła krótko. - I tak byś wyjechał, nawet gdybym nie planowała urlopu.

Odruchowo chciał chyba zaprzeczyć, ale przecież przed chwilą sam wyznał, że dużo podróżuje.

- Pokręcimy się tu jeszcze parę tygodni - powiedział nadąsany.

- Kończąc waszą misję?

- Tak. Wiesz, jak to jest. Papierkowa robota.

- Jesteś tu tylko z agentem Lowellem?

Zawahał się. Zazwyczaj nie rozmawiał o swojej pracy.

- W śledztwie uczestniczy aktywnie dziewięciu agentów - odezwał się wreszcie. - Wybrano nas specjalnie do tego zadania.

Wybrano ludzi pozbawionych skrupułów! Udawany podziw w szeroko otwartych oczach Rachel mile polechtał ego Ellisa.

- To na pewno poważna sprawa, skoro tylu ludzi nad nią pracuje?

- Jak powiedziałem, w bezpośrednich działaniach uczestniczy dziewięć osób. W razie konieczności w odwodzie czeka około dwudziestu innych.

Nie ukrywała wrażeń, jakie zrobiła na niej ta informacja.

- Sądzisz, że zabłądziście w ślepią uliczkę?

- Nic nie znaleźliśmy, ale szefa to nie zadowala. Wiesz, jak to jest. Ci, co siedzą za biurkiem, uważają się za mądrzejszych od tych, co pracują w terenie.

Wyraziła współczucie, a nawet zrewanżowała się anegdotami z własnego życiorysu, kierując rozmowę na inne tory niż misja Ellisa. Gdyby sondowała go zbyt natrączywie, wzbudziłaby podejrzenia. Rozmawiając z Todem, czuła się nieswojo. Z całego serca pragnęła uwolnić się od jego towarzystwa. Świadomość, iż Ellis będzie próbował ją pocałować, a może nawet zaciągnąć do łóżka, napawała ją odrazą i zgrozą. Nie zniosłaby, choćby przelotnego, dotyku jego ust. Była kobietą Kella Sabina, a fakt ten nie miał nic wspólnego z jej wolą czy determinacją. Była kobietą Sabina - i koniec.

Przez następną godzinę zmuszała się do prowadzenia niezobowiązującej pogawędki, do uśmiechów w odpowiednich momentach. Tylko myśl o zdobyciu jakichkolwiek informacji użytecznych dla Sabina sprawiała, że Rachel wciąż tkwiła przy restauracyjnym stoliku. Kiedy kelner sprzątnął talerze i przyszedł czas na kawę, podjęła kolejną próbę.

- Gdzie się zatrzymaliście? Nasz region nie nastawia się na turystykę. Trudno tu o pokój w motelu.

- Rozproszyliśmy się po wybrzeżu - wyjaśnił. - Dzielę pokój z Lowellem w tym podłym motelu Harrana.

- Wiem gdzie - skinęła głową.

- Odkąd tu przyjechaliśmy, stołujemy się w barach szybkiej obsługi. Co za ulga zjeść wreszcie porządny posiłek.

- Wyobrażam sobie.

Odsunęła filiżankę i rozejrzała się po restauracji z nadzieją, że Ellis zrozumie to jako sygnał do wyjścia. Informacje, które zebrała, powinny wystarczyć. Nie była w stanie dłużej siedzieć i udawać, że miło spędza czas. Pragnęła wrócić do domu, zamknąć drzwi na klucz i raz na zawsze wyrzucić Ellisa i jego koleżków ze swego życia. W domu czekał na nią Sabin. Chciała jak najszybciej znaleźć się przy nim, chociaż nie wiedziała, w jakim zastanie go nastroju. Kiedy wychodziła, milczał i ledwo panował nad wściekłością. Chciał zapewnić jej bezpieczeństwo i całe ryzyko wziąć na siebie, lecz Rachel nie mogłaby spojrzeć sobie w oczy, gdyby siedziała z założonymi rękami, podczas gdy ukochanemu groziło niebezpieczeństwo. Przywykł do tego, że wydawane przez niego rozkazy były wykonywane, nic więc dziwnego, że nieposłuszeństwo Rachel rozdrażniało go.

Ellis najwyraźniej nie zamierzał wychodzić z lokalu tak wcześnie. Rachel przypuszczała, że na resztę wieczoru zaplanował miłe tete-a-tete. Spotka go rozczarowanie.

W drodze do domu mówiła niewiele. Po pierwsze - obawiała się, że popadnie w zbyt dużą zażyłość z Ellisem, po drugie - jej myśli, cały wieczór krążące wokół Sabina, teraz skupiły się wyłącznie na nim. Był niezwykle trudnym do rozszyfrowania mężczyzną. Rachel reagowała na najdrobniejsze zmiany w wyrazie jego twarzy. To, czego większość ludzi by nie zauważyła, dla niej stawało się istotne. Dlaczego patrzył tak na nią przez chwilę, a potem schował się w swojej skorupie jak ślimak? Dlaczego po szalonym akcie miłosnego oddania, tak boleśnie została odepchnięta?

Ellis skręcił z szosy na prywatną drogę wiodącą do jej domu i po paru minutach zaparkował na podjeździe.

W żadnym oknie nie paliło się światło, ale Rachel spodziewała się, że tak właśnie będzie. Sabin nie obwieściłby przecież światu o swoim istnieniu włączeniem lamp.

Wysiedli z samochodu. Wtedy rozległo się warczenie psa. Kochany, dobry Joe nie zawiódł!

Ellis wzdrygnął się. W jaskrawym świetle reflektorów widać było jego wystraszoną minę. Znieruchomiał.

- Gdzie on jest? - spytał półgłosem.

Rachel rozejrzała się, lecz nie dostrzegła psa. Miał ubarwienie typowe dla owczarka niemieckiego, co sprawiało, że trudno go było zobaczyć w ciemności. Warkot słychać było z lewej strony, w pobliżu Ellisa.

Rachel natychmiast postanowiła skorzystać z okazji.

- Posłuchaj. Stój tutaj, a ja tymczasem wejdę na podwórze. Psa masz za plecami. Nie podchodź do niego. Kiedy się oddalę, wsiądź do samochodu od strony pasażera, a pies prawdopodobnie da ci spokój.

- To zły pies! Powinnaś go trzymać na łańcuchu - rzucił wzburzony Ellis, lecz dokładnie zastosował się do poleceń.

- Przepraszam. - Rachel miała nadzieję, że nie zabrzmi to nieszczerze. - Nie pomyślałam o psie. To jednak wspaniały stróż. Jeszcze nigdy nie wpuścił obcego na podwórze.

Joe pokazał się wreszcie. Powarkując, ulokował się między swoją panią a intruzem.

Rachel chciało się śmiać. Teraz nie mogło być mowy nawet o niewinnym pocałunku na dobranoc. Mina Ellisa mówiła, że nie pragnie on nic innego, niż znaleźć się jak najdalej od czujnego zwierzęcia. Zatrzasnął drzwi auta i uchylił szybę.

- Zadzwoń, dobrze?

Powstrzymała się przez wrzaśnięciem: „Nie!”.

- Będę zajęta przygotowaniami do urlopu. Muszę skończyć pewną pracę przed wyjazdem. Naprawdę nie będę miała teraz czasu.

Kiedy Ellis znów poczuł się bezpieczny, wróciła mu pewność siebie.

- Ale musisz coś jeść, prawda? Zadzwoń i wybierzemy się do jakiegoś baru.

Rachel rzeczywiście czekało wiele zajęć, ale przecież miała w domu telefon. Nie chciała, aby Tod pojawiał się bez uprzedzenia, to jednak, ze względu na obecność Joego, nie wydawało się prawdopodobne.

Odprowadziła wzrokiem reflektory odjeżdżającego samochodu.

- Dobry piesek - pochwaliła Joego i ruszyła do domu.

Zastanawiała się, dlaczego Sabin nie włączył jeszcze światła. Właśnie miała postawić stopę na pierwszym schodku, gdy nagle silna męska ręka objęła ją w pasie i pociągnęła w tył.

- Dobrze się bawiłaś? - szepnął wprost do ucha gniewny głos.

- Kell!

- Dotykał cię? Całował?

- Wiesz, że nie - odparła spokojnie. - Przecież nas obserwowałaś.

- A przedtem?

- Nic z tych rzeczy. Nawet do głowy by mi nie przyszło.

Ciałem Sabina wstrząsnął dreszcz. Niezwykła to reakcja jak na tak opanowanego mężczyznę. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie było ani śladu wzburzenia.

- Wejźmy.

On zamykał zamki, ona zaś poszła prosto do sypialni. Odłożyła torebkę i zsunęła pantofle. Kell stanął na progu. Czarne oczy bez wyrazu obserwowały, jak Rachel zdejmuje kolczyki i wkłada je do aksamitnego pudełeczka.

Spokojny, obojętny wzrok wywołał jej zaniepokojenie.

- Zdobyłam pewne informacje - odezwała się wreszcie, wyjmując koszulę nocną z komody i rzucając Sabinowi przelotne spojrzenie.

Choć kamienna twarz i nieruchome oczy nie wyrażały żadnych emocji, Rachel czuła ogarniającą Sabina furję.

O nic nie zapytał, lecz postanowiła zdać pokrótce relację z rozmowy z Ellisem.

- W bezpośrednich poszukiwaniach bierze udział dziewięciu agentów, ale Ellis wypaplał, że w odwodzie czeka około dwudziestu ludzi. Rozproszyli się i przeczesują wybrzeże. Ellis i Lowell rezydują w motelu Harrana. Tod uważa, że nie żyjesz i że wszystko to strata czasu, ale szef operacji nie daje za wygraną.

Chodziło o tajemniczego Charlesa. Od chwili gdy rozpoznał w rudowłosej kobiecie z jachtu Noelle, Sabin wiedział, kto zaaranżował zamach. Wiedział też, że konflikt w gronie ludzi Charlesa to tylko kwestia czasu. Charles stał na czele międzynarodowej organizacji terrorystycznej, coraz silniejszej i groźniejszej, podczas gdy jej szefa, przezornie ukrywającego się w cieniu, chroniło niedoskonałe prawo i sieć powiązań z politykami. Próba zamachu nie powiodła się i dzięki temu Sabin dowiedział się, że także wśród jego ludzi Charles ma swoje wtyczki. Charles nie mógł więc przerwać poszukiwań, póki nie znajdzie swej ofiary, martwej lub żywej.

Ponieważ Sabin wciąż o nic nie pytał, Rachel poszła do łazienki zmyć makijaż i przebrać się. Milczeniem

wytrąciło ją z równowagi. Pewnie stosował je jako broń, aby zbić rozmówcę z tropu i zepchnąć do defensywy. Rachel nie należała jednak do jego podwładnych. Była kobietą, która go kochała.

Po pięciu minutach, z ubraniem przewieszonym przez ramię, opuściła łazienkę. Sabin siedział na skraju łóżka i zzuwał buty. Wodził za nią wzrokiem, kiedy wieszała rzeczy w garderobie.

- Koszula nocna jest zbędna - oznajmił, przeciągając samogłoski. - Możesz ją z powodzeniem schować z powrotem do szuflady.

Zaskoczona, obejrzała się przez ramię. Stał przy łóżku i patrzył na nią jak głodny kot polujący na mysz. Jej ciało zareagowało natychmiast. Serce przyspieszyło bieg, oddech stał się płytki, urywany. Nic się nie zmieniło. Tak jak poprzednio, nie potrafiła zapanować nad sobą. Zamknęła drzwi garderoby i oparła się o plecami.

- To głupota - stwierdziła, nieudolnie próbując przybrać ironiczny ton. Drżący głos z trudem wydobywał się ze ściśniętego gardła. - Sądziś pewnie, że po tym, co zaszło po południu, przywykłam do myśli, że będziemy ze sobą sypiać, ale tak nie jest. Nie wiem, co nas łączy, o ile w ogóle... Wciąż mam mętlik w głowie. Czego ode mnie chcesz? - Machnęła lekceważąco ręką. - Poza seksem.

Sabin był mistrzem w trzymaniu ludzi na dystans i oto teraz to się na nim zemściło. Rozpaczliwie pragnął kochać się z Rachel, by wykorzystać czas, jaki im pozostał. Tymczasem ona nabrała przekonania, że on ją odpycha.

Nawet w momentach wielkiego napięcia Rachel nie grała, nie kluczyła, nie próbowała skryć się za kłamstwami, by chronić swą dumę. Była tak szczerą, że zasługiwała

przynajmniej na jego szczerłość, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić.

- Chcę wszystkiego, ale nie mogę tego mieć.

W oczach drżącej Rachel pojawiły się łzy.

- Wiesz, że możesz mieć wszystko, czego zapagniesz. Wystarczy wyciągnąć rękę i wziąć.

Zbliżył się powoli, położył dłoń na jej ramieniu i wsunął palce pod ramiączko koszuli nocnej. Szorstkie opuszki dotknęły ciepłej, aksamitnej skóry.

- Ryzykując twoje życie? - spytał cicho. - Nie. W żadnym razie.

- Brzmi to tak, jak gdyby każdy człowiek w twoim otoczeniu był celem zabójców. Inni agenci...

- Inni agenci to nie ja - przerwał. Spokojnie wytrzymał jej spojrzenie. - Kilka grup zdrajców i terrorystów rywalizuje o nagrodę za moją głowę. Sądysz, że poprosiłbym jakąkolwiek kobietę, aby dzieliła ze mną takie życie?

Zdołała uśmiechnąć się przez łzy.

- Tylko nie mów, że żyjesz jak mnich. Wiem, że istniały kobiety...

- Z żadną się nie związałem. Żadna nie stała się dla mnie kimś szczególnym i żadna z nich nie mogła posłużyć za przynętę. Raz spróbowałem. Ożeniłem się, wiele lat temu, kiedy nie śniło mi się, że popadnę w takie tarapaty jak ostatnio. Żona została ranna podczas zamachu na mnie. Była bystra. Momentalnie się ze mną rozwiodła.

Rachel za żadne skarby nie opuściłaby Sabina!

- Warto ryzykować życie, aby być z tobą - szepnęła.

- Nie - pokręcił głową. - Nie pozwolę ci na to.

- To moja decyzja!

Ujął jej twarz w obie dłonie. Zanurzył palce w bujne włosy.

- Nie, ponieważ nie masz pojęcia, na co się narażasz. Sprawdziłaś się jako reporterka i potrafisz zauważyć więcej niż inni, ale jeśli chodzi o rozeznanie w mojej pracy, jesteś zupełnie zieloną. Rzeczywiście, niektórzy agenci prowadzą normalne życie, ale ja się do nich nie zaliczam. Należę do garstki swoistych wybrańców.

Zbladła. Twarz jej stężała.

- Wiem więcej o ryzyku, niż myślisz.

- Nie. Znasz te sprawy z filmów. Uładzone, upiękzone, sentymentalne bajeczki.

- Tak sądzisz? - odezwała się pełnym bólu głosem. - Mojego męża zabiła bomba podłożona w samochodzie i przeznaczona dla mnie! Co w tym pięknego i sentymentalnego? Zginął zamiast mnie! A ty mnie pytasz, co wiem o płaceniu własnych rachunków cudzym życiem! - Otarła łzy i spojrzała hardo na mężczyznę. - Do cholery z tobą! Myślisz, że ja chcę cię kochać? Ale przynajmniej wolę zaryzykować, niż uciec od uczucia, tak jak ty to robisz!

ROZDZIAŁ 10

Widok płaczącej Rachel rozdzierał Sabinowi serce. Nie należała do osób płacziwych i starała się powstrzymać łzy, lecz te spływały uporczywie, a ona raz po raz ze złością usiłowała otrzeć twarz. Sabin delikatnie odgarnął kosmyki włosów z mokrych policzków i przytulił głowę Rachel do zdrowego barku.

- Cokolwiek się stanie, nie mogę cię narażać - powiedział cichym, zbolalym głosem.

Czuła, że to ostateczna odpowiedź i że nie przekona Sabina do swej racji. Wkrótce miał odejść, a to znaczyło: odejść na zawsze. Przywarła do niego całym ciałem i wciągała głęboko w nozdrza jego zapach, podczas gdy dłonie zapamiętywały dotyk jego skóry. To na później, kiedy zostaną jej już tylko wspomnienia.

Złożył na jej ustach pocałunek - gorący, namiętny i zachłanny, wciąż bowiem trwała walka z upływającym czasem. Chciał wypłoszyć ból z szarych oczu, delectować się wzajemną bliskością i nie spieszyć się tak jak za pierwszym razem. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek tak bez reszty oddał się miłosnemu uniesieniu, nawet jako niedoświadczony nastolatek. Przy Rachel reagował gorączkowo, gwałtownie.

Drżała w jego ramionach. Czuł na języku słony smak jej łez. W milczeniu poprowadził ją do łóżka. Nie wyłączył lampy. Pragnął obserwować każdą zmianę w wyrazie jej twarzy, kiedy będą się kochać. Zsunął dzinsy. Widząc to, zaczęła zdejmować koszulę nocną.

Powstrzymał ją.

- Nie! Na razie się nie rozbieraj.

Liczył na to, że łatwiej zapanuje nad sobą, jeśli Rachel nie będzie leżała naga, wyczekująca. Wpadł w sidła słodkiego dylematu: chciał patrzeć na jej twarz podczas przygotowań do miłosnego aktu i w chwili spełnienia, jednocześnie zaś wiedział, że widok obnażonego ciała odbierze mu kontrolę nad własnymi zmysłami i przyspieszy bieg wydarzeń, a tego właśnie chciał uniknąć. Czuł pulsowanie w łądźwiach. Fotograficzna pamięć podsuwała wspomnienie cudownych chwil spędzonych po południu.

- Dlaczego? - spytała zdyszonym głosem, kiedy leżeli już w łóżku.

Gdyby nie absolutne zaufanie do Sabina, przeraziłaby się wyrazu jego twarzy. Poglądził dłonią jej piersi. Cienka bawełniana tkanina otarła się o sutki, które natychmiast dały znać o sobie.

- Bo chcę starannie przygotować się do ataku.

Gdziekolwiek pojawiły się ruchliwe dłonie Sabina, tam skóra mrowieniem budziła się do życia i błagała o następne pieszczoty. Czasem muskał ciało Rachel koniuszkami palców, czasem gładził całą dłonią. I całował: usta, uszy, policzki, szyję. Wreszcie i piersi poznały ciepły, wilgotny dotyk warg. Wrażenie było tym większe, że wszystko odbywało się przez cienki bawełniany materiał. Rachel spróbowała rozpiąć guziki przy karczku, aby dać szerszy dostęp do swego ciała, lecz Sabin chwycił ją za ręce i stanowczym gestem przycisnął do poduszki.

- Kell! - zaprotestowała, usiłując się uwolnić, ale nie miała szans. - Co za okrutne zapędy!

- Skądże - mruknął, lizając nabrzmiały sutek. - Chcę tylko, żeby ci było dobrze. Podoba ci się?

Nie mogła zaprzeczyć. Przecież widział, co się z nią dzieje.

- Tak - przyznała - ale ja też chcę cię dotykać. Pozwól!

- Jeszcze nie. Przy tobie czuję się jak подросток, gotowy do odpalenia petardy w sylwestrową noc. Tym razem postaram się, żeby i tobie było dobrze.

- Wtedy było mi dobrze - szepnęła i jęknęła, bowiem lewa ręka Sabina dotarła do źródła jej kobiecości.

Rachel wstrzymała oddech i instynktownie uniosła biodra.

- Działalem zbyt ostro, zbyt szybko. Sprawilem ci ból.

Mówił prawdę, ale Rachel spodziewała się, że tak będzie.

Nie czekała długo na moment najwyższej rozkoszy. Chciała powiedzieć o tym Sabinowi, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Zaczęła rzucać głową na poduszce. Wygięła plecy w łuk. Słodka udreka przeszła w jeszcze słodsza torturę. Ciało zalala fala rozkoszy. Nabrzmiałe piersi bolały. Sabin zrozumiał, że ten etap gry miłosnej dobiegł końca.

- Spokojnie - szepnął.

Rachel posłusznie znieruchomiała. Ciepła dłoń powoli sunęła w górę uda. Sabin ledwie musnął łono i przeniósł dłoń na drugie udo. Głaszcząc je, doprowadzał Rachel do szaleństwa.

- Ja ci pokażę! - syknęła przez zęby, a jej głos wyrażał i groźbę, i obietnicę.

Wybuchnął triumfującym śmiechem. Jak przez mgłę dotarło do niej, że pierwszy raz słyszy śmiech Sabina.

- Już nie mogę się doczekać - odparł, obrzucając ją rozgorączkowanym spojrzeniem. - Jesteś gotowa, ko chanie?

W odpowiedzi Rachel ponagliła go, bliska ekstazy.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie. Poczekaj, złotko. Nie pozwolę, żebyś odleciała już teraz, zanim w ciebie wejde.

Ostrożnie przekręcił się na plecy, chwycił Rachel za ramiona i posadził sobie okrakiem na biodrach.

- Powoli, spokojnie - poprosił półgłosem, z błyszczącymi oczami. - Spokojnie, stopniowo.

- Kocham cię - szepnęła tęsknie, zamykając oczy. Połączyli się. Sabin wydał głośny okrzyk, wypchnął łądźwie w górę i zacisnął ręce na prześcieradle.

- Kocham cię - powtórzyła, a on znów wydał z głębi trzewi nieartykułowany dźwięk i zaczął rytmicznie przy-

ciągać jej biodra.

- Rachel - jęknął, z mięśniami naprężonymi do granic możliwości.

A ona przez cały czas to unosiła się, to opadała. Nadeszła wreszcie jej kolej, by poprowadzić ten dziki taniec namiętności. Kiedy zdawało się, że szczyt rozkoszy jest blisko, zwalniała tempo. Nie czuła już bolesnej pustki w sobie. Sabin wypełnił ją bez reszty, dając radość spełnienia. Czas przestał płynąć. Świat - poza Sabinem - przestał istnieć. Oddała mu się jak nikomu przedtem. W chwili gdy wyciągnęła go z morza, posiadała go na zawsze. Może za sprawą tej samej tajemnej siły miłości. I tak już miało pozostać.

Po twarzy Rachel spłynęły łzy szczęścia.

- Kocham cię - szepnęła resztką sił, by zaraz potem przeżyć cudowną eksplozję, za sprawą której ulecieli oboje w przestrzeń i słychać było tylko ochryply krzyk Sabina.

A później, gdy spała w jego ramionach, leżał zamyślony, wpatrzony w mrok, i choć jego twarz jak zwykle przybrała obojętny wyraz, w oczach pojawiła się rozpacz.

- Pojedźmy do miasta - powiedział nazajutrz po śniadaniu.

Wzięła głęboki oddech i na chwilę przerwała zmywanie ostatniego talerza.

- Po co?

- Muszę zadzwonić. Stąd nie mogę.

Słowa ledwo przechodziły jej przez ściśnięte gardło.

- Zadzwonisz do człowieka, któremu, jak sądzisz, można zaufać?

- Wiem, że można mu ufać - odrzekł krótko. - Rzykuję jego życie.

A nawet więcej. Rzykował też życie Rachel. Ufał jednak Sullivanowi bezgranicznie.

- Myślałam, że zaczekasz, aż odzyskasz siły.

Nie zdołała ukryć bólu, od którego pociemniały jej oczy. Sabin poczuł, że serce mu się kraje.

- Miałem taki zamiar, póki Ellis znów się nie pojawił. Sullivanowi zajmie kilka dni sprawdzenie i załatwienie dla mnie paru rzeczy. Nie chcę przedłużać całej historii.

- Nazywa się Sullivan?

- Tak.

- Ale dopiero wczoraj zdjęto ci szwy - zaprotestowała, splatając drżące dłonie. - Wciąż jesteś słaby i nie możesz...

Przygryzła usta, stawiając tamę rozpaczliwemu potokowi słów. Dyskusja i tak nie zmieniłaby jego decyzji. I jak tu twierdzić, że jest za słaby, skoro kochali się w nocy dwa razy, a rankiem Sabin obudził ją, łącząc się z nią w miłosnym uścisku? Nie doszedł jeszcze do siebie całkowicie, nie osiągnął kondycji sprzed zamachu, ale i tak zapewne poradziłby sobie lepiej niż większość mężczyzn.

Zaniknęła oczy. Nienawidziła siebie za to, że pragnęła go zatrzymać, mimo iż od samego początku wiedziała, że nie powinna liczyć na to, iż z nią zostanie.

- Przepraszam - odezwała się cicho. - Oczywiście, że możesz. Jeśli chcesz, pojedziemy zaraz.

Obserwował ją w milczeniu. Podziwiał w Rachel niezwykłą zdolność panowania nad sobą. Tym trudniej było od niej odejść. Nie chciał dzwonić do Sullivana. Nie chciał przyspieszać nadejścia dnia, w którym się rozstana. Pragnął rozciągnąć czas, spędzać gorące, leniwe dni na plaży z Rachel, z każdą chwilą lepiej ją poznawać i kochać się, kiedy tylko przyjdzie im ochota. A noce... długie, ciepłe, pachnące noce spędzaliby spleceni w miłosnym uścisku. Tego właśnie pragnął. I tylko świadomość, że ukochanej grozi coraz większe niebezpieczeństwo, zmuszała go do nawiązania kontaktu z Sullivanem. Instykt podpowiadał, że najwyższa pora podjąć działanie.

Milczał tak długo, że Rachel otworzyła oczy i spostrzegła, że Sabin patrzy na nią w typowy dla siebie sposób: uważnie, w skupieniu.

- Wiesz, czego naprawdę chcę? Znów się kochać.

Wystarczyło jedno spojrzenie i parę słów, by poczuła

przyływ pożądania. Wiedziała jednak, że nie wytrzymałaby już kolejnego wyczerpującego zbliżenia. Zerknęła na Sabina z żalem.

- Chyba nie podołam.

Szorstkie palce zdumiewająco czule pogłaskały jej policzek.

- Przepraszam. Powinienem się domyślić.

Uśmiechnęła się, ale nie tak przekonująco, jak zamierzała.

- Przebiorę się, uczeszę i jedziemy.

Ponieważ nie należała do kobiet, które godzinami wdzieczą się przed lustrem, pięć minut później ruszyli w drogę. Sabin czujnie obserwował każdy szczegół krajobrazu i każdy mijany samochód. Rachel złapała się na tym, że co i rusz spogląda w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy nie są śledzeni.

- Muszę znaleźć jakąś ustronną budkę telefoniczną. Nie chcę, żeby widziały mnie setki ludzi robiących zakupy - stwierdził zwięźle, nie przestając obserwować okolicy.

Zgodnie z jego życzeniem Rachel podjechała do aparatu przy stacji obsługi samochodów na obrzeżach miasta i zaparkowała tuż przy budce. Otworzył przeszkłone drzwi i natychmiast je zatrasnął. Szczerze rozbawiony

odwrócił głowę.

- Nie mam pieniędzy.

Uśmiech Sabina sprawił jej ulgę. Chichocząc, sięgnęła po torebkę.

- Użyj mojej karty kredytowej.

- Nie. Jeśli sprawdzą numer karty, dotrą do ciebie.

Wziął od niej garść monet i wszedł do budki. Rachel

rozejrzała się bacznie, czy ktoś ich nie śledzi, ale jedyną osobą w zasięgu wzroku był pracownik stacji, który siedział przed biurem na krześle i czytał gazetę.

Sabin wkrótce wrócił, wśliznął się na siedzenie i zatrzasnął drzwi. Rachel włączyła silnik.

- Krótko to trwało - zauważyła.

- Sullivan nie miele jęczorem bez potrzeby.

- Przyjedzie?

- Tak. - Nagle Sabin znów się uśmiechnął. Szeroko, szczerze. - Największy problem w tym, że nie może się wyrwać z domu bez żony.

Zastanawiała się, z czego tu się śmiać?

- Ona nie wie, na czym polega jego praca?

Parsknął lekceważąco.

- Sullivan jest po prostu rolnikiem. A Jane zawsze się wścieka, jeśli mąż jej ze sobą nie zabiera.

- Rolnik?!

- Odszedł z czynnej służby na emeryturę parę lat temu.

- Żona też była agentką?

- Nie, Bogu dzięki!

- Nie lubisz jej?

- Nie można jej nie lubić. Cieszę się tylko, że na farmie Sullivan ma ją na oku.

Zerknęła niepewnie na Sabina.

- Jest dobry? Ile ma lat?

- W moim wieku. Zwolnił się na własną prośbę. Władze z chęcią zatrzymałyby go na dalsze dwadzieścia lat, ale wołał odejść.

- Fachowiec?

- Najlepszy agent, jakiego miałem w życiu. Razem byliśmy na szkoleniu w Wietnamie.

To uspokoiło Rachel. Bardziej niż odejścia Sabina bała się o jego życie. W świecie międzynarodowego kapitału zapowiadało się na wojnę, chociaż gazety nie wspominały o tym ani słowem. Nawet za cenę własnego życia Sabin nie zamierzał siedzieć bezczynnie, dopóki nie oczyści swojej agencji. Rachel to wiedziała i nie potrafiła się z tym pogodzić. Gdyby mogła, gdyby pozwolił, poszłaby za nim na koniec świata, choćby i w ogień, żeby go chronić.

- Zatrzymaj się przy aptece - polecił, odwracając się na siedzeniu, aby zlustrować wzrokiem ulicę.

- Czego szukasz w aptece?

Spojrzał na nią z lekkim rozbawieniem.

- Środków antykoncepcyjnych. Nie rozumiesz, na co się narażamy?

- Owszem, zdaję sobie sprawę - przyznała cicho.

- I nic nie mówiłaś? Nic nie robiłaś?

Zacisnęła dłonie na kierownicy, aż pobielały kostki. Nie odrywała wzroku od jezdni.

- Nie.

Na to jedno spokojnie wypowiedziane słowo zareagował jak wulkan.

- Nie chcę, żebyś zaszła w ciążę! Nie mogę zostać,

Rachel. Będziesz samotnie wychowywać dziecko?!

Zahamowała na czerwonym świetle i spojrzała mu prosto w oczy.

- Warto wiele poświęcić, aby mieć twoje dziecko.

Zacisnął zęby i zaklął pod nosem. Poczuł radość na

myśl o Rachel w ciąży, Rachel karmiącej jego dziecko. Pragnął brać ją wszędzie ze sobą, pragnął co wieczór wracać do niej, do domu, lecz nie mógł rzucić służby i zobojętnieć na losy kraju. Bezpieczeństwo państwa było zagrożone i rola Sabina była tu nie do przecenienia. Musiał działać, a przy tym nie mógł narażać Rachel.

Szare oczy pociemniały.

- Nie ułatwię ci odejścia - szepnęła. - Nie będę skrywać uczu i z uśmiechem machać na pożegnanie.

Twarz Sabina była surowa, nieprzenikniona. Patrzył przed siebie, nic nie mówiąc. Kiedy zapaliło się zielone światło, Rachel podjechała do najbliższej apteki. Bez słowa wręczyła mu dwadzieścia dolarów.

Zacisnął palce na banknocie.

- Albo to, albo abstynencja. Odetchnęła głęboko.

- To chyba pójdziesz do apteki, prawda?

Rachel rzeczywiście niczego mu nie ułatwiała. Do diabła, mieliby dziecko co rok, gdyby sytuacja ułożyła się inaczej. Może zresztą już było za późno? Może już zaszła w ciążę? Tylko ktoś naiwny lub absolutnie bezmyślny odrzuciłby taką ewentualność.

Zapłacił i ruszył z zakupem do wyjścia, kiedy do apteki weszła Rachel. W jej szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie. Bez wahania Sabin odwrócił się na pięcie i cofnął do najdalszego zakątka apteki, gdzie z zainteresowaniem zaczął studiować ulotki reklamowe.

Rachel minęła go i stanęła przy stoisku z kosmetykami. Po chwili znów otworzyły się drzwi apteki. Kątem oka Sabin zauważył płowe włosy. Wtulił głowę w ramiona i odruchowo sięgnął po broń, lecz za paskiem spodni trafił na pustkę. Pistolet został w samochodzie. Twarz mu stężała. Poruszając się bezszelestnie, podążył w ślad za Ellisem.

Kiedy Rachel zobaczyła nadjeżdżającego niebieskiego forda, od razu była pewna, że to Ellis. Wiedziała, że trzeba natychmiast ostrzec Sabina, aby nie wyszedł z apteki wprost na zdrajcę. Jeśli Ellis ich śledził, było już za późno, lecz Rachel przypuszczała, że do tego nie doszło. Ot, po prostu niefortunny zbieg okoliczności.

Udawała, że go nie zauważyła. Wysiadła z samochodu i weszła do apteki jak gdyby nigdy nic. Kiedy przekraczała próg, usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi auta. Wiedziała, że za parę sekund Ellis stanie za jej plecami. Sabinowi wystarczył rzut oka na jej minę, by zrobić w tył zwrot. Teraz musiała tylko pozbyć się Ellisa, nawet gdyby miała wrócić do samochodu i odjechać bez Sabina.

- Byłem pewien, że to ty! Nie słyszałaś, jak wołałem? - usłyszała nad uchem, kiedy oglądała rząd pomadek do ust.

Odwróciła się gwałtownie, udając zaskoczenie.

- Tod! Przestraszyłeś mnie!

- Przepraszam. Myślałem, że mnie zauważyłaś. Stwierdziła ironicznie w duchu, że Ellis za dużo myśli.

Posłała mu nieobecny uśmiech.

- Tyle mam spraw na głowie, że chodzę jak w malignie. Zostawiłam w domu listę zakupów i chyba oszaleję, usiłując przypomnieć sobie, co na niej było.

Zerknął na półki z kosmetykami i uśmiechnął się promiennie.

- Jak widzę, szminka to absolutnie niezbędny zakup.

- Szminka nie, ale balsam do ust owszem. Myślałam, że tu go dostanę.

Ciekawe, jaką miałby minę, gdyby rzuciła krótko: „Spadaj!”. Problem z ludźmi tak zakochanymi w sobie polega jednak na tym, że za wszelką cenę usiłują się potem odegrać za zniewagę. Mimo starań nie zdołała pozbyć się cierpkiego tonu. Ellis nie krył zdziwienia.

- Coś się stało?

- Strasznie boli mnie głowa - mruknęła, spostrzegłszy Sabina za plecami Ellisa.

Ze zmrużonymi oczami i zaciętą twarzą skradał się jak pantera. Co on wyprawia? Powinien trzymać się z daleka, póki ona nie pozbedzie się natręta, nie zaś atakować! Zbladła jak kreda.

- Nie wyglądasz zdrowo - przyznał Ellis.

- Za dużo wczoraj wypiałam wina.

Ruszyła do następnego stoiska, jak najdalej od Sabina. Do diabła z nim! Jeśli chciał zaatakować Ellisa, musiał podejść. I to spory kawałek, bo zapuściła się aż do działu ze środkami bakteriobójczymi. Chwyciła pierwszą z brzegu butelkę i nachmurzona zaczęła czytać skład preparatu.

Ellis nie odstępował jej na krok.

- Czujesz się na siłach, żeby wybrać się gdzieś wieczorem?

Bezsilnie zacisnęła zęby. Skąd się biorą na świecie tacy zarozumialcy? Z najwyższym trudem udzieliła spokojnej odpowiedzi:

- Raczej nie, Tod, ale dziękuję za zaproszenie. Czuję się naprawdę fatalnie.

- Jasne. Rozumiem. Zadzwoń jutro albo pojutrze.

Skąd wykrzesła siły, aby się uśmiechnąć?

- Dobrze. Może poczuje się lepiej, o ile to nie jakiś wirus.

Jak większość ludzi, na myśl o chorobie zakaźnej cofnął się o krok.

- No cóż, rób dalej zakupy, ale właściwie powinnaś wrócić do domu i odpocząć.

- Dobra rada. Tak zrobię - odparła, zadając w myślach pytanie: „Czy on nigdy nie odejdzie?”.

Niestety, gawędził dalej zadowolony z własnego uroku i dowcipu do tego stopnia, że Rachel zaczęło zbierać się na mdłości. Znów zobaczyła Sabina skradającego się za plecami Ellisa. W akcie rozpaczyci chwyciła się za brzuch.

- Zaraz zwymiotuję - obwieściła prosto z mostu.

Zdumiewające, jak błyskawicznie Ellis zmienił front.

- Lepiej jedź do domu. Zadzwoń później - rzucił już od drzwi.

Zaczekała, aż niebieski ford odjedzie, i dopiero wtedy spojrziała na Sabina.

- Zostań tu - poleciła. - Objadę okolicę i sprawdzę, czy zniknął.

Nie czekała na odpowiedź. Cała gotowała się w środku, a przejażdżka stwarzała okazję, żeby ochłonąć. Rozwścieczył ją fakt, iż Sabin decydował się na ryzykowną akcję już teraz, zanim odzyskał pełnię formy. A jeśli Ellis zobaczył Sabina w aptece i chciał się tylko upewnić, że to on, aby zameldować przełożonym? Wątpliwe, chyba że był sprytniejszy, niż podejrzewała, ale sama taka ewentualność mroziła krew w żyłach.

Drżąc, włączyła silnik i ruszyła na objazd dzielnicy w poszukiwaniu niebieskiego forda. W zasadzie nie powinna szukać Ellisa, lecz Lowella. Nie miała pojęcia, dokąd pojechał. Setki, tysiące mężczyzn znajdowały się w okolicy o tej porze dnia.

Zaparkowała na wprost drzwi apteki. Po chwili Sabin wsiadł do auta.

- Widziałas kogoś?

- Nie, ale nie wiem, czym jeżdżą pozostali agenci.

Włączyła się do ruchu i pojechała w przeciwną stronę niż ta, skąd przybył Ellis. Nie było to po drodze, ale mogła przecież zawrócić.

- Nie widział mnie - orzekł pewnym głosem z nadzieją, że pocieszy tym Rachel.

- Skąd wiesz? Może postanowił zameldować o twoim istnieniu, poczekać na wsparcie i złapać cię później, zamiast wywoływać sensację w zatłoczonej aptece.

- Odpuść się, kochanie. Ellis nie jest taki przebiegły. Spróbowałby sam mnie schwytać.

- Skoro to taki głupek, czemu go zatrudniłeś? - odparowała jego argumenty.

Zamyślił się.

- To nie ja. Pozyskał go ktoś inny.

- Jeden z tych dwóch, którzy wiedzieli, gdzie będziesz?

- Zgadza się - potwierdził ponuro.

- Krąg podejrzanych zawęży się, prawda?

- Chciałbym, ale nie mogę przyjąć tego za oczywistość. Póki nie zyskam pewności, obaj są podejrzani.

Był w tym rozumowaniu sens. Nie stać go było na popełnienie najmniejszego błędu.

- Dlaczego skradałeś się za jego plecami? Czemu po prostu nie zniknąłeś do czasu, aż się go pozbędę? - dopytywała się, a kostki dłoni zacisniętych na kierownicy znów pobiełały.

- Gdyby mnie zobaczył, mógł posłużyć się tobą, żeby wyciągnąć mnie z apteki. Nie zamierzałem mu na to pozwolić.

Opanowany głos Sabina przyprawił Rachel o dreszcz.

- Ale nie możesz na razie porywać się na takie akcje! Jeszcze kulejesz i ledwie poruszasz zeszywniałym barkiem. A jeśli szwy pękną?

- Nic się nie stało! Nie przewidywałem zresztą walki wręcz. Wystarczyłoby przyłożyć mu raz a dobrze.

Wobec typowej męskiej arogancji Rachel chciało się krzyknąć, ale zacisnęła tylko zęby.

- Nie przyszło ci do głowy, że coś może pójść nie tak?

- Jasne, ale gdyby Ellis chwycił cię za gardło, nie miałbym wyboru, więc wolałem zawnoczyć zajęcie pozycji do ataku.

Zrobiłby, co w jego mocy mimo niesprawnej nogi i ramienia! Rzadki okaz w dzisiejszych czasach: zna cenę ryzyka, lecz decyduje się zapłacić.

Twarz Rachel pozostała biała. Z oczu nie zniknął cień. Sabin pogładził ją po udzie.

- Już dobrze - odezwał się łagodnie. - Nic się nie stało.

- Ale mogło! Twój bark...

- Zapomnij o tych przeklętych ranach. Wiem, na co teraz stać moją rękę i nogę, i nie stanę do walki, jeśli nie będę miał szans na zwycięstwo.

Przez resztę drogi do domu milczała. Zaparkowała pod drzewem.

- Popływam trochę - oświadczyła. - Idziesz ze mną?

- Tak.

Joe podbiegł do wysiadającej z auta Rachel i choć jak zwykle zachował dystans, wpatrzony w nią wiernymi psimi oczami, odprowadził swoją panią aż do drzwi. Zaakceptował Sabina, lecz gdy obaj znajdowali się na podwórzu, nigdy nie oddalał się od Rachel. Pomyślała z rozrzewaniem, że w przeciwieństwie do swego rywala mężczyzny, Joe nie zamierzał jej zostawić. Postanowiła, że nie będzie się nad sobą litować. Życie będzie się toczyć dalej, nawet bez Sabina. Przykre to i na pewno nie tego sobie życzyła, lecz wiedziała, że jakoś przetrwa ból rozstania, chociaż czas spędzony z Sa-binem nieodwołalnie odmienił jej życie.

Przebrała się w kostium kąpielowy, Sabin natomiast włożył drelichowe szorty. Zabrali ręczniki i ruszyli przez sosnowy zagajnik na plażę. Joe pobiegł za nimi i ułożył się w cieniu kępy nadmorskich krzewów. Rachel rzuciła ręczniki na piasek i wskazała odległe miejsce zatoki, gdzie spiętrzona woda uderzała o wystające skały.

- Widzisz granicę, na której zatrzymują się fale? To skały. Jestem prawie pewna, że tamtej nocy uderzyłeś głową o jedną z nich. Przyływ dopiero się zaczynał, więc poziom wody był niski. A tu cię wyciągnęłam.

Popatrzył na plażę, a potem odwrócił się i zmierzył wzrokiem stok, z którego wyrastały wysokie, strzeliste sosny - strażnicy wybrzeża. W jaki sposób szczupła, wiotka kobieta zaciągnęła go pod górę i dalej, do domu? Nie umiał sobie tego wyobrazić.

- Omal nie wyzionęłaś ducha, taszcząc taki ciężar, prawda? - spytał.

Nie chciała myśleć o tamtej nocy i wysiłku, jaki włożyła w ratowanie nieznajomego. Pamiętała, że czuła wielkie zmęczenie, lecz to, co nastąpiło potem, wyparło z pamięci wspomnienie strachu i trudu.

Weszła do morza. Kiedy woda sięgała jej do kolan, Sabin wyciągnął pistolet zza pasa, ostrożnie położył na ręczniku i nakrył drugim, aby ochronić broń przed piaskiem, a potem zdjął szorty i nago podążył w ślad za Rachel.

Spędziła pół życia nad zatoką, była więc niezłą pływaczką, lecz Sabin nawet z zeszywniała ręką nie pozostał w tyle. Kiedy zauważyła go w wodzie, w pierwszej chwili chciała zaprotestować z obawy o gojące się rany, lecz zrezygnowała. Uznała pływanie za doskonałą terapię. Zresztą słona woda nie zaszkodziła otwartym ranom, kiedy dryfował nieprzytomny. Pływali przez pół godziny. Kiedy wracali na plażę, zerknęła na brodzącego w falach po pas Sabina i spostrzegła, że jest nagi. Natychmiast jej ciałem wstrząsnął znajomy dreszcz. Sabin miał wspaniałe ciało: smukłe, sprężyste, opalone na brąz, pięknie umięśnione. Obserwowała, jak przesuwa pistolet i kładzie się na ręczniku, wystawiając lśniąca od kropel skórę do słońca.

Wyszła na brzeg i zwiesiła głowę, aby z włosów spłynęła woda. Kiedy podniosła wzrok, spostrzegła, że Sabin patrzy na nią.

- Zdejmij kostium - powiedział cicho.

Żadna łódź nie majaczyła na horyzoncie. Sabin wyglądał niczym antyczny posąg. Rachel powoli zsunęła ramiączka i poczuła na mokrych piersiach pocałunek gorącego słońca. Podmuchi bryzy szepnęły słówko sutkom i natychmiast stwardniały. Ten widok zaparł mężczyźni dech w piersiach. Wyciągnął rękę.

- Chodź.

Ściągnęła kostium i podeszła. Sabin ułożył ją na piasku. W ciemnych oczach igrały figlarne ogniki.

- Zgadnij, czego zapomniałem wziąć?

Roześmiała się, szczęśliwa. Zapomniała o całym świecie. Istniał tylko Sabin i złocista plaża.

- Zresztą mówiłaś, że cię wszystko boli - mruknął, pieszcząc jej piersi. - Muszę więc... improwizować.

Pochylił się nad Rachel, szerokimi barkami zasłaniając słońce. Wypalał gorącymi ustami szlak wiodący od jej piersi w dół, ku łonu.

Był świetny w improwizacji. Delektował się jej ciałem niczym najslodszy smakolykiem. Aż wreszcie wygięła się w łuk i krzyk rozkoszy uleciał w błękitne, bezchmurne niebo.

ROZDZIAŁ 11

Nie myślała o upływającym czasie, choć wiedziała, że zostało im najwyżej kilka wspólnych dni - tyle, ile zajmie Sullivanowi poczynienie niezbędnych przygotowań i podróż na spotkanie z Sabinem. Żyła chwilą teraźniejszą, czerpiąc rozkosz z każdej czynności, którą razem wykonywali. Sabin pomagał jej zbierać warzywa w ogródku, zajmował się też trochę psem, zaskarbiając sobie jego zaufanie i pokazując Rachel, jak świetnie Joe jest wyszkolony. Spędzali mnóstwo czasu nad zatoką. Codziennie pływali rano i po południu, kiedy mijał najgorszy upał. Miało to zbawienny wpływ na rekonwalescencję Sabina. Z każdym dniem nabierał sił. Ramię odzyskiwało sprawność, a noga poruszała się coraz pewniej. Sabin dużo się gimnastykował, ułatwiając tym samym ciału powrót do dawnej kondycji. Rachel z podziwem obserwowała, jak ćwiczył. Sama była silna i wysportowana, lecz nie mogła się z nim równać. Czowała, że często wysiłek fizyczny sprawiał mu ból, lecz nie przyznawał się do tego. Po dziesięciu dniach gimnastyki zobaczyła, że z zapalem biega wokół domu.

Dla wzmocnienia rannego mięśnia obandażował udo. W pierwszej chwili rozgniewała się, ale zaraz potem dołączyła do rekonwalescenta. Biegła obok, gotowa go podtrzymać, gdyby nagle noga odmówiła posłuszeństwa. Strofowanie Sabina nie miało sensu, ponieważ musiał przygotować się na wszelkie niespodziewane sytuacje.

Bez względu na to, co robili, przede wszystkim rozmawiali. Sabin mało mówił o sobie. Wynikało to po części z jego natury, po części zaś - z zawodowego przyzwyczajenia. Znał fascynujące szczegóły politycznych i gospodarczych poczynań rządów państw całego świata. Przypuszczalnie wiedział więcej o armiach i zbrojeniach, niż zainteresowani mogli sobie życzyć, lecz na ten temat milczał. Z przemilczeń Rachel czerpała wcale nie mniej wiadomości o nim niż z tego, co opowiadał.

Czy wrywali chwasty w ogródku, czy biegali dokoła domu, gotowali lub dyskutowali o polityce, istniało między nimi stałe napięcie erotyczne, utrzymujące oboje w stanie niegasnącego pożądania. Zmysły Rachel chłoniły zapach, smak, dotyk i ton głosu Sabina. Jego twarz na ogół przybierała neutralny wyraz, toteż Rachel bacznie obserwowała każde poruszenie brwi, każdy grymas ust. Chociaż czuł się w jej towarzystwie swobodnie, coraz częściej się uśmiechał, a nawet żartował, rzadko śmiał się na cały głos. Te w dwójnasób cenne chwile Rachel pragnęła przechować w pamięci. Całą sobą czuła obecność Sabina. Zanurzała się w niej bez reszty, wiedząc, że przyszłość dla nich dwojga nie istnieje.

Pociąg, jaki do siebie czuli, był bardzo silny. Nigdy wcześniej, nawet na początku małżeństwa z B.B., miłosne zbliżenia nie dawały Rachel takiej radości. Sabin przejawiał wielki apetyt seksualny, a im więcej kosztował - tym większy ogarniał go głód. Ostrożny i czuły kochanek czekał, aż Rachel przywyknie do jego łóżkowych zachowań. Kochał się z nią w sposób wyrafinowany, lecz zarazem spontaniczny i żywiołowy. Czasem przedłużali w nieskończoność każdą pieszczotę, delektując się nią. Dopiero gdy napięcie rosło do granic wytrzymałości - przyspieszali tempo. Czasem, kiedy już na starcie czuli ogromne podniecenie, kochali się szybko, ostro, bez gry wstępną. Trzeciego dnia po telefonie do Sullivana Sabin kochał się z nią z takim zapamiętaniem, jak gdyby miał to być ich ostatni raz. Rachel czuła to i kiedy wyczerpany leżał na niej bezwładnie, objęła go mocno za szyję i zacisnęła powieki, próbując zatrzymać czas.

- Zabierz mnie z sobą - odezwała się błagalnym tonem.

Nie umiała kłamać. Nie potrafiłaby pozwolić mu odejść bez walki, bez podjęcia próby przekonania go do zmiany decyzji.

Zsunął się wolno i położył na plecach, zakrywając ręką oczy. Wentylator sufitowy furkotał nad ich głowami, muskając chłodnymi podmuchami rozgrzaną skórę.

- Nie. - Tylko tyle powiedział.

- Sytuacja nie wygląda beznadziejnie - nalegała. - W najgorszym razie będziemy się widywać od czasu do czasu. Nie jestem uwiązana do jednego miejsca. Mogę pracować gdziekolwiek i...

- Rachel - przerwał zmęczonym głosem - przestań.

Odsłonił oczy. Wprawna w odczytywaniu najmniejszej zmiany w ich wyrazie Rachel zrozumiała, że jej naciski irytują Sabina. Ale ona już postanowiła, że nie zrezygnuje.

- Jakże mogłabym cię opuścić? Kocham cię! Nie mogę się zachować jak dziecko, które zabiera swoje zabawki.

- Cholera, dla mnie to też nie zabawa! - wykrzyknął, siadając na łóżku i potrząsając ją za ramię. Po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą. - Możesz przeze mnie zginąć! Śmierć męża niczego cię nie nauczyła?

- Równie dobrze mogę zginąć w wypadku drogowym - odparła roztrzęsiona. - Czy wtedy mniej byś mnie oplakiwał? - Wyrwała rękę i roztarta miejsce, gdzie silne palce wbiły się w ciało. Pałające gniewem oczy odcinały się od białej jak kreda twarzy. Pragnęła nadać głosowi lekki, ironiczny ton. - Czy w ogóle poczułbyś żal? Zbyttno się przejmuję, prawda? Może tylko ja z nas dwojga przejmuję się całą sprawą? Jeśli tak, zapomnij o tym, co powiedziałam.

Patrzyli na siebie w milczeniu - ona z twarzą spiętą, wyczekującą, on - z ponurą. Nie wyglądało na to, żeby Sabin coś jeszcze powiedział. Cóż, sama się o to prosiłam, pomyślała Rachel. Wywieriała nacisk na Sabina, walczyła, by zmienił zdanie, by poczynił jakieś zobowiązanie. I oto

- przegrała. Straciła wszystko... Łudziła się, że mu na niej zależy, że ją kocha, chociaż nie usłyszała od niego ani

słowa na temat miłości. Kładła to na karb jego małomówności. Musiała jednak stanąć w obliczu bolesnej prawdy: Sabin nie powiedział, że ją kocha, nie zwykł rzucać na wiatr słodkich słówek. Podobała mu się, pociągała go, było mu z nią dobrze w łóżku. I tyle. A ona zrobiła z siebie idiotkę, czyniąc miłosne wyznania.

Najgorsze, że nawet poznawszy prawdę, nie przestała go kochać, i nic nie mogła na to poradzić. -
Przepraszam - mruknęła, niezdarnie wstając z łóżka i sięgając po ubranie, nagle zawstydzona własną nagością.

Z mięśniami napiętymi do granic możliwości Sabin patrzył, jak jej twarz przybiera wyraz zakłopotania, jak raptownie gasną ogniki w oczach, jak w pośpiechu, nagle zażenowana, chwyta ubranie, żeby się okryć. Mógł pozwolić jej odejść. Rozstanie przyszłoby jej łatwiej, gdyby myślała, że zależało mu tylko na seksie, że wykluczył jakiegokolwiek zaangażowanie. Uczucia niepokoiły Sabina. Nie przywykł do nich. Ale niech go piekło pochłonie, jeśli zniósłby wyraz rozpaczki na twarzy Rachel! Nie potrafił jej wiele dać, lecz nie mógł zostawić jej w przeświadczeniu, że była dla niego jedynie obiektem seksu.

Zanim zdołał ją zatrzymać, wybiegła z pokoju. Usłyszał dźwięk zatraskiwanych drzwi na werandę. Zobaczył, jak znika w sosnowym zagajniku, z nieodłącznym psem przy nodze. Zaklął, błyskawicznie wciągnął spodnie i ruszył za nią. Pewnie nie zechce z nim rozmawiać, lecz on ją do tego nakłoni, nawet siłą.

Rachel szła brzegiem plaży, zastanawiając się, skąd wziąć odwagę, żeby wrócić do domu i zachowywać się, jak gdyby nic nie zaszło. Prawdopodobnie chodzi o jeden dzień. Jakoś go przetrwa. To zaledwie dwadzieścia cztery godziny.

Cieszyła się, że może mierzyć czas cierpienia w godzinach, a potem zapomnieć o udawaniu, o powstrzymywaniu szlochu i wypłakać się wreszcie do woli, aż zabraknie łez.

W kępie wodorostów spostrzegła bladą różową muszlę. Przystanąła, aby odsunąć stopą mokre pędy. Miała nadzieję, że widok pięknego kształtu stworzonego przez naturę przyniesie sercu pociechę. Ale muszla była dziurawa i popękana. Rachel poszła więc dalej. Joe puścił się przodem, badając teren na własną rękę. Jego także zmieniło przybycie Sabina. Po raz pierwszy pozwolił się dotknąć i nauczył się akceptować kogoś innego niż Rachel. Ciekawe, czy on także będzie tęsknił za Sabinem.

Poczuła na ramieniu dłoń. Zatrzymała się. Wiedziała, że to Sabin. Znała dotyk szorstkich opuszków palców. Gorąco pragnęła położyć wygodnie głowę na jego ramieniu i się przytulić. Ich ciała tak wspaniale do siebie pasowały... Cóż z tego, skoro Sabin nie chciał, aby ich drogi życiowe zbiegły się i połączyły. Bała się, że jeśli teraz się odwróci, nie pohamuje szlochu. Znieruchomiała.

- To dla mnie trudna sytuacja - odezwał się nieswoim głosem.
- Przepraszam. Nie chciałam urządzać ci scen ani stawiać pod ścianą. Po prostu zapomnij, co powiedziałam.
Sabin zacisnął dłoń na ramieniu Rachel i zmusił, by się odwróciła. Patrzył prosto w jej oczy.
- Nie rozumiesz, że nic by z tego nie wyszło? Nie mogę rzucić pracy. Robię rzeczy... trudne i paskudne, ale konieczne.
- Nie prosiłam, żebyś rzucił pracę.
- To nie o cholerną robotę się martwię! - krzyknął. - O ciebie się martwię! Bóg mi świadkiem, że nie przeżyłbym, gdyby coś ci się stało! Kocham cię. - Umilkł, odetchnął głęboko i ciągnął, już spokojniej i ciszej: - Nigdy jeszcze tego nie powiedziałem i nie powinienem mówić teraz, bo to bez sensu!

- Moglibyśmy spróbować. Choć trochę - szepnęła.
Pokręcił głową.
- Muszę mieć pewność, że jesteś bezpieczna. W przeciwnym razie nie mógłbym funkcjonować tak, jak powinienem. Nie mogę popełnić błędu, gdyż oznaczałoby to śmierć ludzi, dobrych, uczciwych mężczyzn i kobiet. A gdybyś została porwana, sprzedałbym duszę, aby cię odzyskać.

Rachel przeszył dreszcz.
- Tak być nie może. Żadnych negocjacji!
- Kocham cię - powtórzył. - Nigdy przedtem nikogo nie kochałem, ani rodziców, ani innych krewnych, ani nawet żony. Zawsze byłem sam, inny niż wszyscy. Mój jedyny przyjaciel to Sullivan, może dlatego, że ulepiony z tej samej gliny. Naprawdę sądzisz, że bym cię poświęcił? Kobieto, jesteś moją jedyną życiową szansą! - Głos mu się załamał. - Nie odbieraj mi tego! - zakończył prawie szeptem.

Rozumiała go, choć wolałaby nie rozumieć. Kochał ją i dlatego przestał ufać samemu sobie. Gdyby ona została porwana, w razie potrzeby zdradziłby ojczyznę. Miłość do niej czyniła z Sabina człowieka odsłoniętego na ciosy, bezbronnego, takiego, któremu można zagrozić, którego można dopaść lub szantażować.

Wzięła ją za rękę i wrócili w milczeniu do domu. Rachel weszła do kuchni, sądząc, że jeśli zajmie się gotowaniem, odsunie od siebie bolesne myśli. Sabin wodził za nią oczami. Nagle chwycił jej dłoń, wyjął z niej talerz i odstawił na blat.

- Teraz! - odezwał się gardłowym głosem i pociągnął ją do sypialni.
Ściągnął z niej szorty, nie marnował jednak czasu na zdejmowanie bluzki ani swoich spodni - opuścił je tylko na uda. Nie zrobili tego w łóżku. Posiadł ją na podłodze. Nie mógł czekać: tak rozpaczliwie pragnął zespolenia, pogrążenia się w miłosnych doznaniach, zapomnienia o czekającym ich rozstaniu. Rachel przywarła do niego całym ciałem. Wycisnął piętno własności na każdym centymetrze jej skóry. I wciąż było im mało.

Późnym popołudniem wyszła do ogródka po świeżą paprykę do sosu do spaghetti. Sabin brał prysznic. Joe nie pojawił się przed domem. Dziwne. Wołała go, lecz doszła do wniosku, że chyba śpi pod krzewem oleandra, gdzie zwykł chować się przed upałem. Temperatura przekraczała pewnie trzydzieści stopni, a duża wilgotność powietrza zapowiadała burzę.

Z naręczem papryki ruszyła przez niewielkie podwórze do domu. Nie wiedziała, skąd wynurzył się intruz, ale kiedy podeszła do schodków wiodących do tylnego wejścia, znalazł się nagle za plecami Rachel, przycisnął rękę do jej ust i odchylił głowę w tył. Takim samym okrężnym ruchem zaatakował ją Sabin pierwszego dnia, kiedy odzyskał przytomność, tyle że on trzymał nóż, zaś w dłoni napastnika błysnęła stal pistoletu.

- Nie piśniesz, to nie zrobię ci krzywdy - mruknął jej do ucha śpiewnym akcentem. - Szukam pewnego człowieka. Powinien być w tym domu.

Wbiła paznokcie w duszącą ją rękę, usiłując wydać ostrzegawczy krzyk. Sabin i tak nie usłyszałby jej w łazience, pod prysznicem, ale istniała pewna szansa. Wtedy rzuciłby się na pomoc i zapewne został zastrzelony. Porażona tą wizją, przestała stawiać opór. Próbowwała naprędce obmyślić jakiś plan.

- Ciiii, spokojnie - odezwał się niskim, miękkim głosem, na dźwięk którego Rachel poczuła ciarki na plecach. - Otwórz drzwi. Wejdziemy sobie razem, powoli.

Nie miała wyboru. Gdyby intruz chciał ją zabić, już by to zrobił. Wystarczyłby jeden cios kolbą pistoletu, aby pozbawić ją przytomności, a wtedy w żaden sposób nie mogłaby pomóc Sabinowi. Napastnik wepchnął ją po schodach, trzymając tak, że nie miała możliwości stawić oporu.

Gdzie jest Sabin? Nasłuchiwała szumu prysznic, lecz w uszach miała tylko ogłuszający łomot własnego serca. Czy się ubiera? Czy usłyszała dźwięk zamykanych drzwi werandy? A jeśli nawet, czy nabrał jakichś podejrzeń? Polegali oboje na czujności Joego. Rachel przyszło do głowy straszliwe przypuszczenie. Czyżby napastnik zabił psa? To by wyjaśniało, dlaczego Joe nie przybiegł na powitanie pani idącej do ogródka ani dlaczego nie ostrzegł przed obcym.

Nagle z sypialni wyłonił się Sabin, z koszulą w ręku, ubrany jedynie w dzinsy. Przystanął i z kamienną twarzą spojrzał najpierw na napastnika, potem zaś na Rachel.

- Śmiertelnie ją przeraziłeś - powiedział chłodnym, opanowanym tonem.

- To twoja kobieta?

- Moja.

Dopiero wtedy napastnik uwolnił Rachel, delikatnie odsuwając ją od siebie.

- Nic nie mówiłeś o kobiecie, tak więc wołałem nie ryzykować - wyjaśnił.

Rachel nareszcie zrozumiała, z kim ma do czynienia. Z trudem dochodziła do siebie. Zanim odważyła się przemówić drżącym głosem, wzięła kilka głębokich oddechów.

- To na pewno Sullivan - stwierdziła zaskakująco spokojnie, stopniowo rozprostowując zaciśnięte w pięści palce.

- Zgadza się.

Nie tego się spodziewała. Przybysz i Sabin byli uderzająco podobni do siebie. Nie chodziło o wygląd, lecz o sposób zachowania i otaczającą ich aurę władzy. Sullivan miał płowe, zmierzwiłone włosy i przenikliwe, sokole oczy o barwie złota. Lewy policzek przecinała blizna, pamiątka po jakiejś akcji. Był typem wojownika, smukłego, nieustępliwego i niebezpiecznego... jak Sabin.

Kiedy taksowała go wzrokiem, nie pozostał dłużny. Bacznie obserwował, jak Rachel usiłuje odzyskać panowanie nad sobą. Uniósł kącik ust, co wyglądało prawie jak uśmiech.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. Podziwiam pani spokój. Jane w takiej sytuacji przyłożyłaby mi w łeb aż miło.

- A do tej pory nie przyłożyła? - zażartował Sabin.

Sullivan unósł brwi.

- Nie - odparł ironicznie. - Przyłożyła mi w inne miejsce.

Brzmiało to jak początek zajmującej anegdoty, lecz chociaż Sabin sprawiał wrażenie rozbawionego, nie domagał się dalszego ciągu.

- To Rachel Jones - przedstawił. - Wyciągnęła mnie z oceanu.

- Miło mi panią poznać.

- Mnie również.

Sabin przytulił ją, a potem zaczął wkładać koszulę. Ta czynność, ze względu na sztywne, obolałe ramię, wciąż sprawiała mu trudność. Sullivan obejrzał świeżą czerwoną bliznę w miejscu, gdzie kula rozerwała bark.

- To poważna sprawa?

- Częściowo straciłem sprawność ręki, ale może to przez tę opuchliznę. Kiedy ustąpi, będzie lepiej.

- Dostałeś jeszcze gdzieś?

- W lewe udo.

- Utrzymaś się na nogach?

- Raczej tak. Biegałem, ćwiczyłem.

Sullivan burknął coś pod nosem. Rachel wyczuła, że wołałby porozmawiać z Sabinem na osobności.

- Jest pan głodny? Mamy spaghetti - zaproponowała.
- Z przyjemnością. Dziękuję.

Uprzejmy ton i dobre maniere pozostawały w kontraście ze przenikliwym spojrzeniem. Dlaczego Sabin jej nie ostrzegł?

- Zajmę się kolacją, a wy sobie porozmawiajcie. Kiedy pan mnie chwycił, pogubiłam paprykę. - Ruszyła do drzwi, lecz na progu przystanąła i zerknęła niespokojnie na gościa. - Panie Sullivan...

Mężczyźni przechodzili właśnie do salonu. Sullivan obejrzał się.

- Słucham.
- Mój pies zawsze czeka pod domem, kiedy wychodzę. Dlaczego... - Głos jej się załamał.
- Nic mu się nie stało. Przywiązałem go do sosny w lasu. Niełatwo było go zwabić. Sprytna bestia.

Poczuła wielką ulgę.

- Pójdę go odwiązać. Ale... nie skrzywdził go pan, prawda?
- Skądże. Przywiązałem go jakieś sto metrów od skraju lasu, w lewo od ścieżki.

Z bijącym sercem pobiegła we wskazanym kierunku i od razu znalazła Joego. Rozwścieczony pies zawarczał na widok pani. Podchodziła powoli, przemawiając łagodnym, kojącym głosem. Wreszcie uklękła i rozwiązała sznur okalający szyję. Przez cały czas mówiła i głaskała zwierzę, aż przestał warczeć i po raz pierwszy poliznął ją po twarzy! Wzruszyła się.

- Wracamy do domu - oznajmiła, podnosząc się z ziemi.

Pozbierała upuszczoną na schodach paprykę i zostawiła Joego na straży obejścia. Umyła ręce i zaczęła przygotowywać sos. Z salonu dobiegał szmer rozmowy. Teraz, kiedy poznała Sullivana, wiedziała, dlaczego Sabin mu ufał. Widząc obu przyjaciół razem, nagle na nowo poczuła podziw dla mężczyzny, którego pokochała.

Po niecałej godzinie zaprosiła ich do stołu. Wielka czerwona kula słońca zachodziła na horyzoncie, dobitnie przypominając o upływającym czasie. Ile wspólnych chwil mieli jeszcze dla siebie z Sabinem? Kiedy mężczyźni odejdą?

Aby odegnąć ponure myśli, usiłowała nakłonić mężczyzn do towarzyskiej konwersacji. Zważywszy ich skrytość i małomówność, Rachel porwała się na zadanie niemal niewykonalne. W końcu uderzyła we właściwy ton.

- Sabin wspomniał, że jest pan żonaty.
- Nie zwracajmy się do siebie tak oficjalnie, Rachel - zaproponował Sullivan, a jego twarz przybrała całkiem sympatyczny wyraz. - Moja żona to Jane - oświadczył z dumą, jak gdyby wszyscy powinni znać i podziwiać Jane.
- Macie dzieci?

- Bliźniaki. Chłopcy. Sześciomiesięczni - odparł Sullivan, nie kryjąc dumy.

Sabin, o dziwo, po raz drugi w ciągu godziny sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Czy to w twojej rodzinie przychodziły na świat bliźnięta?
- Nie, zresztą ani ze strony Jane. Najgorsze, że zaczęła rodzić dwa tygodnie przed terminem, w samym środku śnieżycy. Drogi były nieprzejezdne, więc nie mogłem jej zawieźć do szpitala. Sam odebrałem poród. Możecie to sobie wyobrazić? W dodatku bliźniaki! Cholera. Powiedziałem Jane, żeby nigdy więcej mi tego nie zrobiła, ale znasz przecież moją żonę.

Sabin szczerze się roześmiał. Rachel patrzyła na to z przyjemnością.

- Następnym razem urodzi trojaczki - orzekł. Sullivan zgromił go wzrokiem.
- Nawet o tym nie myśl!

Rachel podniosła do ust widelec z porcją spaghetti.

- Chyba przyjdzie na świat bliźniaków nie jest winą Jane ani śnieżycy.
- Logiczne - przyznał Sullivan. - Ale tam, gdzie Jane wchodzi drzwiami, logika ucieka oknem.
- Jak się poznaliście?
- Porwałem ją - oświadczył prosto z mostu i na tym zakończył opowieść o początku znajomości z żoną.

Rachel zrobiła zdumioną minę.

- A jak się teraz wyrwałś spod jej skrzydeł? - spytał Sabin, za co znów został skarcony przez przyjaciela wzrokiem.

- Nie było łatwo, ale nie mogła zostawić dzieci. - Sullivan rozparł się w krześle, a w złotych oczach błysnęły figlarne ogniki. - Musisz wrócić ze mną i wytłumaczyć się przed Jane.

- Zgoda. Chcę się przekonać na własne oczy, czy do twarzy ci z berbeciami.
- Już raczkują. Musisz uważać, gdzie stawiasz nogę - powiedział z radością dumny ojciec. - Nazywają się Dane i Daniel, ale zabij mnie, a nie odróżnij, który jest który. Jane mówi, że sami zdecydują, kiedy podrosną.

Jak na komendę, popatrzyli na siebie, zgodnym gestem odłożyli widełce i wybuchnęli śmiechem.

Pocierając grubym palcem zmarszczone czoło, Charles czytał raport na temat Rachel. Zdaniem obu agentów, Lowella i Ellisa, Rachel Jones była atrakcyjną, lecz poza tym całkiem zwyczajną kobietą. Problem polegał na tym, że informacje zawarte w raporcie ukazywały Rachel Jones w innym świetle. Wykształcona, wszechstronnie utalentowana, ale poza tym - nieustraszona reporterka, traktująca dziennikarstwo jako swoją pasję i powołanie. To

znaczyło: bardziej spostrzegawcza niż przeciętny człowiek, a poza tym znająca życie od podszewki. Raport wspominał o jej sukcesach reporterskich. Jej mąż zginął od wybuchu bomby przeznaczonej dla niej, kiedy rozpracowywała powiązania poważnego polityka z handlarzami narkotyków. Niemal każdy na jej miejscu po zamachu zrezygnowałby z dalszego śledztwa, tymczasem ona doprowadziła sprawę do końca. Udowodniła nie tylko kontakty polityka ze światem przestępczym, lecz również udział w zamachu, w którym zginął jej mąż. Polityk ów odsiadywał obecnie dożywocie.

Rachel Jones nie była miłą, bezpośrednią osobą, jak widzieli ją Lowell i Ellis. Ale najwidoczniej chciała za taką uchodzić i to zaniepokoiło Charlesa. Jakie miała powody? Dlaczego chciała oszukać agentów? Dla zabawy? A może z poważniejszych przyczyn?

Charlesa nie dziwił fakt, że kłamała. Z doświadczenia wiedział, że większość ludzi kłamie. W jego zawodzie kłamstwo było niezbędnym mechanizmem działania. Nie lubił jednak nie wiedzieć, dlaczego ktoś kłamie. Dlaczego - to sedno sprawy.

Sabin zniknął. Pewnie nie żył, aczkolwiek Charles nie był o tym przekonany. Ani ludzie Charlesa, ani rybacy, ani turyści, ani służby rządowe nie trafiły na żaden ślad. Nawet gdyby ciało Sabina rozerwała eksplozja, a był wtedy na jachcie, w rejonie wybuchu musiałyby pozostać jakieś szczątki ludzkie. Tymczasem niczego takiego nie znaleziono. Wyjaśnienie brzmiało: skoczył z pokładu i popłynął do brzegu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa poważnie ranny mężczyzna nie mógł dotrzeć do lądu, ale Sabin nie był zwykłym człowiekiem. Zdołał dopłynąć, ale w którym punkcie brzegu? Dlaczego nigdzie go nie widziano? Żadnych ran postrzałowych nie zgłoszono na policji, nikt nie znalazł rannego, nie przyjęto go do żadnego z okolicznych szpitali. Po prostu rozplynał się w powietrzu.

Ktoś musiał go ukryć, ale agenci nie trafili na żaden ślad. Z drugiej strony dom Rachel Jones stał w rejonie, od którego zaczęto poszukiwania, najprawdopodobniej bowiem w tej właśnie okolicy ranny mógł dotrzeć do brzegu. Lowell i Ellis uważali, że pani Jones jest poza podejrzeniem, lecz nie wiedzieli o niej wszystkiego. Przedstawiła im fałszywy obraz własnej osoby. Potraktowała agentów z podejrzaną życzliwością. Udawała głupszą, niż była, z oczywistych powodów: chciała coś ukryć. Albo kogoś.

- Noelle - odezwał się cicho. - Chcę pogadać z Lowellem i Ellisem. Natychmiast. Znajdź ich.

Godzinę później obaj mężczyźni zasiedli przed obliczem szefa. Charles skrzyżował ręce na piersiach i uśmiechnął się zdawkowo.

- Panowie, chciałbym pomówić o tej Rachel Jones. Chcę się dowiedzieć wszystkiego, co zapamiętaliście na jej temat.

Agenci wymienili spojrzenia. Ellis wzruszył ramionami.

- Atrakcyjna kobieta...

- Nie interesuje mnie wygląd. Chcę wiedzieć, co mówiła i co robiła. Czy podczas przeszukiwań plaży weszliście do jej domu?

Nie - odparł Lowell.

- Dlaczego nie?

- Bo jest tam złe psisko, które nienawidzi mężczyzn. Nie wpuści żadnego na podwórze - wyjaśnił Ellis.

- Nawet kiedy zabierałeś ją na kolację?

Twarz Ellisa zdradzała zakłopotanie. Wołał nie przyznawać się, że wystraszył go pies.

- Podeszła aż do samochodu. A kiedy później ją odwiozłem, pies już czekał w pogotowiu, żeby capnąć mnie za łydkę, gdybym zrobił krok na jego terytorium.

- A więc w domu nikogo nie było?

- Nikogo-potwierdzili obaj.

- I zaprzeczyła, że widziała kogoś obcego?

- Sabin nie miał szans zbliżyć się żywy do jej domu. Piesek spałaszowałby go na śniadanie - obruszył się Ellis, a Lowell poparł go skinieniem głowy.

Charles zetknął dłonie czubkami palców.

- A gdyby sama wprowadziła go do domu? Jeśli znalazła go na plaży? Uwiązała psa i wróciła po Sabina? Czy to możliwe?

- Jasne. - Lowell zmarszył czoło. - Ale nie znaleźliśmy żadnych śladów Sabina, żadnego odcisku stopy. Widzieliśmy tylko na piasku smugę, którą zostawiła płachta płótna. Kobieta ciągnęła na niej muszle... - Urwał i spojrzał zakłopotany na szefa.

- Głupcy! - syknął Charles. - Coś ciągnięto z plaży, a wy nie sprawdziliście co?!

Zmieszali się.

- Twierdziła, że to muszle - mruknął Ellis. - I rzeczywiście widziałem muszle na parapetach.

- Nie zachowywała się jak ktoś, kto ma coś do ukrycia - wtrącił Lowell, próbując zakończyć ten wątek. - Nastę-

pnego dnia wpadłem na nią w sklepie. Pogadaliśmy o upale i w ogóle.

- Co kupiła? Zjrzałeś do jej wózka?
- Bieliznę, damskie drobiazgi. Kiedy pakowała zakupy, spostrzegłem adidas. Zwróciłem na nie uwagę, bo...

-Zbladł jak kreda.

- Bo co? - nastawa! szyderczo Charles.
- Bo wydawały się na nią za duże.

- No tak! Przyciągnęła coś z plaży, a wy nie sprawdziliście co. Nikt z was nie wszedł do domu. Kupiła za duże buty, prawdopodobnie męskie. Jeśli mieliśmy Sabina przez cały czas pod samym nosem, a teraz dzięki waszemu partactwu uciekł, czeka was niewesoła przyszłość! Już ja tego dopilnuję. Noelle!

Natychmiast stanęła w progu.

- Słucham.
- Zwołaj wszystkich. Chyba znaleźliśmy Sabina.

Lowell i Ellis byli bliscy zawału. Modlili się, aby jednak Sabin nie został znaleziony. Nie leżało to w ich interesie.

- A jeśli się mylisz?
- To skończy się na strachu pani Jones. Jeśli nic nie wie i nie pomogła Sabinowi, nie zrobimy jej krzywdy.

Charles uśmiechnął się. Jego zimny wzrok mówił sam za siebie. Ellis mu nie wierzył.

Słońce już zaszło. Zapadnięcie zmroku dało żabom i świerszczom sygnał do rozpoczęcia koncertu. Kaczor Ebenezer ze swym stadkiem dreptał po podwórzu, zjadając ostatnie przed snem robaki. Joe leżał na werandzie. Sabin i Sullivan siedzieli przy stole, rysując tajemnicze schematy i snując plany. Rachel próbowała pracować nad rękopisem powieści, lecz nie potrafiła się skupić. Myślała o tym, jak zniesie samotność po rozstaniu z Sabinem.

Nagle gęsi rozbiegły się w popłochu. Joe warknął i zeskoczył z werandy. Sabin i Sullivan jak jeden mąż zerwali się od stołu i bezszelestnie stanęli przy oknach salonu. Pobladła Rachel, za wszelką cenę usiłująca zachować spokój, wypadła z gabinetu.

- To pewnie tylko Honey - stwierdziła, idąc do frontowych drzwi.
- Honey? - spytał Sullivan.
- Weterynarz.

Przed domem zahamował biały sedan. Wysiadła jakaś kobieta. Na jej widok Sullivan zachwiał się, oparł o ścianę i zaklął.

- To Jane -jęknął bezradnie.
- Do diabła! - zawtórował mu Sabin.

Rachel otworzyła drzwi i chciała przytrzymać psa, który usadowił się na środku dziedzińca. Jane była jednak szybsza. Pogłaskała Joego, radośnie nazwała go „miłym pieskiem” i ruszyła dalej, ku schodom.

Sullivan, Sabin i Rachel stali bez ruchu na ganku. Jane oparła ręce na biodrach i spojrzała na męża.

- Skoro nie zabrałaś mnie ze sobą, postanowiłam cię śledzić!

ROZDZIAŁ 12

Rachel od razu zaakceptowała Jane. Zaimponowało jej, że śmiało przywitała się z Joem, który nie był przyjaźnie nastawiony do obcych, i dzielnie stawiała czoło mężowi, który, mówiąc łagodnie, był niemile zaskoczony pojawieniem się Jane. Kobiety same się sobie przedstawiły, podczas gdy Sullivan, przybrawszy surową minę, stał z założonymi rękami.

- Jak mnie tu znalazłaś? - odezwał się w końcu. - Na pewno nie zostawiłem żadnych śladów.
- Jasne - prychnęła Jane. - Przemysślałam więc sprawę, pojechałam tam, gdzie cię nie było, i tak oto cię znalazłam. - Teraz przyszła kolej na Sabina, którego Jane powitała serdecznym uściskiem. - Wiedziałam, że chodzi o ciebie. Nikt inny nie wyciągnąłby Granta z domu. Masz kłopoty?

- Tak jakby.
- Tak sądziłam. Przybywam z pomocą.
- Niech mnie diabli! - jęknął Grant.
Jane zmierzyła go chłodnym wzrokiem.
- Owszem, będziesz się smażył w piekle za to, że uciekłeś bez słowa i zostawiłeś mnie samą z dziećmi
- Gdzie dzieci?!

- Zawiozłam je do twojej matki. Była zachwycona. Odtransportowałam bliźniaki, a potem musiałam wykombinować, gdzie się udałeś, skoro usiłowałeś ukryć przed wszystkimi cel podróży.

- Tym razem kara cię nie ominie.
- Wątpię. Znow jestem w ciąży.
- Niemożliwe!
- Chyba nie będziesz się zakładał? - wtrącił Sabin.
- Ależ bliźniaki mają dopiero sześć miesięcy - poskarżył się Grant.
- Doskonale o tym wiem - powiedziała Jane. - Tak się składa, że byłam przy ich urodzeniu.
- Na razie nie planowaliśmy więcej dzieci.
- Siła wyższa - stwierdziła krótko Jane.
- Wejźmy do domu. Tam jest chłodniej - zaproponowała Rachel, otwierając przeszkłone drzwi.

Tymczasem Jane padła w ramiona męża. Tak oto doszło wreszcie do czułego powitania małżonków. Rachel poczuła ukłucie w sercu.

- Pogodzili się - szepnęła.
Sabin objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.
- Grant odszedł ze służby, zanim się poznali.
Rachel chciała spytać, dlaczego nie poszedł w ślady przyjaciela, lecz się pohamowała. To, co wydawało się słusznym rozwiązaniem dla Granta Sullivana, nie było widać odpowiednie dla Sabina.

- Kiedy wyjeżdżacie?
Powinna być dumna, że jej głos zabrzmiał tak spokojnie, lecz duma zeszała na dalszy plan. Gdyby sądziła, że to coś da, błagałaby Sabina na kolanach, żeby został.

- Jutro rano.
Została zatem jedna noc, którą Sullivan i Sabin zamierzali zapewne spędzić na opracowaniu szczegółów planu.

- Położymy się wcześniej - zapowiedział, dotykając jej włosów.
Sullivanowie weszli do domu. Jane promieniała. Z zadowoleniem przyjęła widok Rachel w ramionach Sabina, lecz nie odezwała się ani słowem. Ta kobieta miała intuicję!

- Grant nie chce mi powiedzieć, o co tu chodzi - obwieściła. - Zamierzam jechać za wami i sama to ustalić.
Sabin uniósł ciemne brwi.
- A jeśli ja ci powiem?
Jane zastanawiała się przez chwilę, wędrując wzrokiem od męża do Sabina.
- Chcesz negocjować, tak? Chcesz, żebym wróciła do domu.
- Wrócisz i kropka - oświadczył Grant tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Spodziewasz się dziecka, a to wystarczający powód, żebyś siedziała bezpieczna na farmie, zamiast ryzykować życie.

Błysk w oczach Jane zapowiadał, że łatwo się nie podda, lecz Sabin uprzedził wybuch kłótni pomiędzy małżonkami.

- W porządku. Zasłużyłaś, żeby wiedzieć, co się dzieje. Usiądźmy.
- Oczywiście powiesz mi tylko to, co konieczne - zauważyła przytomnie Jane.
- Tak. Zawsze znajdują się szczegóły, których zdradzić nie wolno, ale większość faktów mogę ci podać.
Usiedli za stołem. Sabin przedstawił w skrócie wypadki minionych tygodni i uzasadnił, dlaczego wezwał Granta.

Kiedy skończył, Jane długo przypatrywała się obu mężczyznom, a potem powiedziała.

- To jasne, że musicie działać. - Pochyliła się, położyła dłonie na stole i popatrzyła Sabinowi prosto w oczy.
- Zapowiadam ci jednak, że jeśli cokolwiek przytrafi się Grantowi, dopadnę cię. Nie po to zadałam sobie tyle trudu i znalazłam go, żeby coś mu się teraz stało.

Sabin nie odpowiedział, ale Rachel wiedziała, o czym myśli. Gdyby coś się stało, obaj nie wyszliby z tego żywi.

Grant podniósł się z krzesła i polecił Jane, żeby poszła w jego ślady.

- Pora spać. Wyjeżdżamy rano. A ty wrócisz do domu

- obwieścił żonie. - Daj słowo.

Jane, wiedząc już, o co toczy się gra, zrezygnowała z dyskusji.

- Zgoda. Zabiorę bliźniaki i pojedę do domu. Chcę tylko wiedzieć, kiedy mam się spodziewać twego powrotu.

Grant zerknął na Sabina.

- Za trzy dni?

Sabin skinął głową.

Rachel podniosła się zza stołu. Za trzy dni wszystko się skończy. Wóz albo przewóz. Dla niej - koniec nastąpi już jutro rano. Tymczasem musiała przygotować miejsce do spania dla Sullivanów. W gruncie rzeczy była wdzięczna losowi, że ma zajęcie, które, choć nie sprawi, że przestanie myśleć o rozstaniu, pozwoli przynajmniej zabić czas.

Przeprosiła Jane za brak dodatkowego łóżka dla gości, lecz Jane zdawała się tym wcale nie przejmować.

- Nie martw się o nas - uspokajała. - Sypiałam z Grantem w namiotach, jaskiniach i szopach, tak więc nocleg w przytulnym saloniku przyjmujemy z wdzięcznością.

Rachel wyjęła z pawlacza kołdry i poduszki, w czym pomagała jej Jane. Przed jej przenikliwym wzrokiem nic się nie ukryło.

- Jesteś zakochana w Sabinie, prawda?

- Tak. - Rachel nie zamierzała zaprzeczać, świadoma, że ma to wypisane na twarzy.

- To niezwykle, trudny do rozgryzienia człowiek. Ale najlepsza stal musi być najtwardsza.

Spojrzały na siebie. Obie na dobre i złe pokochały mężczyzn jedynych w swoim rodzaju i, w przeciwieństwie do większości kobiet, nie mogły liczyć na spokojne, bezpieczne życie.

- Jutro Sabin odejdzie. To koniec - powiedziała Rachel przez ściśnięte gardło. - Już tu nie wróci.

- On chce, żeby to był koniec - wyjaśniła Jane, a jej żywe brązowe oczy szeptem. - Nie mów, że nie wróci. Grant też nie chciał mnie poślubić. Mówił, że to się nie uda, że prowadzimy zupełnie inny tryb życia i że nie będę pasować do jego świata. Znasz te teksty?

- O tak.

- Musiałam pozwolić mu odejść, ale w końcu wrócił.

- Ale Grant odszedł ze służby. Sabin tego nie robi. Na tym polega problem.

- Owszem, to poważna kwestia, ale do rozwiązania. Mężczyźni tacy jak Grant i Sabin z trudem godzą się z faktem, że pokochali tę jedną jedyną. Przecież zawsze byli sami, bez bliskich, bez rodziny.

Poznanie i zrozumienie motywów postępowania Sabina nie pomogło Rachel łatwiej się z nimi pogodzić. Zostawiła Sullivanów w salonie i poszła do sypialni. Sabin podążył za nią i zamknął drzwi. Stała pośrodku pokoju, z zaciśniętymi pięściami i chmurnym spojrzeniem.

- Właściwie powinniśmy wyruszyć dziś wieczorem - powiedział - ale chciałem spędzić z tobą jeszcze jedną noc.

Tej nocy nie mogła sobie pozwolić na płacz. Łzy poczekają do rana, do pożegnania.

Sabin zgasił światło i niecierpliwie wziął Rachel w ramiona. Przywarł wargami do jej ust w długim, namiętym pocałunku.

- Rachel - szepnęła, rozpinając jej bluzkę. Obnażył jej ramiona i pieścił ustami piersi, aż Rachel jęknęła i zachwiała się na nogach. Po chwili poczuła pod sobą chłód pościeli. Rękawy bluzki wciąż więziły jej ręce.

- Sabin, zaczekaj, zdejmę bluzkę.

- Jeszcze nie - odparł.

Zsunął jej szorty i majteczki do kolan, dzięki czemu nogi Rachel, podobnie jak ręce, zostały uwiecznione. Obsypał ją pocałunkami i obdarzył pieściami, doprowadzając niemal do ekstazy. Błagała go, by przestał, żeby mogli się połączyć.

- Nie musisz czekać dłużej. Dam ci to, czego pragniesz.

Szybko ściągnął ubranie z niej i z siebie. Z westchnieniem ulgi objęła go mocno i szybko osiągnęła szczyt, lecz Sabin natychmiast zaczął na nowo podsycać w niej pożądanie. Tej nocy nie mógł się nią nacieszyć. Czas zatrzymał się, zamykając ich oboje w krainie wiecznej rozkoszy.

Rachel obudziła się tuż przed świtem. Leżała na boku, wtulona w Sabina. Tak spali co noc od chwili, kiedy odzyskał przytomność. Sabin już nie spał. Poglądził jej piersi potem uda.

- Ostatni raz - ni to spytał, ni to oznajmił.

Znowu kochali się jak szaleni, świadomi, że już niedługo się rozstaną.

Dniało. Wschodzące słońce rozjaśniało niebo perłową, różową poświatą. Sabin usiadł na łóżku i spojrzał na wyčerpaną miłością ukochaną. Może tym ostatnim razem popełnił błąd? Nie zabezpieczył się, ale nie żałował. Pragnął całkowitego połączenia.

Leżąca bez sił Rachel patrzyła na niego pełnym miłości i oddania wzrokiem.

- Może nigdy nie wrócisz - szepnęła - ale ja i tak będę czekać.

Zareagował tylko leciutkim drgnieniem ust. Potrząsnął głową.

- Nie marnuj życia. Znajdź sobie kogoś, wyjdź za męża i wychowaj kupę dzieciaków.

Zdobyła się na uśmiech.

- Nie wygłupiaj się - zląła go czule. - Po tobie nie może być nikogo!

Byli gotowi do drogi. Rachel nie chciała pożegnalnych pocałunków ani słów, które by tylko utrudniły rozstanie. Sabin powinien po prostu odejść - i na tym koniec. Nie zabierał pistoletu, tak więc zniknął pretekst do ewentualnej wizyty po zakończonej akcji. Pistolet został zarejestrowany na nazwisko Rachel, a Sabin nie zamierzał narażać ukochanej, gdyby sprawy przebiegły niezgodnie z planem.

Sullivan ukrył wynajęty samochód. Jane miała dowieźć do niego mężczyzn, a później wrócić, wraz z dziećmi, na farmę. A Rachel? Zostawała sama w pustym domu i już zastanawiała się, jak zniesie samotność i czym zapełni pustkę po wyjeździe Sabina.

- Odezwę się - szepnęła Jane, ściskając Rachel na pożegnanie.

- Dziękuję.

Grant wyszedł na ganek. Joe natychmiast zerwał się na nogi i zawarczał.

- Boisz się? - prychnęła Jane. - To taka słodka psina. Sabin pospieszył za Sullivanami.

- Siad, Joe! - polecił.

Nagle powietrze przeszył odgłos strzału i w drewnianym słupie utkwił pocisk, zaledwie kilka centymetrów od głowy Sabina, który natychmiast się cofnął, popychając Rachel. Zachwiała się i upadła. W tym czasie Grant błyskawicznie wpełznął żonę do sieni i zakrył ją własnym ciałem. Padł drugi strzał.

- Nic ci się nie stało? - spytał zaniepokojony Sabin, zamykając drzwi kopniakiem.

Rachel uderzyła głową o podłogę, na szczęście nie było to nic poważnego.

- Wszystko w po-po-porządku - wyjąkała.

Sabin przykucnął przy parapecie.

- Ty i Jane połóżcie się w holu - nakazał, przynosząc pistolet z sypialni.

Grant pomógł Jane usiąść. Odgarnął jej włosy z twarzy i pocałował.

- No, idź do Rachel - polecił, wyciągając swój pistolet zza pasa.

Rozległ się następny strzał. Odłamki szkła z rozbitego okna posypały się na Granta. Zaklął szpetnie.

Rachel usiłowała zebrać myśli. Grant i Sabin byli uzbrojeni tylko w pistolety, podczas gdy napastnicy najwyraźniej dysponowali strzelbami. Zyskiwali dzięki temu przewagę. Strzelba ma większy zasięg niż pistolet i większą precyzję przy dużej odległości celu. Jej strzelba kalibru 22 nie była cudem techniki, lecz zawsze to lepsze niż pistolety. Rachel wczłogała się do sypialni po strzelbę i amunicję. Bogu dzięki, że Sabin kazał jej kupić pociski!

- Proszę - powiedziała, wracając do salonu i podając broń Sabinowi.

Obejrzał się i zacisnął dłoń na kolbie. Grant wyruszył na obchód domu, sprawdzając, czy nikt nie zaszedł ich od tyłu.

- Dzięki. Wracaj do holu, kochanie.

- Strzelali do ciebie! - Skulona na podłodze Jane nie kryła oburzenia. Mrużąc coś do siebie, otworzyła torbę i wyjęła z niej ubrania i kosmetyki. - Nie puszczę tego płazem - stwierdziła z furią. - Cholera, strzelali do niego! - Wyciągnęła pistolet i włożyła do ręki Rachel, a potem wydobyła z dna torby futerał wielkości skrzypiec i przesunęła go w stronę męża. - Masz. Nie wiem, jak to się składa.

Grant otworzył futerał i wprawnymi ruchami z paru elementów złożył karabin.

- Do diabła, skąd to wytrasnęłaś?

- Nieważne - odparła, ciskając w stronę męża pudełko z amunicją. Złapał je w locie i załadował naboje.

Sabin zerknął przez ramię.

- Masz może jeszcze granaty?

- Nie - odrzekła z żalem Jane. - Nie miałam czasu, żeby zdobyć wszystko, co chciałam.

Rachel doczołgała się do okna i ostrożnie wychyliła głowę. Sabin zaklął.

- Schowaj się i trzymaj z daleka! Wracaj do holu. Tam jest bezpieczniej.

Była blada, lecz spokojna

- Jest was tylko dwóch, a dom ma cztery ściany. Potrzebujecie nas do pomocy!

Jane chwyciła pistolet porzucony przez Granta.

- Racja. Potrzebujecie nas.

Sabin takiej właśnie sytuacji pragnął uniknąć. Tymczasem spełniły się jego najgorsze przewidywania. Życie Ra-

chel znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie - i to z jego powodu. Czemu nie wyjechał wieczorem, tak jak powinien? Pozwolił, by miłość przesłoniła zdrowy rozsądek.

- Sabin! - dobiegło wołanie z sosnowego zagajnika.

Nie odpowiedział. Mrużąc oczy, usiłował wypatrzeć napastnika wśród drzew. Nie zamierzał odzywać się, aby nie ujawnić, gdzie jest.

- Sabin, nie komplikuj sytuacji! - ciągnął anonimowy głos. - Jeśli się poddasz, słowo daję, że żadnej z pozostałych osób nie stanie się krzywda.

- Co to za żartowniś? - spytał Grant.

- Charles Dubois, alias Charles Lloyd, alias Kurt Schmidt, ale ma w zapasie jeszcze kilka innych nazwisk - odrzekł półgłosem Sabin.

- Tak więc wreszcie postanowił przyjść po ciebie osobiście. - Rozejrzał się. - Jesteśmy w kiepskim położeniu. Rozstawił ludzi wokół domu. Niewielu, ale uziemili nas. Odciepli telefon.

Sabinowi nie trzeba było tłumaczyć, że sytuacja wygląda źle. Gdyby Dubois planował użycie rakiet, tak jak to się stało na jachcie, już mogli pożegnać się z życiem. Napastnikom jednak zależało na schwytaniu Sabina żywego. Za żywego wiele zapłaciliby ci, którzy od dawna na niego polowali.

Przykra prawda brzmiała: znaleźli się w pułapce. Nawet gdyby zaczekali do zmierzchu i spróbowali się wymknąć, za kryjówkę mogły służyć tylko drzewa i krzewy rosnące koło domu. Dalej, poza sosnowym laskiem, rozciągała się otwarta przestrzeń, co oznaczało, że staliby się widoczni jak na dłoni. Nawet gdyby Sabin wyszedł sam i poddał się, nie uratowałby reszty. Dubois nie chciał mieć świadków. Sabin łudził się tylko, że Rachel i Jane nie zdają sobie sprawy z rozpaczliwego położenia, w jakim się znaleźli.

Rzut oka na Rachel rozwił i tę nadzieję. Ona wiedziała! W lot zorientowała się w sytuacji. Pragnął wziąć ją w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, lecz nie potrafiłby kłamać, patrząc w te dobre, szczerze, szare oczy.

Z sypialni dobiegł strzał. Błady Grant dosłownie zzieleniał z obawy, że żona została ranna, lecz zanim się poruszył, usłyszał głos Jane.

- Grant! W co mam strzelać? W kolana? - Nie doczekawszy się odpowiedzi męża, sama rozwiązała dylemat. - Wszystko jedno. I tak nie trafiłam. Ale rozwaliłam jedną strzelbę, o ile to się liczy.

- Sabin - rozległ się głos - nadużywasz mojej cierpliwości! To nie może dłużej trwać. Byłoby szkoda, gdyby twojej kobiecie stała się krzywda.

Kobietcie, nie: kobietom! Rachel nie zdążyła wyjść na ganek. Napastnicy zobaczyli Jane i sądzili, że to Rachel. Z dużej odległości łatwo było pomylić dwie szczupłe, długowłose kobiety. Niewielka to pociecha, zawsze jednak... Dubois nie miał rozeznania co do liczby osób kryjących się w domu.

- Sabin!

- Zastanawiam się! - odkrzyknął Sabin, odchylając głowę od okna.

- Nie stać cię na taki luksus, przyjacielu. Wiesz, że nie zdołasz wygrać. Ułatw sobie zadanie. Przyrzekam, że puszczę kobiety wolno.

Te obietnice nie warte były funta kłaków. Czas... Jak zyskać trochę czasu? Każda dodatkowa sekunda zwiększała szansę na przeżycie. Gdyby choć na krótko udało się odciągnąć uwagę Dubois...

- A co z moim przyjacielem? - zawołał.

- Też go puszczę - gładko zełgał Dubois. - Nic do niego nie mam.

Grant pokazał zęby w szyderczym uśmiechu.

- Akurat! Poznał mnie. Jak dwa razy dwa!

Schwytac obu naraz - toż to gratka dla Dubois! Sullivan przed paru laty zadarł z jego ludźmi, a takich rzeczy się nie zapomina.

Coś poruszyło się między drzewami. Sabin zmrużył oczy.

- Zajmij go rozmową - polecił Grantowi, wystawiając lufę strzelby przez okno i celując w drzewa.

- Kłamiesz, Dubois! - krzyknął Sullivan. - Wiem, że mnie poznałeś!

Zapadła cisza. Palec Sabina zamarł na spuście.

- A więc to ty, Tygrysie?

Między drzewami znów coś się poruszyło. Sabin nacisnął spust. Huk wystrzału zagłuszył okrzyk bólu, lecz Sabin wiedział, że nie chybił. Nie wiedział tylko, czy trafił Dubois.

Na dom posypał się grad pocisków. Nie ocalała żadna szyba. Z futryn i ścian leciały drzazgi. Nie ucierpiały jedynie mocne podwójne drzwi wejściowe.

- Chyba mu się to nie spodobało - odezwał się Sabin.

Grant, rozplaszczony na podłodze, podniósł głowę.

Nigdy nie lubiłem tego kryptonimu - stwierdził przeciągle i gwałtownym ruchem wystawił lufę.

Automatyczny karabin wypuścił trzy serie. Z sypialni i gabinetu Rachel zawtórowały mu pistolety. Napastnicy nie pozostali dłużni.

- Rachel! - zawołał Sabin. - Wszystko w porządku?

- Owszem - odpowiedziała zaskakująco spokojnym głosem.
- Jane! - krzyknął Grant, ale nie doczekał się odpowiedzi. - Jane!

Sullivan z poszarzałą twarzą ruszył do sypialni.

- Jestem zajęta!

Grant wyglądał tak, jakby lada chwila miał eksplodować. Sabin mimo woli uśmiechnął się szeroko. On lepiej panował nad nerwami, co nie zmieniało faktu, że Jane groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Obawiał się o żonę przyjaciela nie mniej niż o Rachel.

Grant załadował nowy magazynek.

- Sabin, moja cierpliwość się kończy! - zawołał Dubois.
Twarz Sabina wykrzywił grymas rozczarowania. Cho-
lera. Jednak nie trafił Dubois.

- Twoja oferta na razie mi nie odpowiada! - krzyknął, byle zyskać cenne minuty.

Jane wystawiła głowę z sypialni i zawołała:

- Chyba nadciąga kawaleria!

Mężczyźni zignorowali tę informację, lecz Rachel wykazała zainteresowanie.

- Co takiego?

- Oddział konny. - Jane machnięciem ręki wskazała okno w sypialni. - Widziałam, jak jedzie z tamtej strony.

Rachel nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- To Rafferty. Mój sąsiad. Musiał usłyszeć strzelaninę.

Zgięty wpół Grant pobiegł przez kuchnię do tylnego wyjścia.

- Ilu jeźdźców? - zapytał Sabin.

- Kilkunastu - odrzekł Grant. - Cholera, jada prosto pod ostrzał. Trzeba odwrócić uwagę Dubois. Zaczynjcie strzelać.

Tak też uczynili. Rachel dotarła do okna. Wystrzelała cały magazynek i trzęsącymi się rękami załadowała nowy. Sabin robił dobry użytek ze strzelby, a i Jane radziła sobie wysmienicie. Czy dali Rafferty'emu wystarczająco dużo czasu, by zaszedł ludzi Dubois od tyłu? Gdyby strzelali nadal, mogliby ranić swych wybawców.

- Stop! - nakazał Sabin.

Leżeli plackiem na podłodze, chroniąc głowy dłońmi. Wokół śmigały kule, szatkując ściany. W pewnym momencie Grant zaklął. Z rozciętego policzka popłynęła mu strużka krwi. Jane krzyknęła i, nie zważając na trwający ostrzał, rzuciła się do męża, ale Sabin chwycił ją i ściągnął na podłogę.

- Nic mi nie jest! - zawołał Grant. - Lekkie draśnięcie.

- Nie podnoś się z podłogi - polecił Sabin żonie przyjaciela, lecz puścił ją. I tak walczyłyby jak tygrysica, gdyby nie dopuścił jej do Granta.

Nagle zapadła cisza. Rachel leżała na podłodze, wstrzymując dech. Sabin położył jej dłoń na ramieniu, jakby w ten sposób chciał dać do zrozumienia, że może na niego liczyć bez względu na to, co się wydarzy.

- Hej! - ryknął męski, donośny głos. - Rachel, jesteś tam?

- To Rafferty - szepnęła, unosząc głowę. - John! Wszystko w porządku?

- To zależy. Ci dranie raczej tak nie uważają.

Sabin powoli podniósł się na nogi. Pociągnął za sobą Rachel.

- Instynkt mówi mi, że ten facet to pokrewna dusza.

Rachel, wsparta na ramieniu Sabina, niepewnym krokiem wyszła na werandę. Za nimi pospieszyli Jane i Grant.

Na widok trzech gęsi leżących na podwórzu w kałuży krwi Rachel krzyknęła przerażona. Głos uwiązał jej w gardle, gdy spostrzegła Joego leżącego nieruchomo przy schodkach werandy. Sabin objął ją ramieniem i mocno przytulił.

Imponującej postury John Rafferty z myśliwską dubeltówką w ręku stał z grupą piętnastu ludzi uzbrojonych podobnie jak on. Mrużąc przenikliwe oczy, wskazał szczupłego, szpakowatego mężczyznę.

- Usłyszeliśmy strzelaninę i przyjechaliśmy zobaczyć, co się dzieje - wyjaśnił. - My, sąsiedzi, musimy sobie pomagać, prawda, Rachel?

Błąd ze złości Charles Dubois wbił wzrok w Sabina. Towarzyszyła mu Noelle, której piękne oczy wyrażały znudzenie.

- To jeszcze nie koniec, Sabin - syknął Dubois.

Sabin delikatnie odsunął Rachel, przekazując ją pod opiekę Grantowi. Musiał wyjaśnić jeszcze parę spraw, zanim staną przed obliczem wymiaru sprawiedliwości.

- Jeśli chodzi o ciebie, sprawa skończona - uciął dyskusję.

Noelle uśmiechnęła się w typowy dla siebie senny sposób i wyrwała się z rąk przytrzymującego ją farmera. Wi-
dać uznał, że ze strony kobiety nic im nie grozi.

W jej dłoni błysnął rewolwer. Rachel zareagowała natychmiast. Z krzykiem przypadła do Sabina. Któryś z męż-
czyzn chwycił Noelle za rękę. Pistolet wystrzelił dokładnie w chwili, gdy Rachel odpychała Sabina. Krzyknęła po

raz drugi. Poczula w boku piekacy ból, a potem byla juz tylko ciemność.

ROZDZIAŁ 13

Oparł się o ścianę szpitalnej poczekalni. Nozdrza drażnił ostry zapach środków odkażających. Twarz Sabina zastąpiła maska, z oczu wyzierała rozpacz. Nie był sam. Towarzyszyli mu Jane i Grant - ona smutna i przejęta, on zdenerwowany.

Sabina prześladował obraz Rachel leżącej na ziemi w kałuży krwi. Z zamkniętymi oczami i bladą twarzą wydawała się taka drobna i krucha... Padł na kolana i, nieświadom strzelaniny i strasznego zamieszania, jakie się rozpętało, wydał z piersi zawodzący krzyk.

Niespodziewanie otworzyła oczy. Oszołomiona bólem, wbiła wzrok w Sabina. Drżącymi ustami wyszeptała jego imię. Dopiero wtedy zrozumiał, że Rachel żyje. Był święcie przekonany, że kula, która ją dosięgła, przyniosła śmierć i tym samym dopełniła strasznego fatum.

Zozerwał materiał wokół paskudnej rany w boku i wspólnie z Jane udzielili rannej pierwszej pomocy. Grant zajął się innymi. Dubois nie żył. Ranna Noelle mogła umrzeć w każdej chwili. Strzelał do nich Tod Ellis! W zamieszaniu wyrwał komuś broń. Jego motywy pozostały niejasne. Może chciał się pozbyć Dubois, aby zataić, jak wielkie usługi oddał szefowi przestępcy? Może w końcu ruszyło go sumienie? A może zemścił się za Rachel?

Do Joe go wezwano Honey Mayfield. Na szczęście orzekła, że pies się wylży.

Sabin, przepełniony bólem i ztroskany, a także pełen poczucia winy, zamierzał poczekać, aż Rachel wywożą z sali operacyjnej, aby się upewnić, że nic jej nie grozi. Nie mógł odejść już teraz, nie zobaczywszy jej i nie dotknąwszy na pożegnanie, chociaż czas naglił. Sabin i Grant musieli dotrzeć do Waszyngtonu, zanim informacje o strzelaninie na Florydzie dotrą do zdrajcy - lub zdrajców.

- Jane - odezwał się cicho, nie odwracając głowy. - Zostaniesz?

- Oczywiście - odparła bez wahania. - Wiesz, że nie musisz pytać.

Sabin zwrócił się do lokalnych władz z prośbą o współpracę. Jeden z zastępców szeryfa, Phelps, świetny fachowiec, znał Rachel i dzięki temu udało się na razie zachować sprawę w tajemnicy. Rafferty zagwarantował milczenie swoich ludzi. Cieszył się wielkim autorytetem wśród miejscowych farmerów.

Do poczekalni wszedł chirurg z twarzą poszarzałą ze zmęczenia.

- Pan Jones?

Sabin przedstawił się jako mąż Rachel i podpisał niezbędne dokumenty, aby nie opóźnić udzielenia pomocy lekarskiej. Każda chwila stracona na formalności oznaczała dalszą utratę krwi rannej.

- Tak.

- Żona miewa się dobrze. Jest na sali pooperacyjnej. Kula drasnęła prawą nerkę. Straciła dużo krwi, ale zrobiliśmy jej transfuzję. Stan chorej stabilizuje się. Miałem wątpliwości, czy zdołamy uratować nerkę, lecz uszkodzenie okazało się mniejsze, niż podejrzewaliśmy. Jeśli nie wystąpią komplikacje, za tydzień wróci do domu.

- Kiedy mogę ją zobaczyć? - zapytał Sabin z wielką ulgą w głosie.

- Za jakąś godzinę. Zatrzymamy ją na noc na oddziale intensywnej terapii, ale to zwykła ostrożność na wypadek, gdyby wdały się komplikacje, których zresztą nie przewiduję. Pielęgniarka przyjdzie po pana.

Sabin uściśnął dłoń lekarza i dalej stał sztywno pod ścianą. Jane pocieszająco pogłaskała go po ręce.

- Nie jest tak źle.

- To moja wina!

- Doprawdy? Od kiedy to ponosisz odpowiedzialność za cały świat?

Westchnął znużony.

- Przestań.

- Dlaczego? Jeśli tego z siebie nie wyrzucisz, nie będziesz w stanie nic zdziałać.

Oczywiście miała rację. Kiedy wreszcie pozwolono mu wejść do Rachel, ugięły się pod nim nogi. Widział mnóstwo rannych i najbardziej skomplikowana aparatura medyczna nie robiła na nim wrażenia, lecz dopiero gdy Rachel otworzyła oczy i spojrzała na niego, wziął się w garść.

Uśmiechnęła się leciutko i spróbowała podnieść rękę, lecz w unieruchomionym przedramieniu tkwiła igła kroplówki. Na chwiejnych nogach Sabin podszedł do łóżka i przyłożył drugą dłoń Rachel do swego policzka.

- Nie jest źle - powiedziała z widocznym trudem. - Słyszałam, jak lekarz to mówił.

Boże, ranna Rachel dodawała mu otuchy! Wzruszenie chwyciło go za gardło. Oddałby własne życie, aby oszczędzić ukochanej cierpienia!

- Kocham cię!

- Wiem - szepnęła i zapadła w sen.

Został przy szpitalnym łóżku jeszcze kilka minut, ucząc się na pamięć rysów ukochanej. A potem przywdział na twarz maskę obojętności. Energicznie wyszedł z sali. Na korytarzu czekali Jane i Grant.

- Chodźmy.

Rachel spacerowała po plaży jak co dzień po południu. Ze wzrokiem wbitym w piasek szukała muszli. Joe szedł przodem. Co pewien czas oglądał się i biegł dalej. Przez kilka tygodni po odebraniu go od Honey pies nie czuł się bezpiecznie, jeśli pani zniknęła z pola widzenia, lecz ten stan dawno już minął. Joe całkiem zapomniał o

dramatycznych wydarzeniach lata.

Był początek grudnia. Lekka kurtka chroniła Rachel przed chłodnym wiatrem. Semestr jesienny na uczelni w Gainesville dobiegł końca. Pozostało tylko przeegzaminować studentów, lecz Rachel i tak nie narzekała na brak zajęć. Od sierpnia tyrała jak wół. Skończyła książkę grubo przed terminem i natychmiast zabrała się do pisania następnej. Prowadziła wykłady, a oprócz tego dwa, a nawet trzy razy w tygodniu zaglądała do sklepików z pamiątkami, w których po przejściu fali upałów zaroilo się od turystów.

Jedynym świadectwem lipcowych wydarzeń była blizna na prawym boku. I wspomnienia. Dom przeszedł remont. Został otynkowany i pomalowany, wstawiono nowe okna, a Rachel sprowadziła nowe meble i wykładziny, bowiem w starych utkwily odłamki szkła, których nie dało się usunąć. Dom wyglądał teraz całkiem zwyczajnie i nikt postronny by się nie domyślił, że kilka miesięcy temu był obiektem ataku.

Rachel względnie szybko wróciła do zdrowia. W ciągu miesiąca podjęła swoje stałe zajęcia. Usiłowała uratować zaniedbany ogród warzywny. Pobolewająca rana dawała pojęcie o tym, co musiał przejść Sabin podczas rehabilitacji nogi i barku. Rachel nie mogła wprost wyjść z podziwu dla jego samozaparcia.

Nie odezwał się. Jane została na Florydzie do dnia, kiedy Rachel wypisano ze szpitala. Przekazała tylko, że w Waszyngtonie wszystko przebiegło pomyślnie. Rachel nie miała pojęcia, czy żona Sullivana wie coś więcej. Pewnie do grudnia mocno się zaokrągliła. Rachel podejrzewała, że ona też zaszła w ciążę, bowiem podczas ich ostatniego zbliżenia Sabin nie zabezpieczył się, ale alarm okazał się fałszywy.

Nie pozostało jej więc po nim nawet dziecko. Przeżyła, ale straciła radość życia. Nie odzyskała też spokoju. Odejście Sabina okazało się bardziej bolesnym przeżyciem niż śmierć B.B.. Młodsza o pięć lat Rachel nie potrafiła kochać męża tak głęboko i dojrzale jak Sabina. A ten przepadł bez śladu. Gdyby mu się coś stało, Rachel nigdy nie poznałaby prawdy. A niewiedza to najgorsza rzecz.

Czasami myślała, że to był tylko sen. Czy Sabin naprawdę pochylił się nad jej łóżkiem w szpitalu i wyznał, że ją kocha? Jak potem mógł odejść? Czasem ogarniała ją wściekłość. Jakim prawem podjął decyzję za nią? Był taki pewny siebie, przekonany o własnej nieomyślności...

Wyleczyła się z ran od kuli, lecz nie z miłości. Żyła z dnia na dzień, bez planów, marzeń i oczekiwań. Patrząc teraz na przyplływające fale, doszła do wniosku, że musi coś zrobić: musi odnaleźć Sabina lub raz na zawsze z niego zrezygnować. Sabin miał wystarczająco dużo czasu, aby zmienić zdanie i przyjechać. Skoro tego nie zrobił, Rachel postanowiła pojechać do niego. Od razu poczuła się lepiej. Nareszcie wstąpiła w nią energia. Zawołała Joe-go i zawróciła do domu.

Nie miała pojęcia, jak dotrzeć do Sabina. W stanowej centrali Agencji w Wirginii nie znano nikogo o tym nazwisku. Próbowwała uzyskać wiadomość przez dawne dziennikarskie kontakty. Bezskutecznie. Minęło Boże Narodzenie, Nowy Rok, a Sabin nie dał znaku życia. Pewnego ranka zadzwonił telefon.

- Rachel? - rozległ się głos Jane. - To ty? Z trudem otrząsnęła się ze snu.
- Tak. Jak się masz, Jane?
- Okrągło - podsumowała jednym dosadnym słowem. - Wybrałabyś się z wizytą do nas? Ostrzegam, że zapraszam nie bezinteresownie. Pobawisz się z chłopcami, a ja położę się z nogami w górze i odpocznę.

Rachel nie wiedziała, czy zniesie widok szczęśliwej małżeńskiej pary, lecz odmawiając, okazałaby małoduszność.

- Tak, oczywiście.
Przed Jane nic by się nie ukryło. Bez zbytnich wstępów przeszła do rzeczy.
- Chodzi o Sabina, tak?

Dłoń Rachel zacisnęła się na słuchawce. Zamknęła oczy. Sam dźwięk drogiego imienia sprawiał ból. Dłużej nie potrafiła tego ukrywać. Rozplakała się.

- Próbowalam do niego zadzwonić - powiedziała łamiącym się głosem. - Wszyscy twierdzą, że ktoś taki nie istnieje. A jeśli nawet dotarła do niego wiadomość, że go szukam, nie oddzwonił.
- Sądziłam, że wreszcie poddał się uczuciu - stwierdziła zamyślona Jane.

Rachel szybko odzyskała panowanie nad sobą i przeprosiła Jane za mazgajstwo.

- Słuchaj, może ja coś zdziałam - obiecała Jane. - Popracuję nad Grantem. Pogadamy później.

Rachel odłożyła słuchawkę. Nie zamierzała wiązać nadziei ze słowami Jane. Nie zniosłaby rozczarowania.

Jane znalazła Granta w stodole, przy naprawie traktora. Dwa pulchne berbecie o włosach jasnych jak len i burztynowych oczkach bawiły się u stóp taty. Ciężarna Jane nie nadażala za ruchliwymi brzdącami, toteż Grant coraz częściej zabierał je ze sobą.

- Jak mogłabym się skontaktować z Sabinem? - spytała prosto z mostu.
Zerknął na żonę podejrzliwie.
- A po co ci to?
- Dla Rachel.

Tuż po powrocie z Florydy Sabin zmienił numer domowego telefonu. Grant był pewny, że Jane go nie zna. Tak było bezpieczniej, miała bowiem dar pakowania się w kłopoty.

- Co się stało?

- Właśnie z nią rozmawiałam. Płakała, a przecież wiesz, że Rachel nigdy nie płacze.

Patrzył na Jarie w milczeniu i rozmyślał. Niewiele kobiet dokonałoby tego co Rachel. Ona i jego żona były niezwykle osobami. Różniły się pod wieloma względami, lecz jedną cechą miały wspólną: siłę charakteru.

Rzucił wzrokiem na baraszkujące maluchy i uśmiechnął się szeroko. Pocziwy Sabin też zasługiwał na rodzinne szczęście.

- No dobrze. - Odłożył klucz francuski i chwycił bliźniaki na rękę. - Chodźmy do domu. Połączę cię. Za żadne skarby nie podałem ci numeru.

Jane pokazała mu język i uśmiechnęła się zadowolona. Musiała poczekać w drugim pokoju, przy innym aparacie, aż mąż uzyska połączenie. Po trzech sygnałach usłyszała w słuchawce znajomy niski głos.

- Sabin.

- Sabin! - ucieszyła się. - Mówi Jane. - Zapadła martwa cisza. - Chodzi o Rachel.

- Rachel? - W głosie Sabina pojawiła się czujność.

- Rachel Jones. Pamiętasz? To ta kobieta z Florydy, która...

- Czy coś się stało?

- Powinieneś się z nią spotkać.

Westchnął.

- Posłuchaj, Jane. Wiem, że chcesz dobrze, ale ta rozmowa nie ma sensu. Postąpiłem tak, jak należało.

- Powinieneś się z nią spotkać - powtórzyła. Stanowczość żony przyjaciela dała mu do myślenia.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Próbowała się z tobą skontaktować.

- Wiem. Dostałem wiadomość.

- To dlaczego do niej nie zadzwoniłeś?

- Mam swoje powody.

Poza Grantem Sullivanem nie znała równie upartego, nieugiętego mężczyzny. Doprawdy, obaj dobrali się jak w korcu maku! Ale cóż, nawet kropla wody draży skałę. Jane nie zwykła się poddawać.

- Powinieneś zadzwonić.

- To nic nie da.

- Mów, co chcesz - odparowała Jane - ale Grant przynajmniej ożenił się ze mną, kiedy się dowiedział, że jestem w ciąży!

I z uśmiechem satysfakcji na twarzy trzasnęła słuchawką.

Sabin przemierzał gabinet niespokojnym krokiem, przyczesując dłonią włosy. Rachel w ciąży, z jego dzieckiem. Policzył miesiące. Dlaczego czekała aż pół roku, zanim spróbowała nawiązać kontakt? Była chora? Bala się, że straci dziecko? A może coś stało się z dzieckiem?

Miała urodzić jego dziecko! Wiadomości, które mu wysyłała, doprowadzały go do szaleństwa. „Zadzwoni. Rachel”. Nieraz już sięgał po telefon. Pragnął choćby usłyszeć jej głos. Czy chciała tylko poinformować, że Sabin zostanie ojcem, czy wynikły jakieś problemy?

Podniósł słuchawkę, lecz odłożył ją zaraz po nakręceniu numeru, nie czekając na pierwszy sygnał. Pot wystąpił mu na czoło. Zaprzagnął zobaczyć Rachel i upewnić się, że wszystko w porządku.

Kiedy nazajutrz jechał wąską drogą wiodącą ku plaży i domowi Rachel, padał deszcz. Termometr wskazywał kilka stopni powyżej zera. I tak było tu o wiele cieplej niż w Wirginii. Na następny dzień prognozy zapowiadały przejaśnienie i ocieplenie.

Poleciał najpierw do Jacksonville, potem złapał połączenie lotnicze z Gainesville, a tam wynajął samochód. Po raz pierwszy wyszedł z biura przed zakończeniem pracy, ale po wydarzeniach minionego lata nikt nie zadawał mu pytań. Zresztą i tak nic by nie wskórał. Sabin zawsze robił to, co zaplanował.

Zaparkował przed domem i wysiadł, kuląc się przed zacinającym deszczem. Joe, zwinięty w kłębek pod schodami, powitał go warczeniem. Tak jak kiedyś. Sabin uśmiechnął się bezwiednie.

- Joe, do nogi!

Słyszając znajomy głos, pies szczeknął i podbiegł, machając ogonem.

- Co za powitanie - mruknął, głaszcząc łeb Joego. - Oby Rachel też się ucieszyła.

Równie dobrze mogła zatrzasnąć mu drzwi przed nosem. Czuł, że mimo chłodu oblał się potem. Serce waliło jak młotem. Wziął się w garść, w paru susach pokonał podwórze i schodki i już był na werandzie. Zastukał w przeszkłone drzwi. Raz, drugi, niecierpliwie.

- Chwileczkę!

Usłyszał kroki. Drzwi wewnętrzne otworzyły się i oto patrzyli na siebie przez szybę. Rachel bezgłośnie poruszyła ustami. W półmroku sieni nie widział, jak wygląda. Spostrzegł tylko, że zbladła.

- Mogę wejść? - spytał wreszcie cicho.

Bez słowa pchnęła drzwi werandy i cofnęła się. Wszedł i od razu włączył światło. Stała przed nim niewysoka, krucha, bardzo szczupła kobieta w obcisłych dżinsach i obszernym czarnym podkoszulku. Klamerki w

kształcie muszli spinały włosy nad uszami.

- Nie jesteś w ciąży - stwierdził przez ściśnięte gardło. Czyżby straciła dziecko?

- Nie. Miałam nadzieję, ale tak się nie stało.

Cichy głos mile dźwięczał w uszach Sabina, ale sens słów sprowadził go na ziemię.

- Nie byłaś w ciąży?

- Nie - odparła zdeorientowana.

Zacisnął pięści. Nie wiedział, co gorsze: fakt, iż Jane skłamała, czy też rozczarowanie, że Rachel nie jest w ciąży.

- Jane mówiła, że spodziewasz się dziecka - rzekł i nagle, mimo gniewu, wybuchnął śmiechem. - To znaczy dokładnie powiedziała: „Grant przynajmniej ożenił się ze mną, kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży”. – Całkiem niezłe naśladował głos Jane. -I wyłączyła się. Spryciar! Dopiero teraz rozumiałem, o co jej chodziło.

Rachel nie mogła się napatrzeć na ukochanego. Zeszczupłał. Rysy twarzy wyostrzyły się, lecz czarne oczy nie straciły blasku.

- Przyjechałeś, bo myślałeś, że jestem w ciąży?

- Tak.

- To dlaczego teraz się martwisz? - spytała, przygryzając wargę, aby powstrzymać drżenie.

Dlaczego? Obrzucił Rachel uważnym spojrzeniem. Schudła, jej oczy straciły blask. Przeraził się. Nie wyglądała na szczęśliwą, a przecież tak bardzo chciał, żeby jego odejście uwolniło Rachel od niepokoju, dało jej poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia z życia.

- Jak się czujesz? - spytał zatroskany. Wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że dość dobrze.

- Bok ci nie dokucza?

- W ogóle. - Ruszyła do kuchni. - Napijesz się gorącej czekolady? Właśnie chciałam zrobić.

Zdjął płaszcz i rzucił na krzesło. Obserwując krzątającą się kobietę, przeżył swoiste deja vu. Nagle Rachel znieruchomiała, opierając się o drzwi lodówki.

- Brak ciebie mnie zabija - stwierdziła zduszonym głosem. - Próbowałam się trzymać, ale nie daję rady. Jeden dzień z tobą znaczy dla mnie więcej niż całe życie bez ciebie.

- Sądzisz, że mnie jest lekko? Nie pamiętasz już, co się stało?

- Wiem, co się stało! - krzyknęła, obracając się gwałtownie. - Jestem dorosła, Sabin! Podejmuję ryzyko na własny rachunek, kiedy uważam, że warto! Mnóstwo ludzi ginie na drogach, innych zabijają terroryści lub kryminaliści. Zabronisz mi prowadzić samochód, żeby mnie uchronić? - Milczenie Sabina zagrzało Rachel do ataku. - Zdaję sobie sprawę, z czym wiąże się twoja praca, i godzę się na to. Skoro jednak ty ryzykujesz, a mnie odmawiasz prawa do ryzyka, to po co tu jesteś?

Pragnął jej bardziej niż powietrza. Potrafił żyć bez niej, ale cóż to było za życie? Miał za sobą sześć jałowych, pustych miesięcy. Pojął, że życie bez Rachel nie ma sensu. W jednej chwili wszystko okazało się proste. Chwała Jane za to, że dała mu powód do przyjazdu na Florydę! Żona Sullivana dobrze wiedziała, że zobaczywszy znów Rachel, Sabin nie będzie mógł odejść.

- Zdołasz dzielić ze mną trudną codzienność? Wytrzymasz moje wyjazdy bez uprzedzenia i bez wytłumaczenia?

- Już to zrobiłam - odrzekła, dumnie unosząc głowę. - Muszę tylko wiedzieć, że wrócisz do mnie, kiedy tylko będziesz mógł.

- A więc możemy się pobrać. Zaskoczona, zamruwała powiekami.

- To oświadczyń?

- Nie. To w zasadzie rozkaz.

Pełne też szare oczy rozbłysły jak diamenty. Uśmiech rozjaśnił twarz.

- Zgoda - powiedziała po prostu.

Sabin zrobił to, o czym marzył. Wziął Rachel w ramiona, namiętnie pocałował, zaniósł do sypialni, położył na łóżku i ściągnął z niej ubranie.

- Nie mogę czekać - szepnął.

Resztę dnia spędzili w łóżku, kochając się i rozmawiając, tuląc i ciesząc swoją bliskością.

- Co się stało, kiedy wróciłeś do Waszyngtonu? - spytała w którymś momencie.

Leżał na plecach z ręką pod głową, nieco oszołomiony aktem miłosnym, lecz słysząc pytanie Rachel, otworzył oczy.

- Nie mogę ci zbyt wiele powiedzieć.

- Wiem.

- Tod Ellis zeznawał. To nam pomogło. Grant i ja zastawiliśmy pułapkę na jednego ze zwierzchników. Udało się. To by było na tyle.

- W twoim otoczeniu byli też inni zdrajcy?

- Dwóch.

- Omal cię nie dopadli - zadrżała na samą myśl.
 - Gdyby nie ty, na pewno by mnie dopadli. - Obrócił głowę i spojrzał w oczy Rachel. Tylko on umiał wywołać ich promienny blask. Poglaskał ją po policzku. - Rozczarowałem się, że nie jesteś w ciąży - przyznał cicho.
- Roześmiała się.
- Po dzisiejszym dniu mogę być.
 - Pomóżmy losowi - mruknął, ponownie biorąc ją w ramiona.
 - Dobrze. Na wszelki wypadek.

EPILOG

Grzejąc się w łagodnych promieniach słońca, siedzieli na ganku dużego wiejskiego domu, należącego do Sullivanów. Sabin oparł stopy na balustradzie, Grant swobodnie rozparł się w bujanym fotelu. Obaj mężczyźni, choć ociążali po obfitym posiłku, czujnie obserwowali dzieci bawiące się na podwórzu. Rachel i Jane posprzątały po obiedzie i dołączyły do mężów.

Sabin poruszył się niespokojnie. Małeńka Jamie potknęła się i upadła, ale natychmiast otoczyło ją czterech chłopczków i Dane (a może Daniel?) pomógł dziewczynce wstać i otrzepać ubrudzone pulchne nóżki. Trzech chłopców Sullivanów miało jasne czupryny, zaś Brian i Jamie - ciemne włosy i oczy. Dołączki w milej buzi Jamie zdobywały dziewczynce powszechną sympatię. Zapowiadała się na niską i kruchą istotkę, podczas gdy Brian odziedziczył budowę po ojcu.

Dzieciaki z krzykiem pobiegły do stodoły. Dane i Daniel chwycili Jamie za ręce. Brian i Craig ruszyli za nimi. Czwórka dorosłych odprowadziła ich wzrokiem.

- Nie do wiary - zamyslił się Sabin. - Mamy czterdziestkę na karku i pięcioro przedszkolaków na wychowaniu.
- Mów za siebie! - oburzyła się Rachel. - Ja i Jane jesteśmy wciąż młode.

Sabin zerknął na żonę i uśmiechnął się szeroko. Ani on, ani Grant nie zaczęli jeszcze siwieć. Zachowali sprężyste, szczupłe sylwetki. Dopiero teraz cieszyli się życiem.

Wszystko ułożyło się pomyślnie. Gdy Sabin wziął z Rachel ślub, dziecko było już w drodze. Sabin awansował. Na nowym stanowisku służył innym swoją ogromną wiedzą i doświadczeniem, a jednocześnie nie ryzykował życia. Jeden rzut oka na Rachel upewnił go, że warto było dokonać takiej zmiany.

- Nigdy cię o to nie pytałam - zagadnęła Jane, leniwie bujając się na fotelu - czy wybaczyłeś mi, że skłamałam na temat ciąży Rachel?

Grant zachichotał. Sabin zamknął oczy.

- Właściwie nie skłamałaś - oświadczył spokojnie Sabin. - Jeszcze tego samego dnia zaszła w ciążę. A skąd miałaś mój numer?

- To ja dzwoniłem - wyznał Grant. - Pomyślałem, że zasługujesz na lepsze życie.

Rachel napotkała wzrok Sabina i uśmiechnęli się oboje. Miło jest mieć oddanych przyjaciół.